

Robert Kresa

SAMOWYZWALACZ

Wbrew temu co sugerują tytuły rozdziałów, nie jest to książka o aparatach. Mimo początkowych odniesień, miłośnicy sprzętu foto dosyć szybko poczują się rozczarowani. Nie jest to też książka autobiograficzna - owszem, jest sporo wspominków z przeszłości, które mieszają się z teraźniejszością a niekiedy nawet z przyszłością gdzie zahaczają o science-fiction i horror, ale powiedźmy sobie szczerze - kogo mogłyby obchodzić przeżycia mało znanego fotografa? Może więc o filozofii? O sensie życia albo chociażby jego szukaniu? Nie wiem - naprawdę nie wiem. Wiem jedynie, że zacząłem z humorem, a zaszło w rejony jakich się nie spodziewałem.

Warszawa 2024

DRUH SYNCHRO

lata 70. XX wieku

Bredzę wciąż ostatnio o sensie, stylu i bezsensie; wchodzę na mizoginistyczne szczyty bezczelności; wymyślam jakieś pierdoły a la kiepskie science-fiction; komentuję politykę dyplomatyczną polskiego, światka fotograficznego; rozdrabniam się nad dziesiątkami niepotrzebnych nikomu rzeczy, a przecież nie poruszyłem najważniejszego dla każdego fotografa tematu, bez którego nie byłoby żadnych dobrych zdjęć - czyli sprzętu. Pomyślałem, że podejść do tego wyczerpująco i postaram się opisać każdy aparat jaki posiadałem; aparat którym robiłem zdjęcia, albo taki, który przynajmniej zostawił w mojej głowie jakieś nikłe wspomnienie.

“Z kamerą wśród zwierząt”, “Aparaty pod specjalnym nadzorem”, “Obsługiwałem angielski aparat”, “Zwrotnik aparatu”, “Zbrodnia i aparat”, “Zabić aparat”, “Mechaniczny aparat”, “Nagi aparat”, “Przeminęło z aparatem”, “Sto lat aparatu”, “Aparat 22”, “Buszujący z aparatem”, “Duma i aparat”, “Grona aparatu”, “Nowy wspaniały aparat”, “Wielki aparat”, “Boski aparat”, “W poszukiwaniu straconego aparatu”, “Wichrowy aparat”, “Aparat z la Manchy”, “Błaszany aparat”, “Aparat nr 5”, “Stary człowiek i aparat”, “Monologi aparatu”, “Niektóre aparaty są z Marsa, a niektóre z Wenus”, “Czarodziejski aparat”, “Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o aparacie, ale baliście się zapytać”, “Mieć albo nie mieć aparatu”, “Aparat stepowy”, “Trzy stygmaty aparatu”, “Tako rzecz aparat” - po głowie chodzą mi dziesiątki tytułów i nie potrafię wybrać żadnego. Mam nadzieję, że nie zniechęcę się szybko; nie poczuję bezsensu i nawet w przypadku nikłego zainteresowania, nie zaniecham projektu i dociągnę go do końca. Ważne przecież jest by człowiek zostawił w życiu coś po sobie - nieprawdaż?

Wracając do meritum - pierwszy był DRUH SYNCHRO. Wydawało mi się, że pętał się w domy od zawsze, ale mam też nikłe prześlyski, że pojawił się na moje specjalne życzenie. Zawsze chciałem mieć jakieś zwierzątko - psa, kota, albo chociaż chomika. Niestety rodzice nie wierzyli w moje możliwości opiekuńcze i nie chcieli nowego domownika sprawiającego dodatkowe problemy. Ja wystarczałem im w zupełności. Nie potrafiłem przelać miłości na pluszowego misia, a kontakt z lalkami uważałem za coś zupełnie niemęskiego - przypominam, że były to lata 70. XX wieku - więc ojciec widząc moje emocjonalne zmagania z samotnością, przytargał skądś małe, bakelitowe pudełko.

Zaprzyjaźniliśmy się momentalnie. Biały wystający przycisk, robiący magiczny "klik" przy każdym wciśnięciu, nucił mi melodię do snu. Zaczynałem poranek od obserwacji świata przez magiczny celownik z pionowymi ramkami; w chwili smutku, humor poprawiało mi patrzenie przez czerwone okienko podglądu numeru klatki. Wkręcając i wykręcając plastikowy korpus obiektywu zacząłem poznawać przyjemności idące z zaburzeń obsesyjno-kompulsyjnych. Skórzany pokrowiec wydzielający woń spoconej świni po zaliczeniu Iron-Mana, upajał bardziej niż jakakolwiek używka w dorosłym świecie a zmętniona soczewka obiektywu prześlyskiwała imaginacją projekcji ostatnich lat ludzkiego życia. Nie zrobiłem nim żadnego zdjęcia; nigdy nie włożyłem filmu do środka; nie wiem co się z nim stało. Pozostał jednak w mojej pamięci na zawsze.

LUBITEL 166

1983

Następny aparat kupiłem sobie sam; zbierałem makulaturę i butelki - puszek po napojach jeszcze nie było, a na złom byłem za cherlawy. Przynosiłem dziki bez handlarkom spod spożywczaka, wyprowadzałem psa sąsiadowi a sąsiadce pomagałem w rzeczach, o których nie chcę mówić bo do końca nie wiem czy są wciąż legalne.

Uzbierałem kasę i poszedłem do osiedlowego sklepu foto. Trudno to sobie obecnie wyobrazić, ale na peryferyjnej dzielnicy Warszawy był sklep z aparatami, filmami i osprzętem do wywołania - powiększalnikami, papierami i wszelkimi odczynnikami. Wywaliłem wszystkie drobniaki na ladę i poprosiłem o jakiś aparat. Ekspedientka przeliczył mój wypocony majątek i powiedziała, że na Zenita, który był wtedy królem półek nie starczy. Ze łzami w oczach, ale musiałem pogodzić się z czymś tańszym - stanęło na dwuobiektywowej lustrzance średnioformatowej.

Chwyciłem pudełko pod pachę i przemknąłem niezauważony do swojego pokoju. (Rodzice nie akceptowali moich biznesowych przedsięwzięć, a akcji z sąsiadką wolałem się nie przyznawać, więc wmówiłem im, że znalazłem jakiegoś starocia w trawie po blokiem - do dzisiaj dziwię się, że to przeszło). Zamknąłem drzwi i zacząłem oglądać nowe чудо. Nie pachniało już spoconą świnia, a upajało przyjemnym zapachem nowego plastiku. Nawet pokrowiec był plastikowy, przepraszam - z ekologicznej skóry. Aparat nie miał matówki jedynie wielkie szkieleto, na którym ostre było wszystko, a do nastawiania odległości konstruktorzy zmatowali jedynie małe kółko po środku. Oceniać kadr należało na oko, bo celownik pokazywał go pewnie połowę. Ale czy przejmowałem się wtedy takimi nieistotnymi rzeczami jak kompozycja? Ważne, że był nowy pachnący i nie brudził rąk.

Zabrałem go na komunię kuzyna i zrobiłem jeden 12. klatkowy film, który oddałem do wywołania do osiedlowego fotografa urzędującego nieopodal kościoła. Styrana pani fotograf, przesiąknięta wonią papierosowego dymu i przepracowanego wywoływacza, robiła wszystkim

wokoło zdjęcia do dowodów i legitymacji; komunii i chrzcin; no i oczywiście raz gorzej, raz lepiej, wywoływała powierzone jej materiały. Dostawało się papierowy numerek, a po kilku dniach koperta ze zwiniętym filmem - nikt nie bawił się w cięcie na paski - i odbitkami 9x13 była do odebrania. O dziwo większość zdjęć wyszła wyraźnie i ostro. Nie wiem jakim cudem bo o fotografowaniu pojęcie miałem zerowe, a ani ja ani aparat, nie mieliśmy światłomierza. Może przeczytałem instrukcję obsługi albo miałem zwyczajnego farta? Negatyw i odbitki oddałem kuzynowi. Po niedługim czasie zobaczyłem, zwinięty rulonik filmu w pudełku pomiędzy klockami.

Nie fotografowałem nim więcej. Upajający zapach plastiku zwietrzał a ja poczułem w sobie żyłkę inżyniera-konstruktora, więc rozebrałem go na czynniki pierwsze i nie potrafiłem skrócić z powrotem. Zostało mi przynajmniej kilka soczewek do przypalania mrówek z kolegami.

SMIENA SYMBOL

1984

Rok później nabyłem następny sprzęt. Skąd miałem na to pieniądze? Rodzice nie pochwalali moje pasji; czuli, że to zawód gówny warty i powinienem zostać lekarzem, a przynajmniej dentystą. Przesiadywałem często we wspomnianym wcześniej sklepie; ekspedientka wpuszczała dzieciaka za ladę, mogłem więc do woli wymacać wszystkie Zorki, Fedy i Zenity. Tym razem wybór padł na Smienę - tą bardziej profesjonalną, bo przez naciąg pod kciukiem dawała pozory bycia zawodowcem; jeśli ktoś miał mocne palce, mógł polecieć całkiem szybką serią. Ostrość nastawiało się na oko - w celowniku nie było żadnych dalmierzy, klinów czy innych ułatwień; był za to system ikonograficzny. Na początku należało nastawić czułość filmu, co przekładało się na zafiksowaną podczas dalszego fotografowania przysłonę - ostrożnie, bo pierścień był blisko soczewki i wsadzić palec w szkło było nietrudno. Następny krok to krótkie zerknięcie na niebo i dopasowanie warunków pogodowych do ikonki (takich wygrawerowanych - Jobs dopiero niedawno odwiedził Xeroxa i nikt nie śnił wtedy o czymś w co będziemy namiętnie klikać w przyszłości). Ikonki z nieba i ikonki w aparacie należało zgrać ze sobą: słońce do słoneczka, słoneczko za chmurką, sama chmurka, chmurka z deszczem, burza, tornado i pozostałe żywioły. Po nastawieniu ekspozycji, następowało nastawienie ostrości: góry-lasy, grupka ludzi i portrecik. Obrazka robaczek nie było, więc domyślałem się, że fotografia makro odpadała.

Pojechałem z tym aparatem na wakacyjną wycieczką do Wiednia. Poza rodzinnymi ujęciami próbowałem zrobić jakieś zdjęcia na ulicy ale szło topornie, bo rodzina karciała mnie za głupie marnowanie filmu. W przerwach między streetowaniem, zwiedzałem tamtejsze sklepy foto, które doprowadzały do orgazmu - oczywiście w przenośni bo było za wcześnie na odczucia tego rodzaju. Mnogość sprzętu powalała. Zbierałem prospekty z gorliwością harcerza-zucha pracującego na odznakę mistrza makulatury. Najbardziej wkuła mi się w pamięć broszurka małego Olympusa

podobnego do mydła. Otwierała się podobnie jak sam aparat przy odsłanianiu obiektywu. Pechowo dla fotografii ale w pewnym momencie, mój wzrok przykuło małe pudełko z gumowymi klawiszami podłączone do telewizora, na którym mały ludzik przemieniał się wilkołaka. Poczułem jak fascynacja aparatami ulatnia się ze mnie jak z przekłutej opony mojego dziecięcego rowerka. Chęć do robienia zdjęć minęła a zamiast widzieć się w przyszłości jako następcę Roberta Capy - o istnieniu, którego nie miałem oczywiście wtedy żadnego pojęcia, zobaczyłem się w postaci Jobsa, Gatesa i Zuckerberga w jednym.

Po powrocie do Warszawy poszedłem na Bazar Różyckiego i sprzedałem Smienę za bezcen. Przy okazji zrobiłem zdjęcia do mojego pierwszego projektu o ludziach. Nie było to trudne, bo wciskając aparat handlarzom, wciskałem przy okazji spust migawki. Niestety nie pamiętam tamtych kadrów; ani wiedeńskiego streeta ani bazarowych przebitek. Na pewno wywołałem negatywy, bo zdjęcia rodzinne mającą mi w pamięci. Szkoda. Nie były to na pewno wielkie dzieła, ale miałbym fajną ilustrację do tekstu. Pozbyłem się aparatu, zapomniałem o fotografii i na pięć lat zanurzyłem się bez opamiętania w świecie magicznych ośmiobitowców.

JAKAŚ PRAKTYKA

1989

Matka kumpla z Chomiczówki, do którego jeździłem przez całą Warszawę oglądać pierwsze pornosy na wideo, trzymała na pawlaczu nowiutką, nieużywaną Praktycę.

Łączyła nas wielka miłość do Depeche Mode i The Cure, więc w zamian za puszkę lakieru do włosów kolega zaryzykował gniew rodzicielki i pożyczył mi na tydzień “moją” pierwszą w życiu lustrzanekę.

Nie pamiętam, żadnych parametrów kamery, nie pamiętam który to był model - ważne, że miałem w ręku prawdziwy, profesjonalny aparat. Czułem się jak młody bóg fotografii, więc czym prędzej pojechałem do centrum poszpanować nim na ulicach.

W 1989 roku skończył się w Polsce komunizm a ja z błyszczącą Praktycą na ramieniu przyglądałem się jak na pl. Dzierżyńskiego z wielkim hukiem kończy się jego pomnik. Czy szkoda mi było kasy na filmy, czy może negatyw zaginął gdzieś w osiedlowym zakładzie foto podczas wołania? - nie mogę sobie przypomnieć żadnych klatek z tamtego wydarzenia. Podobnie jak z zadymy w okolicach Politechniki, kiedy uciekając przed milicją przez dziwne uniwersyteckie pomieszczenia, bardziej bałem się o sprzęt niż o własną skórę. Lubilem kolegę i nie wyobrażałem sobie, że mogę narazić go na jakiejkolwiek nieprzyjemności. Opuściłem więc fotografowanie wrzącej wtedy Warszawy i skupiłem się na fotografowaniu koleżanek. I właśnie ten negatyw z kumpelami prężącymi się na domowym parkiecie, z wielką paprotką w tle, jest moim pierwszym filmem zachowanym w archiwum.

Po kilku dniach Praktyca w nienaruszonym stanie wróciła do kolegi - widziałem, jak odetchnął z ulgą kiedy wyjmowałem ją z plecaka. Po raz tysięczny któryś raz puściliśmy na cały regulator Music For The Masses, a w mojej głowie, cichutki głos zaczął przekonywać mnie, że powinienem związać swoje życie z fotografią.

Kaseta z "Disintegration" The Cure, godzina za godziną zdzierała głowicę mojego małego walkmana. Dorabiałem sobie do kieszonkowego w nowo powstałym, warszawskim tygodniku newsowym - przynieś, zanieś, pozamiataj; kawę zrób naczelnemu. Redakcja była super. Duża, zajmowała dwa piętra starej kamienicy na warszawskiej Woli. Gwar i rozgardiasz dawał poczucie uczestniczenia w czymś wielkim. Zaczęła się I wojna w Iraku; na ulicach Warszawy pojawiły się setki egzotycznie wyglądających ludzi; handel uliczny wciskał się w każdy zakamarek miasta; w niedługim czasie wybuchną niepokoje na Bałkanach. Maki w dziale DTP hipnotyzowały na monitorach 16. milionami kolorów tęczy, zapach wywoływacza w redakcyjnej ciemni dawał więcej przyjemności niż podróbki Chanel nr 5 ze Stadionu X-lecia; przez dział foto przewijali się prawdziwi fotoreporterzy. Nasiąkałem tym wszystkim każdym centymetrem ciała.

Za pierwszą - a może drugą pensję - kupiłem w końcu wymarzonego Zenita z dwoma dziwnymi obiektywami: 58 i 37 mm - skąd takie ogniskowe, nie wiem. Aparat był boski. Wiadomo - lustrzanka. Diody w celowniku wiały nowoczesnością; wymienna optyka dawała niesamowite możliwości na przyszłość, a... No właśnie. Przypominam sobie ówczesny zachwyt a za cholerę nie mogę dziś dociec jego powodu: matówka pokazywała nie więcej niż 60% kadru, spust chodził ciężko jak w przycisk wyciszania w ruskim budziku, a plastikowa obudowa potrafiła zaciąć rękę. Lustrzanka, lustrzanka, lustrzanka - widocznie reszta nie miała znaczenia. Biegałem z nią po Warszawie jak głupi.

W maju zaczęły strajkować autobusy i tramwaje - udało mi się wyżebrać u naczelnego pieniądze na używaną kolarkę. Pomykałem pomiędzy ciężarówkami komunikacji zastępczej i ludźmi dającymi po stolicy z buta. Fascynacja pedałowaniem zaprzątnęła mną na tyle, że często - o zgrozo! - zapominałem wyciągać aparatu z plecaka. Miałem

już swoją wymarzoną kamerę, ale najwidoczniej czegoś jeszcze brakowało.

Bożenka pracowała w dziale DTP. Miała urzekające, wielkie czarno-brązowe oczy, w których przy odrobinie nieuwagi można się było zapaść na kilka godzin, i bujne loki, którymi potrząsała z niewinnością i naiwnością dziecka. Blask słońca odbijającego się od jej gładkiej skóry, uśmiech z zębami białymi i równymi jak klawiatura najdroższego Steinwaya, kocie ruchy, którymi hipnotyzowała wszystkich samczyków wokoło, zapach jaśminu, lawendy i wszystkich pozostałych, najpiękniejszych kwiatów świata...

To wszystko powalało młodszego od niej o 17 lat, ledwo wyrosniętego dwudziestolatka. Oczami wyobraźni widziałem jak gestami wielkiego Helmuta Newtona skupiam na sobie jej uwagę i produkuję zmysłowe, powalające wszystkich zdjęcia. Nie wiem jakim cudem, ale pewnego dnia zaprosiła mnie do siebie. Kilka tygodni wcześniej rozstała się z mężem, którego wyrzuciła z domu razem z ledwo pełnoletnim synem. Wsadziłem Zenita do plecaka, upewniłem się czy mam ze sobą zapas HL-ek i w sobotni wieczór pojechałem na Ursynów.

Mieszkanie było równie niesamowite jak ona. Orientalia wychylały się z każdego zakamarka; blask świec, zapach kadzidełek, łodygi krwawnika rozrzucone na łóżku dawały ułudę filozoficznej podróży na wschód. Upuściłem majdan na podłogę i w niemym zachwycie chłonałem wszystko całym sobą. Bożenka widząc mój podziw zaczęła oprowadzać mnie po swoim królestwie. Najbardziej dumna była z wielkiej, pełnej bąbelków wanny i zawieszonego przy niej na ścianie, telefonu.

— Widzisz — powiedziała. Mogę siedzieć w kąpieli godzinami i rozmawiać. Chcesz zobaczyć? Zobacz? — wskazała palcem na różową słuchawkę.

Nachyliłem się nad wanną.

— Co za niezdara — rzuciła zaraz po lekkim pchnięciu, kiedy wylądowałem w spienionej wodzie. Jej perlisty, piękny śmiech uniósł się w całym mieszkaniu i połechtał moje zmysły. Moje, i trzech sąsiadów mieszkających na każdym piętrze nad nią.

— Chodź. Zdejmij te ciuchy bo się zaziębisz. Napijemy się grzanego wina.

Zenit leżący w plecaku na przedpokoju załkał cichutko, kiedy zrozumiał, że zostanie tam sam na całą noc. Patyczki krwawnika raniły lekko, ale zapach i smak magicznych ziół wprowadzał w błogą i intensywniejszą niż ból przyjemność... Odpłynąłem...

— Bożenka, kocham cię! Musimy być razem - wyszeptałem jej delikatnie do ucha, gdy ujrzałem pierwszy blask słońca za oknem.

— Weź przestań! Jednego faceta pozbyłam się niedawno, a następny gówniak do przewijania zupełnie mi nie potrzebny! — odsunęła się ode mnie gwałtownie.

Skarcony niczym niechciany szczeniak, zawstydzony i pełen paralizującego bólu, drżącymi rękoma sięgnąłem po ubranie i z pochyloną głową wymknąłem się bez słowa. Siedząc na przystanku i czekając na ostatni nocny autobus, poczułem że fotografia kobiet nie będzie nigdy moją specjalizacją.

START 666

1992

“Dzieci wesoło wybiegły ze szkoły / Zapaliły papierosy, wyciągnęły
flaszki...”

Lata 1992 i 1993 były wspaniałe - szkoda tylko, że pamiętam z nich tak niewiele. Dużo czarnych dziur; przebłyski zatopione w gęstym papierosowym dymie i alkoholu wzmacnianym jakimś gównem. Zasypiałem tuż przed wschodem słońca a wstawałem po południu. Błaznowałem na całego, nie przeglądając się ani w lustrze ani w nikim innym. Czekałem na koniec świata, więc nie zaprzątałem sobie głowy takimi drobiazgami jak robienie zdjęć.

— Wytargasz się ze mną w błocie?

— Proszę bardzo, nie ma sprawy, przewińmy tylko ten film odrobinę do przodu.

— Pomachaj moimi spalonymi spodniami. Gacie w ogniu, gacie w ogniu!

Nie wiem skąd miałem Starta. Nie wiem czy działał bo pierwsze, co zrobiłem to wydłubałem matówkę i przerobiłem go na popielniczkę.

— Nienawidzę BMW, szczególnie złotego, odrzuca mnie.

Nie schlebiaj sobie. Jesteś tylko niewygodnym, uwierającym wspomnieniem. Rzygać mi się chce kiedy czytam tamtą książkę. To pozycja dla idiotów, albo ślepców. Szkoda, że nie mogę napisać jej na nowo. Zmieniłbym konwencję i inaczej poobsadzał głównych bohaterów.

— Mam wyparcie.

— Zaparcie, chyba.

Kochamy, kochamy, i w końcu olewamy.

— Jak to się będzie nazywało, wiesz już?

— Powolne przemiany dezintegracyjno-destrukcyjne.

Najtrudniej było zacząć. Pierwsze pety podnoszone z chodnika i wypalane po kryjomu w piwnicy. Marsy, Kapitany, Zefiry, Stołeczne i Caro.

— Nie tykam Popularnych - Popularne to dno dla meneli.

— Przepraszam, kupi mi pan Pall Malle? 50 centów dla pana?

— OK, kupię, ale nie chcę bonów, masz dolary?

Kolega miał kiedyś słomiankę na ścianie. Cieszył się z każdego nowego zagranicznego pudełka. Zamknęli Pewexy, ładne papierosy są dostępne wszędzie za złotówki. Można schować dolary na czarną godzinę a słomiankę wyjechać w pizdu!

— Wiesz, że Camele są robione z wielbłądziego gówna?

— Ta, jasne - chyba z twojego.

Marlboro - czerwone, złote, czasem zielone. Lucky Striki, Chesterfieldy. Najładniejsze są Rothmansy i Dunhille. Robią wrażenie na dziewczynach. Reklama John Player Specjal wbija się w pamięć - wianuszek czarnych jak smoła supersamochodów, na szóstej stronie poplamionego, wymiętego i zmęczonego Playboya.

— Gacie w ogniu, gacie w ogniu.

Relanium uspokaja. Byle dużo. Ważne żeby wciąż iść przed siebie. Nie stanąć, nie usiąść. Nie patrzeć na twarz schowaną za firanką. Śledzić ślady śledzia na wypolerowanej podłodze w Marriocie.

— Nienawidzę BMW, szczególnie złotego.

- Biały Mercedes przejdzie?
- Tak ale jeszcze nie teraz, jeszcze o tym nie wiem.

Podobno jak ona mówi, że nie ma tutaj facetów, to trzeba wstać i zdjąć spodnie. Pokazać słonia z trąbą.

- Gacie w ogniu, gacie w ogniu!

Zanurzamy się w zlepkowatych głębinach mięsa, poszukując sensu w wielkościach małych czynów, będących zlepkiem małości bezsensu. Wszystko co znamy, wszystko co czujemy i określamy, nazywamy słowami będącymi zlepkiem spółgłosek i samogłosek. Zlepkowatość bezsensu sprowadza się do niezrozumienia, będącego głupimi wywodami.

Maszyny do pisania służą do zlepiania słów. Maszyna jest więc zlepkowatką integralnostojącą zwaną potocznie integralnikiem pozytywnym.

Zlepkowatość miłości polega na połączeniu pożądania pozornego z pożądaniem aktywnym, które w mniejszości przypadków kończy się gwałtem na osobie nieletniej, na przykład na szesnastoletniej dziewczynie, będącej zlepkiem starzejących się komórek. Ogłupieni idiotycznymi formułkami; nakazami i zakazami - nie potrafimy znajdować drogi do bezsensownego sensu. Głupie zlepki będące kwintesencją substytutu integralnej głupoty, będące niczym innym jak głupotą w naturalnym, czystym wydaniu. Oleander, mucha głucha głupia jest. Pająk też. Ot co.

Możemy niezdrowo dojść do wniosku, że tworzenie sensownych rzeczy jest bezsensowne, gdyż głębia sensu zostaje zagubiona w trakcie tworzenia.

- Będziesz to pił, palił czy wachał?
- Wcierał.
- W co wcierał?
- W oko albo w dupę - nie zdecydowałem jeszcze.

Nie ogarniam, że jestem w najlepiej sprzedającym się show. Nie, nie dziś. Może jutro; może wiedziałem to kiedyś, ale na pewno nie wtedy.

— Palileś kiedyś herbatę ulunga?

— Nie, ale możemy spróbować a potem zalać i wypić popiół. Wchodzisz w to?

Biały nos, biały nos, biały nos, biały nos, biały nos, biały nos, biały nos, biały nos, biały nos, biały nos, biały nos, biały nos, biały nos, biały nos, biały nos, biały nos...

Zamienić z kimś słowo, odezwać się, mówić, powiedzieć...

O kurwa! - dlaczego on jest taki mały? Za dużo tego na rynku.

— Ta popielniczka to aparat? Ale fajna! Dasz fajkę?

Jimek Morrisonek, Jimi Hendriczek, Fredek Mercurek; Mark Hollis, Leonard Cohen, David Bowie. Kurwa, koleś - trochę pokory! Jeszcze nie teraz.

— Przepraszam, mógłbyś zgasić to cygaro? Strasznie śmierdzi.

Zajebisty pomysł mam. W tej wsi jest cmentarz. Pojedziemy wieczorem. Wezmę namiot, zasłonię jej oczy i rozstawię go tuż przy nagrobkach. Przekimamy się przez noc i zobaczę jak zareaguje kiedy nad ranem rozsunie suwak.

— To jak nazwiesz tego szczura?

— Mefisto!

Anka, jeśli przeczytałaś w 1992 to co piszę teraz, pamiętaj że gdy za 15 lat przyjdzie ci do głowy kupić motor, to odpuść proszę. Zrobisz sobie reset pod kołami ciężarówki.

— Daj mi to swoje zdjęcie z pociętą buźką. Powieszę sobie w pokoju.

To kłamstwo, że pierwsze zwłoki pamięta się do końca życia - nawet jeśli przesiedzi się przy nich godzinę albo dłużej.

— Chcesz je dotknąć?

— Nie, wystarczy, że zrobię zdjęcie.

Crowley - srożej. LaVey - srawej. 3:33 to dopiero połowa nocy.

— Dobry wieczór proszę księdza. Czytał to ksiądz? Mogę pożyczyć.

Dlaczego kiedy siedzę niewygodnie odrętwiały w fotelu, widzę w telewizorze kołosa odrętwiałego wygodnie? Jeszcze raz i w kółko. Jaki jest rekord dnia?

— Zetnij do kurwy nędzy te włosy!

— Te na chuju i brwiach, też?

Byłem kim byłem, jutro będę następną wersją. W końcu się nie uda. Skończy i nie zacznie. Co komu do tego?

— Co robisz?

— Wołam film w kiblu.

— A jednak? Mogę powołać z tobą?

— Dawaj - auuuuu... auuuuu... auuuuuuuuuu... uuuuuuuuuuuuuuu...

Nie musiałem - mogłem zrozumieć, że kiedy dziewczyna wacha blaszaną różę, płatki mogą pokaleczyć jej twarz. I co wtedy robi ze swoją urodą? Jak ma żyć przez resztę życia?

— Hi, where are you from?

— Germany.

— Nice. Do you want sleep at my place?

W koszmarach sennych dobre jest to, że zawsze się można obudzić.

— Takie ładne miał spodenki, takie ładne...

N.i.e m.a t.a.k.i.e.j p.o.t.r.z.e.b.y ż.e.b.y r.e.g.u.l.o.w.a.ć o.d.b.i.o.r.n.i.k
- m.o.ż.n.a w.y.r.z.u.c.i.ć g.o p.r.z.e.z o.k.n.o.

WIZEN NOVACAM II

1993

Kosmos! Czysty niezmacony niczym kosmos! Mam go! Mam pierwszy zachodni aparat w życiu. W odtwarzaczu CD, Jim Morrison wije się obok mordercy z żabą w głowie. Cała Polska i wszystko wokół powoli robi się bardzo kolorowe. Na osiedlu powstają pierwsze minilaby a na sklepowych półkach zaczynają zalegać kolorowe filmy. Nie mogę oprzeć się pokusie - kupuję najdroższy film Kodaka, który ładuję do mojego zagranicznego aparatu; przecież nie będę go marnował w ruskim Zenicie.

Plastikowa mydelniczka rzeźbi przy przewijaniu negatywu; ma dwa czasy i autofokus z dwiema strefami ostrości: blisko - daleko. Ale to nic. Liczy się miniaturyzacja i wbudowany flesz, który wali po oczach na wszystkich urodzinach przyjaciół. Nie trzeba już ganiać za paluszkami po mieście więc nie przeszkadzają znikające w mgnieniu oka baterie. Tylko zdjęcia wychodzą jakieś takie miękko artystyczne. Ale to nic - ważne, że jest ładny, zagraniczny.

Oram nim młodzieżowe balangi i intelektualne spotkania przy kawie. Jestem pewny, że zapamiętał z tamtego okresu zdecydowanie więcej niż ja. Szkoda, że jest RODO i ochrona wizerunku - ryzykując liściaka w twarz i piąchę w nos, mógłbym dziś wypuścić niezły materiał o życiu młodzieży lat 90.

Rok później oddaję go ojcu. Wypływa ponownie po dwóch dekadach, kiedy porządkuję mieszkanie po rodzicach. Leży wciśnięty w kąt szuflady z rupieciami. Licznik klatek wskazuje 28. Majaczy mi w pamięci ostatni moment kiedy ojciec coś fotografował - może w jakieś święta kilka lat temu? Nie mogę sobie przypomnieć - uleciało. Otwieram klapkę i wyszarpuję negatyw. Siłą. Aparat charchocze jakby przeczuwał co go za chwilę spotka. W końcu rzucam wszystko do kosza; potem do zsypu. Uleciało. Nie miało szansy żeby zaistnieć.

CZAJKA 3

1993

Początek roku 2023. Kodak ogłasza, że popyt na filmy jest tak duży, że nie nadąża z produkcją i ku wielkiemu zadowoleniu akcjonariuszy zapowiada podwyżkę cen. 36-klatkowy klasyczny TRI-X ma kosztować w przeliczeniu około 100 zł, czyli tyle ile 128-gigowa karta SD, na której mój aparat pomieści 3600 RAW-ów. Zupełnie odwrotne proporcje niż na początku istnienia cyfry.

Media pieją o renesansie fotografii analogowej, a ja oczami wyobraźni widzę ostatni zryw organizmu w końcowej fazie umierania. Kolorowe paski do których przypinane są graty z mojej młodości i fikuśne torebki foto z krokodylowej, ekologicznej skóry leżą na wystawach Louis Vuitton, Hermesa i Balenciagi. Z zaciekawieniem wpatruję się w przyklejone do nich, zahipnotyzowane twarze leśnych dziadków i hipsterskiej młodzieży ze Zbawixa. Czymże wobec tego jest pięciopak małoobrazkowej Portry za 620 złotych?

Zastanawiam się ile w przeliczeniu na ówczesne, kosztował film 30 lat temu? Z pewnością niemało, bo wypstrykanie całego negatywu na domowej sesji, wyświeślało w oczach świeżo upieczonej modelki głęboki podziw. Kombinowałem jak mogłem. Poza najdroższym, powoli pojawiającym się na rynku kolorem, próbowałem przyoszczędzić z każdej możliwej strony. Stare sprawdzone HL-ki byłyby passe, a ruskim Foto 65, ratowali się upadli fotografowie zapijający swój weltschmerz osiedlowym bimbrem. Nie wiem czy dobrze pamiętam, ale wydaje mi się, że ten film nie był nawet w kasetce - zwykła plastikowa rolka z materiałem owiniętym czarnym papierem podobnie jak w średnim formacie. Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć jak to się ładowało do kamery. Kodak, Ilford, Agfa - kupowałem to w puszcze na metry, ciąłem w łazience, i pakowałem do kasetek wyżebranych z okolicznych fotolabów.

W końcu, żeby przyoszczędzić jeszcze bardziej, kupiłem od kumpla półklatkową Czajkę, na której mogłem zrobić 72 zdjęcia, więc koszty automatycznie spadały o połowę. Fajny to był aparat: mały, poręczny i

cichy. Ostrość oczywiście ustawiało się na oko, ale o poprawność ekspozycji dbał już wbudowany światłomierz selenowy. Wystarczyło kręć pokrętelem czasów lub przysłony, zgrać dwie wskazówki na obudowie kamery i nacisnąć spust. O ile znało się ograniczenia zewnętrznego pomiaru o szerokim kącie, klatki były naświetlone poprawnie i równo. Naciąg migawki, zwijanie powrotne i licznik zdjęć były na spodzie aparatu. Zastanawiał mnie tylko obiektyw. Niby dawał się wykręcić, ale centralna migawka zostawała w korpusie. Bardzo możliwe, że nie był to ficzer aparatu a po prostu rozkręcałem szkło na dwie części.

Niestety - oszczędność oszczędnością, ale jakość zdjęć nie spełniała moich ówczesnych, wysokich oczekiwań. Zastanawiałem się przez chwilę czy nie spróbować kręcić nim filmów - palce miałem wtedy szybkie i bez problemu wyciągnąłbym 24 klatki na sekundę. Niestety trzysekundowe ujęcia to było zbyt duże novum w czasach, które nie znały jeszcze tik-toka. Po kilku dniach zwróciłem sprzęt niezadowolonemu koledze.

PRAKTYKA super TL

1993

No i ruskie cudo techniki poszło i się popsuło. Jako, że nie mogłem zostać bez sensownego aparatu, w foto-komisie przy Wąskim Dunaju kupiłem używaną Praktycę super TL. Używana, ale z większym wizjerem i mimo wszystko przyjemniejszą kulturą pracy niż Zenit. Najważniejsze, że gwint ten sam, więc mogłem wkręcić swoje ulubione obiektywy. Nie pamiętam żadnych parametrów tego aparatu. Wszystkie lustrzanki z tego okresu, szczególnie te z krajów demokracji ludowej były do siebie zbliżone, a różniły się głównie jakością wykonania.

Nie zwracałem wtedy uwagi na aspekty techniczne. Interesowało mnie jedynie fotografowanie i prosta rejestracja tego co widzę. Nie miałem pojęcia co to głębia ostrości, jasność szkła czy kąt widzenia obiektywu. Znaczy - widziałem, że na jednym jest szeroko a na drugim wąsko, ale jaki to ma wpływ na perspektywę - tym nie zaprzątałem sobie głowy. Byłem czysty jak dziewicza, niezapisana kartka papieru; zero obciążeń w postaci dzieł wielkich mistrzów i kanonów sztuki. Jeśli się nie wie, że czegoś nie wolno i że wszystko już było, świat wydaje się ciekawszy; można rozświetlać go na własną rękę i mieć wywalone na ciemność wokoło - dopiero z wiekiem i doświadczeniem przychodzą ograniczenia i poczucie obciachu.

W świecie onanistów sprzętowych należy trzymać rękę na pulsie bo zmiany następują szybko; śledzić wszelkie nowości i licytować się na wielkość obiektywu, lub ilość pikseli na matrycy czy halogenków srebra w żelatynie. W kręgu sztuki - orientować się kto jest kim; komu podawać rękę a na czyj widok przechodzić na drugą stronę ulicy. No i najważniejsze - znać się na historii fotografii; tej starszej i nowszej. Umieć rzucić w rozmowie nazwiska Cartier-Bressona, Ansela Adamsa czy Richarda Avedona.

Nie miałem pojęcia o niczym z powyższych. Nie widziałem nic o miniaturyzacji fotografii przez Lajkę, czy o locie Hasselblada w kosmos;

nie przychodziło mi do głowy, że użytkownicy Canona i Nikona toczą ze sobą odwieczną wojnę.

Mijając warszawską siedzibę ZPAFu nie czułem absolutnie nic; ze sławnych fotografów kojarzyłem jedynie moją starą ciotkę, która 10 lat wcześniej robiła zdjęcia na komunii ciotecznej siostry - miała wielką lampę błyskową z bateriami w torbie przewieszanej przez ramię.

Krążyłem po osiedlu i z zupełną beztroską strzelałem klatki na lewo i prawo. Nie czułem, że mazanie flamastrem po odbitce to nie sztuka a żenada, i nie przeszkadzało mi, że bezrefleksyjne walenie fleszem na wprost, spłaszcza obraz. Ignorancja dodawała mi skrzydeł. Wznosiłem się niczym Ikar ku słońcu.

Kilka tygodni później Zenit doznał cudownego uzdrowienia, a Praktica odleciała do krainy wiecznego fotografowania. Oczywiście próbowałem ją naprawić, ale skończyło się jak zawsze - na tarzaniu w śrubkach.

CANON EOS 1000FN

1993

Świat stał przed Polakami kolorowym otworem; wreszcie bez żadnych ograniczeń można było podróżować, zwiedzać i wypoczywać. Trzy samiczki i trzech samczyków zapakowało się do lekko zmodyfikowanego dostawczaka i ruszyło na szybki podbój Europy. Niemcy, Benelux, Francja, Niemcy, Warszawa - wszystko w niecały tydzień. Nie chodziło przecież o zwiedzanie a o czysty szpan i opowiadki gdzie się było i co się widziało. A że widziało się niewiele i w przelocie...? Może jak u Kerouac'a - nie cel a podróż sama w sobie??? Było, nie widziało, widziało, czuło, było - ciasno ale przyjemnie.

W drodze powrotnej wstąpiliśmy na zakupy do niedużego, luxemburskiego sklepu foto. Kolega kupił wielką, kamerę VHS a ja nabyłem EOSa 1000FN. Cudo techniki. Zamiast wpatrywać się w zapierające w piersi widoki za oknem i grać w gry na barłogu w busie, podziwiałem mój nowy profesjonalny aparat. Wbudowany, wyskakujący profesjonalny flesz, profesjonalny obiektyw 35-80/4-5.6 kręcący się w profesjonalnej ciszy po lekkim wciśnięciu profesjonalnego spustu.

W tej kamerze wszystko chodziło jak w japońskim zegarku. Plastik nie ranił rąk, patrzenie w celownik przypominało oglądanie filmu w kinie Relax, a ciekłokrystaliczny wyświetlacz swoją przejrzystością porażał synapsy w mózgu. Klikałem i kręciłem wszystkim czym się dało się kręcić i klikać. Jak każdy prawdziwy facet nie zaprzątałem sobie głowy czytaniem instrukcji a doświadczałem wrażeń na własną rękę. Preselekcja przysłony, preselekcja czasu, program, manual; no i mega prędkość - 10 klatek na sekundę! Ponad to, mega ficzer - melodyjki podczas odliczania samowyzwalacza! Aparat był tak pachnący i czysty, że szkoda go było brukać zakładaniem filmu. Pozostałą część wycieczki przepstrykałem na siłę Zenitem, nie dbając co załapie mi się w kadrze.

Ostatniej nocy podróży, gapiąc się w gwiazdy migocące na sklepieniu nieba, coś w mojej głowie - jakiś cichy ledwo słyszalny głosik -

wyszeptało mi do ucha, że fotografia to nie tylko zdjęcia; że istnieje jeszcze poza nią jakiś inny magiczny, nieskończony świat pełen soczewek, celowników, przełączników oraz brzęczących i niebrzęczących silniczków.

Wróciliśmy do domu. Odważyłem się założyć film. Kolorowy, najdroższy jaki był na półce w moim osiedlowym labie. Po suchym treningu zacząłem wgryzać się w praktykę. 10 klatek na sekundę okazało się wielokrotną ekspozycją, a profesjonalny obiektyw przy robieniu zdjęć był bardziej upierdliwy niż jego ruski, jaśniejszy odpowiednik. Na szczęście sytuację rozwiązywała pożerająca w zastraszającym tempie drogą baterię, wbudowana lampa błyskowa. Zrozumiałem, że lans i nowoczesność mają swoją cenę.

Kiedy pojechałem z dziewczyną na weekend do Zakopanego, liznałem nim odrobinę profesjonalnej fotografii górskiej na diapozytywie, Velvii. Głównie jednak skupiałem się na muzyce: Wagony kolejki Warszawa - Błonie stały się moim podstawowym środkiem transportu na trasie, na której razem z jedną z podwarszawskich kapel obskakiwałem wszelakie koncerty i pokoncertowe spotkania przy pączkach i herbacie. Amsterdam, Nora, Index, Dziupla, Park, Giovanni - nie pamiętam już czy te knajpy istniały naprawdę czy to konfabulacja mojego mózgu. Dziękowałem opatrności i cieszyłem się, że mam w aparacie flesz, autofokus i zielony tryb automatyczny, dzięki którym mimo rozdygotanych członków i mętnego wzroku mogłem złapać w miarę ostrym kadrze esencję prawdziwej muzyki.

There is no pain you are receding / A distant ship's smoke on the horizon / You are only coming through in waves / Your lips move but I can't hear what you're saying / When I was a child I caught a fleeting glimpse / Out of the corner of my eye / I turned to look but it was gone / I cannot put my finger on it now / The child is grown / The dream is gone / But I have become comfortably numb.

CANON EOS 600

1994

OJCZE ŚWIĘTY, MATKO BOSKA, JEZU CHRYSSTE!!! - odkryłem giełdę fotograficzną! Dwa piętra, sala koncertowa, foyer, kawiarnia i tłumy przeciskającymi się między sobą ludzi jak na peronie Dworca Centralnego w piątkowe popołudnie. W życiu bym nie pomyślał, że na świecie jest tyle modeli aparatów fotograficznych. Oszołomiony, błądziłem wzrokiem po stolikach i zastanawiałem się czy nie trafiłem przypadkiem do fotograficznego nieba. Przez następne 20 lat, zamiast do kościoła, w każdą niedzielę jeździłem do Stodoły.

— Dzień dobry, mógłbym zobaczyć tego Phase One’a?

— Tylko pan nie pstryka — odpowiedział handlarz podając mi aparat.

— Nie pstryka?

— Zdjęć pan nie robi.

Obejrzałem, popatrzyłem w celownik i oddałem z powrotem.

— Jeden pstryknie, drugi pstryknie a potem nówka-aparat-nieśmigany a zużyty — zniesmaczony sprzedawca zaczął wycierać kamerę irchową ściereczką zdecydowanie brudniejszą niż moje palce. — Plam taki narobi. Tłustych. Dotrzeć się później nie można.

— Dobrze, dziękuję. To ja może się jeszcze zastanowię... — wybąkałem grzecznie i przepraszająco, próbując nie zerkać w pełne oburzenia oczy.

Nie ma co się okłamywać - byłem typowym macaczem, od których opędzali się wszyscy sprzedający. Wnikliwym spojrzeniem oceniali potencjalnego kupca i wedle uznania dopuszczali do obcowania z najnowszymi cudami techniki. Z wiadomych względów, ze starszymi konstrukcjami nie było takiego problemu.

Przez dwie dekady poznałem tam masę ciekawych ludzi i przewaliłem sporo kasy na szybkich apgrejdach sprzętu, a filmy “od faceta przy kiblu”

niejednokrotnie ratowały mój budżet. Z rozrzewnieniem wspominam pojedyncze stoliki największych obecnie polskich sklepów fotograficznych.

Pierwszym aparatem, którego stamtąd wyniosłem był Canon EOS 600. Zrezygnowałem ze swojego ostatniego cuda techniki i zamieniłem je na starszy, aczkolwiek bardziej profesjonalny model, który zamiast plastikowego, miał w metalowy bagnet. Wywołałem wielkie zdziwienie na twarzy sprzedającego kiedy oznajmiłem mu, że zostawiam sobie dotychczasowy obiektyw. Nie oponował - skoro młody człowiek ma fantazję zamienić siekierkę na kijek, to czemu ma dyskutować z młodzieńczą fantazją?

W szczegółach technicznych, aparat nie różnił się znacząco od swojego poprzednika. To co pamiętam najbardziej to dziwne symbole "CL" i "OP" w wyświetlaczu w trybie manualnym. Musiało minąć trochę czasu nim zorientowałem się co oznaczają.

W drodze powrotnej spotkałem niespodziewanie kumpla z klatki. Od słowa do słowa, zgadało się, że obaj jesteśmy pasjonatami foto. Dostałem od niego kilkadziesiąt kilogramów Foto-Kuriera, w którego wsiąknę na dłuższy czas. Powoli dostawałem olśnienia i zacząłem rozumieć, coś co cichy głos próbował powiedzieć mi już wcześniej, że zdjęcia są tylko nic nieznaczącym dodatkiem w świecie pełnym zaawansowanych cudów techniki. Wyobrażałem sobie, że pewnego dnia uda mi się kupić kilka Nikona F4 lub Canona EOS 1 z pełną gamą optyki, co pozwoli stać mi się najlepszym fotografikiem na świecie.

LEICA R5

1994

Czytam, czytam, czytam; chłonę każdy numer Foto-Kuriera i miesięcznika Foto. Powoli zaczynam rozumieć, że mój Canon to zwyczajne gówno, którym nigdy nie uda mi się zrobić dobrego zdjęcia. Znajduję artykuł o Lajce; o jej legendzie i historii powstania małoobrazkowego filmu. Nie kojarzę jeszcze żadnego z wymienionych nazwisk, ale wierzę autorowi na słowo, że fotografują nią najwięksi. Jadę na giełdę i zaczynam polować, mając nadzieję że mi się poszczęści i znajdę coś z czerwoną, magiczną kropką.

W końcu się udaje. Trafiam na super komplet - Leica R5, dwa obiektywy: 28 i 50mm; do tego dwukrotny extender, winder i gustowna, skórzana torba foto. 28 i 50 plus extender, czyli praktycznie mam cztery obiektywy: 28, 50, 56 i 100mm. Mega okazja! I to wszystko za jedyne 40.000.000,- złotych! Już nigdy nie zapłaciłem więcej za sprzęt foto i czuję, że nigdy w przyszłości nie pobiję tego rekordu.

Sprzedający patrzy dziwnie na młodego macacza; dziwi się jeszcze bardziej kiedy transakcja dochodzi do skutku i macacz wyciąga z kieszeni plik banknotów. Po krótkiej wymianie zdań, dowiaduję się, że to znany warszawski fotograf.

Kilkanaście lat później, kiedy na fesjbukowym łańcuszku lecą wspominki, piszę jak się poznaliśmy ale kolega oponuje - twierdzi, że nigdy w życiu nie miał Lajki. Może już wtedy wiedział, że to zwyczajna błyskotka dla snobów i bogatych dentystów?

Nie będąc świadom obciachu, zaczynam podziwiać nową zabawkę - wszystko jest takie mocne, dobrze spasowane; chodzi jak niemiecki zegarek. Delikatne, czerwone cyferki w celowniku i matówka wielka i jasna jak dzisiejsze ekrany MacBooka Pro, wybijają moje oczy w kosmiczną orbitę niemego zachwytu. Silnik ciągnie film pewnie i mocno; pokręta przysłony i czasu klikają jak w szwajcarskim sejfie. Tak -

złapałem pana boga za nogi i wiem, że do zostania najlepszym fotografikiem świata brakuje już tak niewiele. Wkładam film i testuję.

Testuję, testuję, testuję. Nie cykam już gównianych kwiatków, ptaszków czy krajobrazików. Zachłannie rzucam się na ulice Warszawy. Robię pierwsze sensowne zdjęcie do portfolio, które siedzi w nim do dzisiaj. Wydaje mi się, że stałem się fotografem.

Mam dużo szczęścia, że moja ulubiona koleżanka z osiedla studiuje dziennikarstwo na UW. Powoli wsiąkam w studenckie towarzystwo i zaczynam chwycać pierwsze płatne tematy. Jeżdżę po stolicy i po Polsce. To tylko mało znaczące tygodniki i miesięczniki, ale całym sobą czuję, że niedługo będę najlepszym fotografem LIFE'u. Napędza mnie euforia; jestem panem świata! Czyż może być lepszy zawód dla prawdziwego mężczyzny?

CONTAX 167 MT

1994

W zeszłym wieku, każdy szanujący się zawodowiec musiał posiadać przynajmniej dwa aparaty: Jeden, wiszący na szyi, gotowy do natychmiastowego strzału; drugi zawieszony nonszalancko na ramieniu czekający by w razie gorących akcji spieszyć ze wsparciem. Perfekcioniści i mistrzowie nie schodzili poniżej trzech. Przeważnie były to dwie lustrzanki i jakiś niepozorny dalmierz do zdjęć dyskretnych. Wiedziałem, że bez drugiej kamery moja postać profesjonalnego reportera będzie zupełnie niewiarygodna. Jako, że nie było mnie stać na następną Lajkę musiałem zadowolić się mniej legendarną firmą. Poszedłem na giełdę i kupiłem Contaxa 167 MT. Kapitałny aparat; mały, szybki, niepozorny. Podobnie jak w większości kamer tej firmy, wszystko było w nim na odwrót. Tam gdzie pozostali producenci łądowali pokrętło czasów albo wyświetlacz - miał on korekcję ekspozycji; tam gdzie inni korekcję ekspozycji - pokrętło czasów; wyświetlacz w celowniku zamiast standardowo na dole był nad matówką; małych baterii AAA nie łądowało się do gripa tylko na spód kamery, a przycisk zwijania powrotnego filmu był przy bardzo szybko reagującym spuście; małe kółko na tylnej ścianie pozwalało na kontrolę przesuwu filmu.

Myślę, że Contax był prawdopodobnie najbardziej innowacyjną firmą foto, a jej patenty robiły największe wrażenie na gościach wszelakich targów fotograficznych. Począwszy od pierwszego dalmierzowca, konkurenta Lajki, w którym ostrość ustawiało się pokrętłem przy spuście zamiast na obiektywie, po następne rozwiązania rodem z futurystycznych filmów - wszystko było czymś nowym i dotychczas niespotkanym: Contax RTS III przysysał film do tylnej ścianki; Contax RX pokazywał na wyświetlaczu pod matówką, elektroniczne wspomaganie nastawiania odległości i głębi ostrości; Contax AX oferował autofocus w manualnych szklach - skoro nie dało się kręcić obiektywami, wystarczyło suwać w środku całą komorą filmu, lustra i pryzmatu. Następny autofocusowy

Contax N1 poza ciekawym rozkładem punktów AF w celowniku i joysticka do ich wyboru, jako dodatkowe akcesorium oferował elektroniczny celownik na kablu. Zakładało się go zamiast muszli ocznej i trzymało w ręku monitorem ze spustem i możliwością korekcji ekspozycji - obraz można było obserwować w kolorze i czarno-bieli. O tylnych ściankach, które posiadały możliwość naświetlania danych pomiędzy klatkami albo hurtem na dwóch pierwszych, nie będę się rozpisywał bo to funkcja zupełnie nikomu nie potrzebna.

Celownikowa seria G, nie dość, że w odróżnieniu od Lajek, zmieniała pole widzenia wizjera przy zmianie obiektywu, to w przypadku zooma robiła to płynnie - wystarczyło kręcić pierścieniem a celownik dostosowywał się do ogniskowej. Swoją drogą - gdyby istniała cyfrowa wersja G2, pewnie dzisiaj fotografował bym tym aparatem.

Szczeniaki serii T mieściły się do kieszeni, a średnioformatowy 6x4.5 oferował autofokus w MF trzy lata przed Hasselbladem H1 i Rolleiflexem 6008AF.

O obiektywie N-Mirotar 210/0,03 nie wspomnę, bo to elektroniczna zabawka dla zboczeńców-podglądaczy.

Concorde już nie lata bo się nie opłaca, bazy na księżycu nie mamy bo nie da się na tym zarobić; pogoń za wyzwaniem zamieniliśmy na pęd ku kasie. Kiedy pomyślę o sprzęcie foto z XX wieku, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dzisiejszym firmom nie zależy zupełnie na wywieraniu wrażenia na potencjalnych klientach. Ich innowacyjność sprowadza się do coraz gęstszego upychania pikseli na matrycy i ładowania do środka aparatu coraz szybszych procesorów. Jedyna nowość jaką dostrzegłem w przeciągu ostatnich 20 lat to zamiana pryzmatu na wizjer elektroniczny - a i tak, rzecz to znana z pierwszych wideokamer lat 80. O dizajnie nie warto wspominać bo z roku na rok jest praktycznie niezmienny. Łza sentymentalizmu pojawia się w moich oczach, kiedy przypomnę sobie mnogość aparatów z minionego wieku. Można było wybierać we wszelakich rozmiarach i wielkościach; od miniaturowych Minoxów, trochę większych od kciuka; przez półklatkowe Olympusy i pełnoklatkowe

rzesze lustrzanek i dalmierzy; średnioformatowe SLR-y, TLR-y i RF-y; wielkoformatowe fieldy i viewy; aparaty techniczne z szerokimi shiftami; panoramiczne 6x17, Noblexy i Wideluxy z obrotowym obiektywem i Roudshoty, które kręciły się całe sobą.

Gdzie to wszystko jest dzisiaj? Gdzie podziała się wyobraźnia konstruktorów fotograficznego sprzętu? Przecież obecnie jest łatwiej - nie trzeba kłopotać się miejscem na film. Biznes, biznes, biznes.

Nie narzekajmy i cieszymy się naszymi cyfrowymi zabawkami ile możemy, bo w niedługiej przyszłości zostaną tylko smartfony i sztuczna inteligencja.

Sprzętowo się zrobiło. Ale przecież nie samą sztuką człowiek żyje. Zabawmy się, bądźmy niczym Leonardo DaVinci - popuśćmy wodze technicznej fantazji; wyobraźmy sobie, że jesteśmy Stevem Jobsem - mamy nieprzebrane zasoby gotówki i możemy cisnąć inżynierów do granic ich możliwości. Jaki aparat byście sobie zamówili? Osobiście przychodzą mi do głowy trzy modele:

1. Lajka M z autofocusem i zachowaną możliwością nastawiania ostrości dalmierzem w starych szklach; myślę, że ruchoma matryca rozwiązałaby problem.

2. Średnioformatowy bezlusterkowiec z wysokorozdzielczym (co najmniej pierdylion dpi) celownikiem z kominkiem jak w analogowych lustrzankach MF; obracana w środku matryca, eliminująca konieczność majtania aparatem pion-poziom i kompatybilność z Hasselbladowymi szklami Zeissa serii V.

3. Panoramiczna kamera z ruchomą listwą skanującą zamiast szczeliny w migawce. Dwie wersje; jedna o płaskim przebiegu jak w XPanie; druga, obrotowa - jak w Wideluxie i Roudshocie. Wiem, to już było: Leica S1 Pro i Seitz 6x17, mogłoby być jednak mniejsze i szybsze.

LEICA MINI-ZOOM

1995

Miałem już zawodowy, nonszalancki look, ale dźwiganie dwóch kłopotów przewieszonych przez szyję trochę męczyło. Zacząłem rozglądać się za czymś małym i poręczniejszym; za czymś co mógłbym schować do kieszeni i mieć zawsze przy sobie. Po niedługich poszukiwaniach padło na Lajkę Mini-Zoom. Całkiem niezły obiektyw 35-70, który dawał bardzo dobre jakościowo obrazki, wbudowana lampa i ogólne spasowanie całości sprawiało, że aparat robił świetne wrażenie w ręku. Co ważne, wbudowana całkowita automatyka sprawdzała się idealnie w prawie każdych warunkach. Jedyną wadą jaką pamiętam to lekkie opóźnienie migawki; po naciśnięciu spustu kamera potrzebowała ułamek sekundy na ustawienie ostrości - dało się z tym żyć.

Przekręciłem nim wiele rolek - zawodowych jak i prywatnych. Bywał ze mną w takich miejscach i widział takie rzeczy, że wciąż po latach rumienię się na ich wspomnienie; w niektóre negatywy boję się zerkać, bo wciąż siedzi tam ciężki do przetrawienia lęk.

W 1997 pracowałem już w Życiu Warszawy. Szef zlecił materiał z Bazaru Różyckiego i Brzeskiej, na zrobienie którego z oczywistych względów nikt nie miał ochoty. W końcu padło na mnie. Powiedziałem, że wezmę temat, ale chcę mieć wolną pozostałą część dnia. Zostawiłem duży sprzęt w domu i poszedłem na bazar z Lajką w kieszeni. Zrobiłem kilka zdjęć z przyczajki, zostawiłem niewywołany negatyw w redakcji i pognąłem na Służew poskakać przy U2.

Rok później, na chorzowski koncert Rolling Stones przemyślałem ją w majtkach. Ochroniarze macali po nogach, udach, tyłku i biodrach a lekkie wybrzuszenie nad kroczem nie wzbudzało ich zainteresowania. Swoją drogą - paranoja i profesjonalizm managementu zespołu zadziwiał. Przed wejściem na stadion należało oddać telefony komórkowe do szatni, z której odbierało się je po koncercie - kto zgubił numer miał przechłapanie. Nie chodziło zapewne o zdjęcia, bo ówczesne komórki

jeszcze takowych nie robiły, a raczej o nielegalne bootlegi, popularne wciąż w tamtych czasach. Na wydanej jeszcze w tym samym roku płycie koncertowej, słyhać przyśpiew polskich fanów i Jaggera oznajmiającego łamaną polszczyzną, że miło mu w Polsce być.

Jak opowiadał mi kumpel z redakcji - tuż przed koncertem obsługa zgromadziła wszystkich fotografów i zakomunikowała, że do fotografowania początku show sugerują użycie obiektywu 80-200, czasu naświetlania i przysłony takiej a takiej, na czułości takiej a takiej. Koledzy popukali się w głowę ale pobłażliwe uśmiechy zeszły im z twarzy kiedy okazało się, że oświetlenie podczas trzech pierwszych kawałków było idealnie dopasowane do zaproponowanych ustawień. Czyż nie był to profesjonalizm w czystej postaci?

Podobnie jak wcześniej z Wizenem, obskakiwałem nią wszystkie młodzieżowe balangi, które zważywszy na to, że byłem starszy i niezależny, miały w sobie więcej rozpasanej wolności niż imprezy z lat wcześniejszych. Zabrałem ją do klubu ze striptizem na wieczór kawalerski kolegi. Nie wiem czy byłem tak pijany, że miałem odwagę wykręconą na maksa, czy też to striptizerki miały wywalone na błyskający flesz - faktem pozostaje, że do domu wróciłem ze zdjęciami.

W 1999 przesiadłem się na coś jeszcze mniejszego a Lajka, razem z gustownym lniano-skórzanym piterkiem powędrowała do kumpla.

OLYMPUS OM40

1996

— Po weekendzie pojedziemy pod most żerański robić materiał o Rumunach — oznajmiła niespodziewanie koleżanka z redakcji.

— Masz na myśli te obozowisko w krzakach? — upewniłem się czy myślimy o tym samym.

— Tak. Wezmę trochę czekolady i rozdamy dzieciakom. Przy okazji pogadam, a ty coś cykniesz — zakończyła optymistycznie.

Koczowisko imigrantów pod mostem znał chyba każdy; dziesiątki skleconych z byle czego domków, ginących w wykarczowanych już gdzieśgdzie resztkach drzew, straszło przejeżdżających mostem, pędzących z rana do roboty Warszawiaków.

“No nie - za chuja wafla”, pomyślałem, “Nie wezmę Lajki. Będzie jakaś szarpanina i stracę sprzęt”. Temat był poważny więc z samego rana w niedzielę pobiegłem na giełdę po jakiś tani aparat. Padło na Olympusa OM40 z szerokim szkłem - nie pamiętam czy była to 28-ka czy 35-ka. Nie testowałem go, nie uczyłem - wszystkie sprzęty z tamtego okresu, a szczególnie klasyczne lustrzanki nie różniły się między sobą: trójkąt ekspozycji i ostrość na matówce - to wszystko co należało wiedzieć by robić zdjęcia. W poniedziałkowy rano spotkałem się z dziennikarką na moście; zeszliśmy na dół i wzięliśmy do roboty. Obyło się całkiem spokojnie. Nikt nie bił i nie krzyczał - jeden starszy mężczyzna pogroził palcem. Koleżanka pogadała z kobietami, przepytwała młodych chłopaków, a dzieciakom rozdała czekoladę i cukierki. Z tego co pamiętam zdjęcia poszły do kilku różnych gazet.

Wróciłem do domu i zacząłem oglądać nowy sprzęt. Fajny sprzęt - Olympusy zawsze były fajne. Nie miały oczywiście takiej legendy jak Lajka, ale fotografowało się nimi całkiem przyjemnie. Z ciekawostek: był tam jakiś magiczny ABS czy ESP - nie mogę sobie przypomnieć dokładnej nazwy. Po włączeniu owego systemu, aparat odpowiednio korygował ekspozycję w zależności jak duża była różnica między centrum a bokami kadru. Nie pamiętam zbyt wielu innych rzeczy; nie wchodziłem w to

głębiej bo po zrobieniu jednego tematu sprzedalem go kolezance. Ot, taka - jednotemtownia.

— Bosz... Jakie gówno! Jak można czymś takim robić zdjęcia? — wyrwało mi się na głos znad płachty styków. Prawie połowa kadrów z ostatniego koncertu była nieostra albo poruszona. Fakt - mogłem forsować negatyw a nie rzeźbić na 400-ce, ale zniechęcenie i potrzeba zrzucenia winy na kogoś lub coś innego zwyciężyła; postanowiłem porzucić ekskluzywność Lajki i szlachetność klasycznych konstrukcji na rzecz nowocześniejszych rozwiązań.

Kumpel z giełdy mieszkał na osiedlu kilka ulic ode mnie. Zadzwoń i odwiedź go z gratami. Po krótkiej, biznesowej burzy mózgów skończyło się na wymianie mojego całego sprzętu, na najnowszego, najbardziej profesjonalnego i wszystkomającego EOS-a. Tymczasowo wziąłem od kolegi plastikowy, amatorski zoom, który po najbliższej giełdzie miał zamienić mi na coś lepszego.

Wróciłem do domu i zacząłem podziwiać supernowoczesny wytwór inżynieryjnego kunsztu załogi Canona. Aparat robił wszystko szybko, bardzo szybko - ostrość nastawiała się w mgnieniu oka, a motor ciągnął film na granicy spalania emulsji. Mnogość funkcji powalała; nie miał jeszcze autofokusa sterowanego okiem - ten ficzer pojawi się za 25 lat jako nowość w ultranowoczesnym EOS-ie R3 - ale poza tym, nie było niczego co istniało ówczesnie na rynku, czego nie miał ten aparat. Odnosiłem wrażenie, że jeśli postawię go na podłodze, zacznie zawiązywać mi sznurówki.

W poniedziałek poszedłem do kumpla na obiecaną podmiankę. Niestety kolega rozejrzawszy się na giełdzie, zauważył, że robi kiepski biznes i dał mi do wyboru - albo zostawiam sobie plastikowe szkieleto, albo cofamy transakcję. Po dniu obcowania z fotograficznym hi-techem nie wyobrażałem sobie powrotu do skansenu manualnych lustrzanek, więc wybrałem trzecią bramkę i wszedłem od niego z...

NIKON F90X

1996

... co prawda półprofesjonalnym, aczkolwiek równie szybkim Nikonem F90X. Żeby nie cierpieć i nie zalewał się łzami, sąsiad dorzucił mi do niego zgrabnego Nikkora 20/2.8D i lampę błyskową. Jako, że nie było mnie stać na żaden inny obiektyw, przez dwa miesiące moja fotografia charakteryzowała się bliskim podejściem do tematu. Szczerze przepraszam wszystkich, którym musiałem wtedy robić portrety.

Aparat był równie szybki jak konkurencyjny Canon, ale zajmował mniej miejsca w torbie. Nie wiedziałem, czy to wada czy zaleta - obsesji na punkcie wielkości i niedźwigania tobołów jeszcze nie miałem, ale podświadomie czułem, że wielki sprzęt i długi zoom robi wrażenie na potencjalnych klientach i modelach. Autofokus pomykał jak zając na pachnącej wiosennej łące, a zdjęcia wychodziły ostre jak brzytwa. Nic dziwnego - przy ogniskowej 20mm nie mogło być inaczej. Po niedługim czasie dokupiłem Sigmę 28-70/2.8 i zacząłem rozglądać się za jakąś poważniejszą robotą niż magazyny dla kobiet, młodzieży i dzieci.

Latem 1997 roku wszyscy fotoreporterzy pojechali na południe Polski fotografować powódź tysiąclecia, więc wykorzystałem moment i poszedłem z portfolio do Życia Warszawy. Musieli mieć duże braki kadrowe bo przyjęli mnie od ręki. Jeszcze tego samego dnia dostałem telefon z pytaniem czy mogę nazajutrz pojechać na temat. Pamiętam doskonale bo musiałem zerwać się przed świtem, żeby na 6:00 rano dotrzeć do Markotu na Marywilską i sfotografować wyjeżdżający w trasę konwój z darami dla powodzian. Mimo, że sytuacja na południu powoli się uspokajała i fotoreporterzy wrócili do Warszawy, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu nie wywalili mnie z roboty i przez następny rok czy dwa, dzień w dzień biegałem po ulicach miasta trzaskając foty na lewo i prawo. Uliczne korki, dziury w jezdni, remonty, demonstracje, koncerty, wybuchające i niewybuchające bomby, politycy w sejmie, no i przede wszystkim znienawidzone przez wszystkich "główki" czyli małe portreciki

do krótkich wywiadów i opinii. Nie lubił ich nikt, bo płacili za nie tylko 10zł - kiedy pomyślę sobie po ile chodzą dzisiaj zdjęcia w agencji, robi mi się smutno.

Z rozrzewnieniem wspominam system rozdzielania tematów. Na początku telefoniczno-stacjonarny: zaraz po wieczornym planowaniu, koło 22:00 (?), dyżurujący fotograf dzwonił do domu i zlecał rzeczy na poranek następnego dnia; następne rozdzielano już na miejscu. Po kilku tygodniach dostałem zaszczytu posiadania służbowego pagera. Strasznie upierdliwe i wkurzające urządzenie, pozwalające jedynie na jednostronną komunikację, przez co odpadało marudzenie i próby wykręcenia się od nudnych czy trudnych zadań. Info na wyświetlaczu było bezlitosne: Handel wódką na stadionie XX-lecia, jutro o 7:00! - nie było wymówek w stylu boli głowa, tramwaj stanął, dziewczyna zamknęła drzwi mieszkania od zewnątrz.

Na szczęście to cudo techniki, dosyć szybko zostało zastąpione przez zalewające rynek telefony komórkowe, które pozwalały poczuć się jak wolny ptak i prawdziwy flaner: Nie musiałem warować w domu przy słuchawce, czy zalegać w redakcyjnym bufecie przy parówkach z mikrofalówki. Komfort bezcelowego krążenia po mieście, kafejach i różnych innych przybytkach uskrzydlał; nie ważne gdzie się było - ważne żebym miał naładowaną baterię w telefonie, aparat w torbie i mało alkoholu we krwi.

Z początku robiliśmy zdjęcia tylko na czarno-białych filmach. Naświetloną rolkę, albo pół - bo firmowy materiał trzeba było oszczędzać i przewalenie całego negatywu na jakiś mały bzdet skutkowało dywanikiem u szefa - oddawaliśmy laborantowi do ciemni, skąd po niecałej godzinie wynosił wglądówki 13x18, które rozkładaliśmy na stole i układaliśmy w jakieś sensowne story. Oczywiście taka sytuacja nie zdarzała się na codzień a tylko przy ważniejszych tematach - przy mniej ważnych, pochylaliśmy się nad stykówką z lupą w rękę.

Z czasem zaczęliśmy odchodzić od czarno-bieli. Coraz więcej stron w gazecie było kolorowych, więc ryzykowanie, że jakiś temat wpadnie na kolorową a zrobiony był w monochromie było niewskazane. Ciemnia stała

się miejscem gdzie dało się odsapnąć i schłodzić w upalne dni. Napisałbym, że napić piwa, ale przecież to kłamstwo - żaden odpowiedzialny fotoreporter nie pił nigdy w pracy. Od czasu do czasu można było pozwolić sobie na prywatę i zrobić wypieszczoną odbitkę na barycie do portfolio.

Stałem w redakcyjnym barze czekając na parówki z keczupem z mikrofali i uśmiechałem się do naszej młodziutkiej, pięknej, zgrabnej i cudownie opalonej "bufetowej". Nim dzwonek w kuchence zdążył dźwięknąć, do kolejki uśmiechających i wzdychających wepchnął się nowo zatrudniony fotoedytor.

— Cześć?

— Cześć? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

— Byś zrobił rundkę wokół pałacu.

— Czekam na parówki.

— Zjesz jak zrobisz, chodź.

— Ja wezmę twoje parówki — zaoferował kolega z tyłu.

— Co z tym pałacem? — dopytałem wychodząc z fotoedytorem przed redakcję.

— Zrobisz kółko i sfotografujesz z każdej strony. Tylko wiesz, szeroko i żeby się nie waliło.

— Ile z tego pójdzie?

— Jak zrobisz z każdej strony, to co najmniej cztery. Ile stron może mieć Pałac Kultury?

— Teoretycznie cztery, ale z drugiej strony...

— Weź nie mędrkuj tylko rusz tylek, bo mi to potrzebne przed kolegium.

Zarzuciłem torbę na ramię i poszedłem w stronę najbliższego przystanku, na Marszałkowską. Podjechała 4-ka. Wysiadłem przy Rotundzie i spojrzałem w stronę symbolu Warszawy, który nie posiadał jeszcze swojego zegarka. Przejściem podziemnym, potem mijając nieistniejącego jeszcze Starbucks'a a nieistniejącego już Zodiaka, podszedłem do wieżowca przy rogu pasażu Wiecha a dawnej Rutkowskiego.

— Dzień dobry — przywitałem się z portierem. To był wtedy ewenement w budownictwie mieszkalnym. Blok z własnym portierem, który nie wpuszcza. Domofony były normalnością ale własny, blokowy portier to było coś!

— Dobry... — zerknął na mnie podejrzliwie.

— Jestem z Życia Warszawy, chciałbym sfotografować Pałac Kultury z góry.

Kiedy portier patrzył na mnie milcząco, zdążyłem pochwalić się legitymacją prasową.

— Jak z góry?

— No wjadę na ostatnie piętro i zrobię zdjęcie z klatki przez okno.

— Nie otwierają się — odburknął.

— To zrobię przez szybę.

— Nie da się.

— Dlaczego się nie da? Przecież tylko na moment...

— Panie, jak by tak każdy sobie na moment wchodził...

— Co się stało panie Krzysiu? — przerwała nam rozmowę przygarbiona staruszka, która właśnie wchodziła do środka.

— Dzień dobry — zapomniałem o panu Krzysiu i zwróciłem się do kobiety — Jestem z redakcji Życia Warszawy, szef wysłał mnie żebym zrobił zdjęcie Pałacu Kultury z wysoka i próbuję się jakoś dostać...

— Proszę, niech pan pójdzie ze mną — widać, że babcia nie lubiła długich przemówień.

— Dziękuję — minęliśmy pełne pogardy spojrzenie pana Krzysia.

Wsiedliśmy do windy. Nie pamiętam na które pojechaliśmy piętro, było jednak wystarczająco wysoko żeby zrobić dobre ujęcie. Staruszka wpuściła mnie do domu, otworzyła balkon i wypuściła na zewnątrz. Zrobiłem zdjęcie.

— Dziękuję bardzo — uśmiechnąłem się.

— Bardzo proszę — uśmiechnęła się babcia zamykając za mną drzwi. Kiedy zjeżdżałem na dół, zastanawiałem się jak bardzo będę za kilka lat dziwił się temu, jak ludzie ufali sobie w dawniejszych czasach.

— Do widzenia — pan Krzysio nie podniósł wzroku. Może siedział tam, żeby interesować się tylko wchodzącymi a nie wychodzącymi?

Wróciłem pod Rotundę i przejściem podziemnym przeszedłem pod Polonię. Wszedłem do kamienicy naprzeciwko pałacu. Ktoś nie domknął drzwi, więc nie kłopotalem się używaniem domofonu. Wjechałem na górę gdzie okazało się, że wszystkie okna z klatki wychodziły na podwórko, żadne na ulicę.

Główkowałem co zrobić kiedy z windy wyszła dziewczyna, trochę zdziwiona nieznajomym stojącym przed jej mieszkaniem.

— Dzień dobry — powiedziałem szybko — Jestem z Życia Warszawy i... - wydeklowałem standardową formułkę.

— E... nie... Do domu pana nie wpuszczę, ale mogę otworzyć dach — wskazała na właz w suficie.

— Jasne. Dzięki.

— Dobrze. Zaraz przyniosę klucz — zniknęła w drzwiach mieszkania.

Po chwili ze środka wyszedł młody mężczyzna

— A nie spadnie pan? — spytał otwierając właz.

— Postaram się.

Wyszedłem na dach. Nie był to jeden z tych płaskich blokowych dachów. Było stromo. Na kolanach podszedłem na górę i usiadłem okrakiem na szczycie. Do dzisiaj mijając ten dom zastanawiam się nad odwagą jaką wtedy posiadałem. Zrobiłem zdjęcia i kucając wróciłem do środka. Podziękowałem i wyszedłem na ulicę.

Ruszyłem w stronę Marriottu. Wszedłem do hotelu i w windzie nacisnąłem najwyższy guzik.

— Dzień dobry — zaczepiłem mijającego mnie kelnera — Jestem z...

— Jasne, nie ma sprawy — rzucił i zniknął na zapleczu.

Bar, czy też restauracja - do dzisiaj nie wiem co tam jest - był zupełnie pusty. Próbowałem fotografować przykładając aparat do szyby, ale odbicia skutecznie uniemożliwiały zrobienie czystego kadru. Zrobiłem co się dało.

Wszystko przypomniało mi się dwanaście lat później, kiedy koleżanka z agencji eventowej (jak to się nazywa po polsku?) poprosiła mnie o zrobienie kilku turystycznych zdjęć Warszawy. Pomyślałem o panoramie i przypomniałem sobie o tym lokalu. Wjechałem na górę uzbrojony w wypasioną lustrzaną cyfrową. Przy wejściu stały dwie młode hostessy.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry — profesjonalny uśmiech od każdej z nich.

— Czy mógłbym sobie zrobić zdjęcie przez szybę?

— Oczywiście. Proszę bardzo.

Poszedłem w głąb salonu i próbowałem przyłożyć się do ujęcia. I nie wiem, nie pamiętam jak było poprzednim razem, teraz przeszkadzał mi wielki filar stojący na rogu. Nie mogłem przypomnieć sobie czy był tam dwanaście lat temu. Niemożliwe żeby go nie było. Wyglądał na element konstrukcyjny budynku.

— Przepraszam — podszedłem do dziewczyn — Ten słup w rogu zawsze tu stał? Fotografowałem z tego miejsca dziesięć lat temu i wydawało mi się, że go nie było.

Popatrzyły na siebie, potem na mnie. “Co za żenada”, pomyślałem, “Było się spytać czy szybu też kiedyś nie było”.

— Nie wiem — odpowiedziała niepewnie jedna z nich. — Dziesięć lat temu ja byłam jeszcze w szkole.

Przeszedłem przejściem podziemnym przy Centralnym i wyszedłem przy parkingu, na którym stoją dzisiaj Złote Tarasy. Minąłem dom towarowy, na miejscu którego pręży się teraz nowoczesny wieżowiec Libeskinda i nie dochodząc do klubu jazzowego Akwarium, zamiast którego strzela obecnie w górę hotel InterContinental, popatrzyłem skąd z wysoka mogę sfotografować Pałac. Nie było jak. Wszędzie nisko. Pomyślałem, że zrobię co mogę. Wszedłem do bloku i ulokowałem się przy oknie. Nie zdążyłem wyciągnąć aparatu kiedy z piętra niżej usłyszałem:

— Znowu jakiś narkoman. Janek. Ja cię proszę. Idź i zrób z nim porządek bo ja już nie mam siły.

Usłyszałem szelest kapci na posadzce.

— A tu co? — doleciało zza pleców. Wyrecytowałem formułkę. Skąd i po co.

— Na pewno nie narkoman? Ba ja wciąż muszę ich gonić.

— Na pewno, na pewno.

— No dobrze. To pan robi. Do widzenia.

— Do widzenia.

Niestety szerokiego, ładnego kadru nie dało się zrobić. Było za wąsko i za nisko. Zrobiłem zdjęcie na dowód, że się nie da i wyszedłem na zewnątrz.

Dom meblowy Emilia był wciąż sklepem z meblami a nie muzeum sztuki nowoczesnej. Na rogu Emilii Plater i Świętokrzyskiej nie było jeszcze Starbucks'a i budynku WFC. Nie pamiętam co stało tam wcześniej. Kojarzy ktoś?

Domy przy Świętokrzyskiej były niskie i nadal są niskie. Nie było sensu kombinować. Poszedłem do bloków od strony Bagna. Domofon, dzień dobry, jestem z..., znowu starsza kobieta, znowu sama w domu, znowu proszę bardzo. Cyk. Dziękuję, do widzenia.

Zwinąłem film i wstąpiłem do labu wywołać negatyw. Od niezjedzonych parówek burczało mi w brzuchu, ale że kolega fotoedytor prosił żeby było szybko to nie poszedłem jeść, tylko wróciłem do redakcji.

— Gdzieś ty kurwa był? — usłyszałem na miejscu.

— A gdzie niby miałem być? Na zdjęciach.

— Przez sześć godzin?

— Zeszło się jakoś. Ale mam ujęcia z każdej strony, jak chciałeś — położyłem negatyw na podświetlarce.

Kolega pochylił się z lupą.

— A z Pałacu gdzie są?

— Z jakiego Pałacu? Przecież chciałeś Pałac, a nie z Pałacu.

— Żesz... — nie dokończył tylko z negatywem w ręku wybiegł z działu.

Zszedłem na dół pouśmiechać się do “bufetowej” i parówek z keczupem.

Znosiłem do domu kilogramy prasówki, wycinałem zdjęcia podpisane moim nazwiskiem i pokazywałem je koleżankom, kolegom, przyjaciółom i znajomym; wszystkim ciociom, wujkom, babciom, dziadkom i dalszym członkom rodziny. Ojciec pozostawał obojętny - nie zostałem przecież ani lekarzem, ani inżynierem czy chociażby architektem. Mimo wszystko jednak, musiał czuć odrobinę dumy z faktu, że pracowałem w kupowanej przez niego od lat gazecie, bo przestałem dostrzegać nerwowy tik na jego twarzy, nad którym nie potrafił zapanować ilekroć mnie widział. Zawsze mogło być gorzej - mogłem przecież stoczyć się na dno i zostać zawodowym mordercą albo aktorem porno.

NIKON F3

1996

— Cześć Milena, co tam? — rzuciłem do słuchawki — Może wpadniesz wieczorem? Mam super romans do obejrzenia.

— ...

— Super, wpadnij więc z Kryską — domowy seans filmowy zaczynał brzmieć obiecująco. W osiedlowym spożywczaku kupiłem butelkę taniego wina i po 18:00 warowałem przy domofonie, czekając na wizytę koleżanek.

— Robercie! Kawy! — Milena strzelała powitaniem, niezmiennie tym samym od lat. Potulnie poszedłem do kuchni zrobić klasyczną, polską zalewajkę, nie wiem czemu zwaną przez niektórych kawą po turecku. Przyniosłem tacę z kubkami i rozsiedliśmy się na wyrze.

— Macie chusteczki?

— Po co? — spytała Kryśka.

— Do łez. Będziecie płakać jak młode bobrzyce.

— Robuś, nie takie rzeczy oglądałyśmy bez płaczu.

Wsadziłem kasetę do odtwarzacza i puściłem film. Z minuty na minutę, oczy moich przyjaciółek zaczęły coraz bardziej zachodzić łzami, wycieranymi ukradkiem w mankiet rękawa. Pod koniec nie wytrzymały i szlochały niczym dwie małe dziewczynki.

— Mogłeś uprzedzić — zachlipała Krysia — nie robiłabym sobie make-upu!

Milena była twardsza - próbowała zachować niewzruszoną postawę dorosłej i poważnej kobiety.

Zerkałem to na film, to na popłakujące dziewczyny; nie ukrywam, że najprawdopodobniej sam uroniłem małą łzę - przecież byłem jeszcze wtedy człowiekiem pełnym romantyzmu z łbem napakowanym czystą ideą. Jednak zamiast skupiać swoją całą uwagę na romansie kobiety z przeszłością i mężczyzny po przejściach, zacząłem wypatrywać w przelatujących na ekranie telewizora kadrach, jakiego modelu Nikona

używa Clint Eastwood. Nie miałem odwagi zapauzować filmu i robić z siebie nieczułego samca, więc wytrzymałem do końca seansu i kiedy psiapsiuły poszły do domu, przewinałem go do interesujących mnie momentów.

Męski, małomówny Clint, kreował postać prawdziwego zawodowca stojącego ponad czasem; wręcz zonglującego nim między palcami. Miejsca, w których bywał, rzeczy które widział i sposób w jaki o nich mówił - to wszystko epatowało niezmaconym spokojem i stawiało młodego, początkującego fotoreportera w szeregu na baczność, przed potęgą życiowego doświadczenia.

“Tak! Będę taki jak Clint w Medison County”, powiedziałem sobie w myślach i wykrystalizowałem w wyobraźni dalszy ciąg swojej życiowej drogi: Spokojny dryf po bezkresnych przestrzeniach; slow life z manualnym, starzejącym się razem ze mną aparatem! Wycisnę z życia ile się da! Zarobię w gazecie wystarczającą ilość kasy i ruszę w swoją wewnętrzną podróż dookoła świata!

Odczekałem do najbliższej niedzieli i pojechałem do Stodoły na poszukiwanie Nikona F. Niestety jak to na giełdzie bywało - nie zawsze udawało się znaleźć to, czego się konkretnie szukało. Zamiast Nikonem F, zadowolilem się nowszym F3.

Jaki był Nikon F3, każdy wie. A jak nie - może sobie wygooglać w necie. Znowu poczułem przyjemność z ręcznego kręcenia obiektywem a kciuk ocierający się o naciąg migawki dostarczał mi większej ekstazy niż jakikolwiek inny członek młodego mężczyzny; czułem, że wskoczyłem na właściwe tory.

Wczoraj, po prawie 30 latach obejrzałem film ponownie. Patrzyłem na Clint'a i na bajki, jakie sprzedawał mi dekady temu. Nie czułem już tego romansu; nie mogłem zrozumieć mojej ówczesnej fascynacji. Być może przez lata stwardniałem, idea się ulotniła, a romantyzm pokryła gruba warstwa doświadczeń codziennego szarego dnia; może zabiłem w sobie te uczucia specjalnie i z premedytacją, a może zgasły samoistnie, wypalone

przez lata. Patrzyłem na końcowe litery filmu i przez moją głowę przewijała się tylko jedna, głośna, grzmiąca myśl - po co kładłem sobie wtedy do łba takie bzdury? Po co mi był ten stary Nikon?

MINOLTA DYNAX 9xi

1997

Nie, nigdy nie miałem na własność tego cuda techniki. Pożyczyłem od kumpla na weekend, a kumpel wyżebrał go na chwilę od ciotki brata, szwagra siostry ciotecznej wujka, który był przyjacielem rodziny jego zięcia, stryja od strony matki z pierwszego małżeństwa - tak mi to jakoś przeprasząco tłumaczył widząc moją zawiedzioną minę, na wieść, że nie będę mógł potestować go dłużej.

Aparat był kosmiczny. Mimo, że EOS 1N miał wszystkie bajery potrzebne profesjonalnemu fotografowi, to Minolta szła dalej i miała też rzeczy, zupełnie mu zbyteczne ale pobudzające wyobraźnię: 1/12000 sekundy i synchronizacja z lampą przy 1/300 to pikuś przy pozostałych funkcjach, które sprawiały, że czytający reklamowy prospekt mieli wrażenie obcowania z powieścią science-fiction. Futurystyczny celownik z matówką wyświetlającą informacje na swojej powierzchni; info o aktualnej ogniskowej i parametrach naświetlania na wyświetlaczu poniżej; funkcja eye-start, dzięki której aparat nastawiał ostrość zaraz po przyłożeniu do oka - wszystko było przejrzyste i klarowne, i w cudowny sposób odciągało uwagę od fotografowania. Określenia “rozmyta logika” i “miodowy pomiar światła” łechtały zmysły. Mega inteligentny procesor w środku sprawdzał co jest głównym tematem zdjęcia, co jest w tle, czy to coś porusza się czy stoi; jaka jest ogniskowa; czy ciemno, czy jasno; itp, itd - potem w tysięcznym ułamku sekundy przeliczał dane i perfekcyjnie naświetlał wyostrzoną w punkt klatkę. Mnogość ustawień mogła spowodować zawrót głowy, więc w trosce o zdrowie psychiczne fotografów, aparat był wyposażony w przycisk “P” - od “panic” - po wciśnięciu którego, kamera wracała do użyteczności pozwalającej na zrobienie zdjęcia.

Dzięki nowym obiektywom serii power-super-zoom, aparat podobnie jak w dalmierzowej Lajce, przy pomocy ramki, pokazywał na matówce więcej niż mogło być zarejestrowane na negatywie. Oczywiście kastrowało to zoomy z szerokich końców, ale podobnie jak w e-Mce

dawało niesamowite możliwości kontroli kadru. Ba! - nie pamiętam niestety w jaki sposób - ale dzięki magicznym właściwościom szkieł i rozmytej logiki, aparat umiał sam kadrować zdjęcia; wiedział jak ma wyglądać poprawny portret i ustawiał odpowiednią do tego ogniskową.

Co bardziej zaawansowani i świadomi artyści fotograficy, mogli programować jeden guzik funkcyjny, a za niewielką opłatą zwiększać możliwości sprzętu przez zewnętrzne karty rozszerzeń typu: Podróż, Dziecko, Sport, Portret, Kontrola automatycznej głębi, Zbliżenie, Panoramowanie, Interwalometr, Preselekcja tła, Wielokrotna ekspozycja, Bracketing ekspozycji, Bracketing flesza, Bracketing 2, Pamięć danych, Pamięć danych 2, Efekt fantastyczny, Fantazja 2, Przesunięcie automatycznego programu, Auto przesunięcie, Multi-spot z pamięcią, Kontrola światła i cieni, Tryb A/S, Dostosowanie funkcji xi, Dostosowanie funkcji, Dyktafon, Książka adresowa, Nagrywanie programów TV z funkcją pilota do telewizora, Automatyczna rezerwacja najbliższego hotelu, czy Wiązanie sznurowadeł. Niezweryfikowaną informacją, powtarzaną nieoficjalnie przez wtajemniczonych, było schowane za niewidoczną zaślepką, gniazdo lightning, gotowe w przyszłości na synchronizację z iPhonami i iPadami.

Weekend to niedużo czasu i niestety nie udało mi się rozpracować wszystkich funkcji kamery. Z bólem serca zwróciłem ją koledze i z westchnieniem zapakowałem do torby mojego ubogiego Nikona.

2023

Gdyby ktoś powiedział mi wtedy, że za 25 lat aparaty będą na bieżąco analizować kadr; sprawdzać czy na zdjęciu jest twarz, pies, ptak, samochód albo pociąg; zapamiętywać konkretne osoby i śledzić je ostrością - nie uwierzyłbym. Podobnie nadal nie wierzę, że za 10 lat nie będzie fotografii takiej jaką obecnie znamy. Dopuszciliśmy sztuczną inteligencję do nieskrępowanego tworzenia/przetwarzania treści, co w dobie kultury obrazkowej i społeczeństwa zapoznającego się z informacją przy pomocy krótkich tekstów i animowanych gifów, nie

wróży nic dobrego. Zalewani tworzonymi w maszynowym tempie newsami, nie będziemy mieli siły, czasu ani ochoty na weryfikowanie ich autentyczności, skutkiem czego stracą one dla nas jakąkolwiek wartość, pozostając jedynie bardziej albo mniej śmiesznymi ciekawostkami. Obawiam się, że dla przyszłych historyków, wygrzebanie prawdy o naszych czasach będzie żmudną, herkulesową pracą

2066

Usiądę z moją starą Lajką M16 na ławce w Parku Świętokrzyskim. Będzie to ostatni model z serii rejestrującej obraz. Popatrzę na Pałac Kultury, lśniący bielą jak zaraz po wbudowaniu. Popatrzę na ludzi przechadzających się zadbanymi alejkami. Zobaczę trójkę młodzieży stojącą przy fontannie. Podniosę aparat i wykadruję. Podejdą do mnie z zaciekawieniem.

— Colspleujesz? — zapyta się jedno z nich.

— Słucham? — spytam nie rozumiejąc.

— No w co wcielasz? — zaciekawia się drugie.

— Nie rozumiem — odpowiem.

Młodzież będzie stać przede mną i wpatrywać się w mój aparat.

— Robię wam zdjęcia.

— Aha, hobbysta — cień zrozumienia przemknie im po twarzach i natychmiast stracą zainteresowanie moją osobą.

— Wiele się zmieniło w tej okolicy — rzucę dla podtrzymania rozmowy, mając nadzieję, że dowiem się od nich czegoś ciekawego.

Popatrzą na mnie dziwnie. Jedno z nich poprzebiera nienaturalnie palcami, a przed ich oczami wyświetlą się zawieszone w powietrzu małe ramki, na których zobaczę siebie, w niezrozumiałym dla mnie filmiku.

— Co to jest? — spytam.

— iVizone — jedno z nich odpowie zdziwione — Nie masz?

— Nie.

— To jak pokazujesz?

— Zdjęcia? Normalnie. Mam odbitki, daję do ręki, oglądam — znowu cień niezrozumienia na twarzy. Szybki ruch palcami i ekran sprzed oczu

jednego z nich powiększy się do rozmiarów wielkości 1x2 metry. Zawisnie przed nami i zobaczą na nim siebie ze zdjęciami w ręku, pokazującego odbitki innym ludziom.

— W ten sposób? — spyta młody i wskaże na niego ręką.

— Dokładnie — odpowiem z zaciekawionym — Co to jest? Skąd to jest, przecież to chyba ja, tak?

Zaśmieją się współczująco i pobłażliwie.

— Mar też zajmuje się obrazem — wspomni jedno z nich — Pokażesz mu Mar?

— Z przyjemnością. Co sobie życzysz zobaczyć? — spyta mnie uprzejmie.

— Nie wiem, co konkretnie fotografujesz? — zaciekawię się.

Zobaczę falę uśmiechów przebiegającą po twarzach.

— Co tylko sobie życzysz. Powiedz, co chcesz zobaczyć — powtórzy pytanie.

— No to może jakieś podróże?

— Wedle życzenia. Gdzie?

— Mnie nie pytaj, pokaż ostatnie.

— Dla mnie to bez znaczenia. Ty wybierz.

— Znasz Wenecję?

— Oczywiście! Moment — Mar wyciągnie przed siebie rękę i zatrzyma ją nieruchomo przed sobą. Domyślę, się że robi sobie zdjęcie. Nie zauważę jednak aparatu. Może to ta dziwna biżuteria na palcach? Ponownie pomacha nimi szybko w powietrzu. Zobaczę na dużym ekranie jak Mar pręży się wśród gołębi na placu Świętego Marka.

— Zaraz chwilę — wciąż będzie pstrykał palcami — przydałby się jakiś tunes.

— Mar jest też znanym kompozytorem — doleci z boku.

Zerknę na monitor, na którym pojawią się szybko słowa: Vivaldi - Mar popatrzy na mnie wnikliwie - Elvis Presley, Pink Floyd. Po chwili z niewidocznych głośników zacznie sączyć się muzyka. Dziwne połączenie skrzypiec, melodii Floydów i głosu Presleya. Niby wszystko znane, ale piosenkę będę słyszał pierwszy raz.

— Może być? — spyta.

— No niby może — odpowiem bez przekonania.

— Wolisz wersję z wodą? — po niecałej sekundzie na monitorze pojawi się postać Mar stojąca na placu po kostki w wodzie.

— Mar jest najlepszym kompozytorem i kreatorem obrazu w naszej szkole!

— No dobrze, ale przecież to nieprawdziwe; zwyczajny fejk - nie będę potrafił zmusić się do zachwyty. Przez twarz Mar przebiegnie kilka szybkich tików - zaczniesz sprawiać wrażenie zastygłej i nieobecnej. Zalegnie niekomfortowa cisza.

— Nie lepiej było tam naprawdę pojechać i zrobić normalne zdjęcie? Jaki tego sens? — spytam licząc na ciekawą wymianę zdań.

Mar nie zareaguje; wciąż nieruchomy, będzie sprawiać wrażenie jakby osoba była zupełnie gdzieś indziej. Czysta nieobecność.

— Nie odpowie ci, dostałeś bana za hejt — usłyszę proste słowa wyjaśnienia.

— To chore, przecież nie powiedziałem mu nic złego, zadałem tylko pytanie — grymas niechęci i przerażenia przebiegnie przez wszystkie trzy twarze.

— Nie można tak mówić, to niestosowne!

— Co mówić? Że nie widzę sensu w takiej fotografii?

— Nie! Nie można mówić “mu”. Spłciowiłeś osobę!

— Ludzie, osoby - kurwa mać! Czy was pojebało już doszczętnie? Przecież nie chciałem niczego złego! — wykrzyczę w głośnym akcie dezorientowania. Kątem oka zobaczę jak jedno z młodzieży pada nieprzytomne na ziemię.

— Co się stało, na boga, co się dzieje? — zdziwię się jeszcze bardziej, gdy dwie pozostałe twarze zeszywnieją na słowo “bóg”.

— Zemdliłeś. Zostaw, nie odzywaj się plis... To już trzeci raz w miesiącu. Toro nie znosi wulgaryzmów. Trzeci raz. Za dużo. Organizm w cofce! — na monitorku trzeciego/trzeciej/trzeci osoby/młodzieży pojawią się migocące niebiesko-czerwone ikony karetki pogotowia i radiowozu policji. Korzystając z zamieszania, będę próbował oddalić się niepostrzeżenie.

Wyjdę na spacer z aparatem do Parku Świętokrzyskiego. Ze zdumieniem zauważę, że parku już nie ma. Okolice będzie jedną wielką pustką, z dziwnie wyglądającym Pałacem Kultury po środku. Za kwartałem ulic będzie majaczyło bezkresne miasto; całe w bieli, bez żadnych kolorów, fikuśnych elewacji, ozdób, okien czy balkonów. Białe, proste, ociosane klocki, przypominające nowo/staro/kiedyś wybudowane Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Smukła sylwetka Pałacu zdawać się będzie wyższa niż kiedyś. Zero drzew, krzaków, trawy; brak śladu jakiegokolwiek transportu. Cała rażąca oczy bezkresna biel, będzie sprawiać wrażenie łaknięcia odrobiny koloru; chociażby jednego machnięcia pędzlem, plamy kurzu, czerwonego punkcika rozmazanej na niej muchy. Bezkres makiety szalonego architekta, niknący za horyzontem, nieskończony twór.

Zobaczę morze dziwnie wyglądających i poruszających się ludzi. Takie odniosę wrażenie - że to ludzie. Masa. Tłum. Będą się mijać w odległości kilku centymetrów, ale nie obijać się o siebie. Identycznie ubrani, z ciałami pozbawionymi jakiegokolwiek owłosienia; z dziwnymi metalowymi oczami i uszami, przypominającymi wypukłości łyżek do zupy, i cienkim, podobnym do aureoli, pierścieniem wokół głowy. Podobnie odziani, podobnie wyglądający - przypomną mi manekiny ze sklepowych wystaw. Zobaczę, że poruszają się chaotycznie, ale mimo to w jakiś sensowny, zorganizowany sposób. Będę próbował zagadać, nawiązać jakiś kontakt, ale miną mnie jakbym nie istniał. Nie zareagują na dotyk, odsuną się mimowolnie i jakby nigdy nic, ruszą dalej swoją drogą. Przypomną mi tryby w wielkiej maszynie. Zdezorientowany zacznę rozglądać się wokół. Omiotę plac kilka razy moim nic nie rozumiejącym wzrokiem.

W końcu zobaczę człowieka wyglądającego inaczej; brudnego, zarośniętego, ubranego częściowo w postrzępione łachmany, częściowo nagiego; z czapką z aluminiowej folii na głowie. Będzie defekował w kucki pod białą ścianą Pałacu; srał z takim zapalem i ostentacją jakby chciał przekazać światu nadzwyczaj ważny manifest. Podejdę do niego.

Stanę blisko i zacznę się przyglądać. Spostrzeże mnie i popatrzy na mnie ze zdziwieniem.

— Widzisz mnie? — odezwie się po chwili.

— Widzę — odpowiem.

Podciągnie brudne gacie i spojrzy na mnie wnikliwe.

— Ja też cię widzę? — spyta.

— Wydaje mi się, że tak. Co się dzieje? Dlaczego oni zachowują się tak dziwnie? — wskażę na tłumy ludzi — Pędzą jak przestraszone owce, bez żadnego kierunku i celu.

— Dlaczego, dziwnie? Co to jest owce? Normalnie — brudny i srający zacieka się moją osobą — Nie jesteś stąd, prawda?

— Stąd. Jak najbardziej stąd, tylko chyba nie z teraz.

— Dobrze, chodź — złapie mnie za rękę i pociągnie w stronę Pałacu.

Przejdziemy przez jakąś szczelinę, potem wąskim, ciemnym korytarzem w dół, głęboko. Zorientuję się, że będziemy w jego podziemiach. Byłem tam kiedyś.

Rozejrzę się po wielkiej hali, do której wejdziemy. Brudny barłóg, wokoło tysiące książek i starych gazet. Bardzo starych, prawie rozsypujących się w rękach.

— Co się dzieje z tymi ludźmi? — powtórzę pytanie.

— Nic się nie dzieje. Normalnie - są w projekcji.

— W projekcji? Nie rozumiem.

— Moment — rzuci Brudny i sięgnie po opasłe tomisko. Przewertuje kilka razy kartki. — OK, mam. Oni są w symulacji.

— Symulacji? Czego?

— Życia, świata... — wzruszy ramionami.

— To prawdziwi ludzie? Żyją?

— Prawdziwi. Normalni jak dawno kiedyś. Czują jak zawsze, tylko mają bodźce dostarczane z zewnątrz.

— Po co? Jaki w tym sens?

— Ładujesz sobie założenia projekcji, a appler ciągnie transmisję wedle twoich wytycznych. Zwyczajna sprawa — będzie tłumaczył jak dziecku mając głębokie przekonanie, że nic z tego nie zrozumiem. Będzie

miął rację. — Taka symulacja w symulacji. Ludzi jest dużo. Tak jest łatwiej i przyjemniej.

— Oni jedzą, śpią? — zapytam.

— Pobierają pożywkę w boksach i spalają naskórek w przeczyszczajce.

— W jakich boksach?

— W podobnych do tego — wskaże mi niewielką trumnę podobną do łóżka z solarium. Przypomnę sobie japońskie hotele kapsułowe.

— Nie mają domu?

— Mają. W projekcji. Dom, samochód, rodzinę - czego tylko zechcą.

— A ty? — spytam przytomnie.

— Ja nie chcę. Za duży wybór. Kiedy mogę mieć wszystko na zawołanie, czuję jakbym nie miał niczego.

— I da się z tego wyjść? Wyglądają jakby byli uwięzieni.

— Da się, są sposoby — uśmiechnie się tajemniczo — Chociaż trochę wciąż boli.

Zdejmie aluminiową czapkę i pokaże okrągłe wgłębienie na czole i zarośniętej zlepionymi kłakami głowie. Jak się domyślę, to miejsce po dziwnej aureoli.

— Boli?

— Tak. Transmitter jest nakładany za dzieciaka. Wrasta odrobinę, potem ciężko zdjąć — sięgnie pod stertę brudnych szmat i wyciągnie częściowo połyskującą, a częściowo przybrudzoną krwią aureolę.

Rozejrzę się po melinie. Mój wzrok trafi na okładkę starej książki o podróży w czasie. “Tak niewiele się pomylił” - pomyślę, “Eloiów już widziałem, tylko gdzie są Morloki?”

— Kto tym zarządza — spytam — Kierują tym inni?

— Inni ludzie?

— No.

— Nie, nie ma innych ludzi, to appler.

— Kto?

— Moment — ponownie zacznę przewracać strony rozpadającej się książki — OK, mam - sztuczny stwór.

— Sztuczny stwór?

Znowu zerknie w książkę — Sztuczny mózg.

— Sztuczna inteligencja?

— Tak, chyba tak.

— Seks, rozmnażanie? — będę drażył temat.

— Pierdolą się wirtualnie, a nowi są z wylęgarek.

— No ale po co? Po co są potrzebni temu - jak to powiedziałeś? - applerowi?

— Nie wiem — wzruszy ramionami.

— I nie ma innych poza symulacją?

— Nie, nie ma.

— A ty?

— Mnie też nie ma — usiądzie na brudnym barłogu i zacznie się onanizować. Z początku wolno, potem coraz szybciej, rytmicznie. Po chwili dojdzie i wytrze penisa kawałkiem brudnej szmaty.

— Widzisz — powie wskazując na sflaczałego członka — To jest prawdziwe, ale mnie nie ma. Nie ma. A ty jesteś?

— Jestem — odpowiem — Na pewno jestem, przecież sobie tego nie wymyśliłem.

Brudny odpadnie. Przechyli głowę, klapnie na wymęczoną poduszkę. Zaśnie. Będzie chrapać. Sięgnę po zakrwawioną aureolę, która zacznie delikatnie wibrować. Z zaciekawieniem założę ją na głowę. Poczuję przyjemne mrowienie. Wszystko wokół mnie zgaśnie i zniknie. W czarnej czeluści, tuż przede mną, pojawi się wielkie, białe jabłko z przesuwającym się pod nim paskiem. Zobaczę wyłaniające się z nicości kształty.

2023

Stoję przed Pałacem Kultury. Jest zimo. Rozglądam się wokół i widzę młodzież pomykającą na ślizgawce. Sięgam do kieszeni i wydaję iPhone'a. Zerkam na datę: 6 lutego 2023. Zimno. Co mi odbiło, że wyszedłem z domu? Przecież w takim mrozie, kiedy łapy przymarzają do aparatu i tak nie zrobię żadnych zdjęć. Poza tym głodny jestem. Pierdolę takie hobby - wracam do chałupy.

— Co ona śpiewa? “...but my name was a light a day”?

— “Elisa Day”, głupku!

OK - ze wstydem muszę przyznać, że nie pamiętam imion połowy dziewczyn, którym robiłem wtedy zdjęcia. Były to czasy, kiedy telefony komórkowe służyły tylko do dzwonienia i sporadycznego wysyłania SMS-ów nie dłuższych niż 160 znaków; słowo smart kojarzyło się młodym ludziom z małym samochodem, a przygłuchym staruszkom ze smarkaterią objającą się o trzepak.

Kultura łatwych selfików nie weszła jeszcze do codziennego życia, więc posiadania wśród znajomych fotografa dawało wymierne korzyści. Nie wiem czemu upodobałem sobie sesje robione na starym żydowskim cmentarzu - zliczam je w pamięci i wychodzi, że bywałem tam przynajmniej raz w miesiącu. Może romantyzm morza macew wzbudzał we mnie jakieś skrzywione odczucia rodem z filmów Cronenberga, albo może pasowało mi, że mało tam było ludzi przeszkadzających w fotografowaniu swoim gapiostwem? Dziewczyny wiły się między nagrobkami w dzień i w nocy, blask porozstawianych w wielkim kręgu świec, wprowadzał - jakże mi się wtedy wydawało - głęboki i mistyczny nastrój. Dreszcz i element grozy, wręcz zemsty z za grobu wprowadził wystający z ziemi ostry badyl, na którym jedna z koleżanek o mało nie straciła życia. Tak - to była fotografia okultystyczna pełną gębą. Brakowało tylko róż i kamieni jak w zacytowanej na początku piosence.

Niestety, ciężko ciosany Nikon F3 nie podobał się koleżankom; jego potęga onieśmielała, więc musiałem pokombinować i po kilku biznesowych ruchach, przyniosłem do domu Lajkę R7. Ładną, srebrną i filigranową. Razem z jasną 50-ką tworzyły zestaw, którego widok wyciągał uśmiech z każdej, nawet najbardziej ponurej dziewczyny.

Pod względem możliwości technicznych nie różniła się zbyt od R5-ki. Cyferki na pokrętle czasów były wypukłe a nie jedynie nadrukowane; inny był też kształt wajchy od naciągu migawki i okienko licznika klatek. Najprzyjemniej wyglądał celownik - chyba najfajniejszy ze wszystkich aparatów jakie miałem; poza fenomenalną, jasną i klarowną matówką, która nie żółciła obrazu jak Nikon, wyróżniał się ciekawym rozmieszczeniem wyświetlaczy: Podgląd ustawionej przysłony był optyczny - system magicznych lusterek rzutował ją w podświetlanym w razie potrzeby zewnętrzną diodą, okienku po środku; tuż obok, jak w starym kalkulatorze wyświetlał się na czerwono czas; z boku, w zależności czy fotografowało się na manualu czy na preselekcji czasu, pojawiała się drabinka z prześwietleniem lub niedoświetleniem, albo z wartościami wybranej przez aparat przysłony; ikonka wykrzyknika w trójkącie oznaczała, że temat jest zbyt niebezpieczny i lepiej oddalić się szybko od miejsca fotografowania. Ładnie, czysto, subtelnie.

Śmieszne było powiązanie sposobu pomiaru światła z trybem naświetlania. W manualu był tylko spot, w programie i preselekcji czasu - średnio-ważony, a jedynie preselekcja przysłony pozwalała na wybór obydwóch.

Fotografowałem nią na zmianę z F90X; Nikon do roboty i codziennego gania po mieście; Lajka do portretów i leniwego snucia po ulicy. Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie choroba jaka trafiła się jej z nienacką pewnego dnia: O ile nie było problemu z robieniem zdjęć w poziomie, to przy pionowych ujęciach aparat coraz częściej nie chciał wyzwalać migawki. Z początku próbowałem przyzwyczaić się do jej kaprysów, jednak pewnego dnia, wkurzony przez stracony kadr, który umknął mi bezpowrotnie, wziąłem Lajkę na stół i przystąpiłem do demontażu. Odkręciłem dolną pokrywę, poszturchałem śrubokrętem gdzie tylko się dało i pokręciłem każdymi śrubkami do których miałem dostęp. Dziwnym cudem aparat przestał stroić fochy. Co prawda została mi w ręku dziwna blaszka wielkości pół na dwa centymetry, ale wszystko zdawało się działać poprawnie. Dla pewności maznąłem lakierem do paznokci w najbardziej krwawiących miejscach i przykręciłem pokrywę z powrotem.

Podobne przygody miałem z 24-ką. Ni z tego ni z owego, któregoś pięknego dnia, przednia część obiektywu razem z osłoną przeciwsłoneczną, zaczęła dygotać jak grzechotka dla dzieci. Próbowałem podsadzać w środek jakieś kawałki papieru ale oczywiście gówno to dało. Zebrałem się na odwagę, wziąłem do ręki suwmiarkę i odkręciłem przód obiektywu. Po dokręceniu kilku śrubek pod spodem, problem minął. Ucieszyłem się. Wychodziło na to, że poza umiejętnością rozbieracza, posiadam też skilla skręcacza. Dobrze było wiedzieć.

Nikon obrzydł mi zupełnie. Nie czułem już do niego żadnej sympatii. Idąc za głosem serca pozbyłem się chama i przytargałem do domu drugą, bliźniaczą Lajkę R7. Miałem obawy czy nie sypnie się jak poprzedniczka, ale pomyślałem, że w razie czego, zawsze uda mi się zmontować z dwóch przynajmniej jedną działającą. Ciężko je było rozróżnić, więc dla orientacji przykleiłem w pierwszej czarny pasek na obudowie pryzmatu, a w drugiej wydrapałem czarną farbę z logo i pomalowałem je na czerwono. Dokupiłem do wcześniejszego zestawu jakiś standardowy kichowaty zoom do codziennej pracy i krótkie tele do streeta. Żeby nadążyć za szybszymi tematami, podpiąłem do jednej z nich motor na - drobnostka - 10 baterii. Nie dosyć, że ciągnął jak szalony, to poprawiał uchwyt kamery dzięki dodatkowemu gripowi i paskowi na rękę. Ciekawostka - nie wiem jak wyglądało w innych aparatach - ale motor działał tylko przy docisniętej dźwigni naciągu. Kiedy odciągnęło się ją pod kciuk, wyłączał się i można było naciągać migawkę ręcznie - spokojnie i po cichu.

Rok później los rzucił mnie do Super Expressu, w którym płacili lepsze pieniądze niż w Życiu Warszawy. Tam w ogóle było na bogato - mieli własną maszynę do wołania negatywów i nie dawali opierdolu za zużycie materiałów. Znaczy - dawali, ale w drugą stronę: jeśli przerobiło się mniej niż dwa filmy na temat. Kierowcy wozili dziennikarzy i fotografów, a kucharz karmił w firmowej stołówce tanimi i dobrymi obiadami. Luksus i profeska pełną gębą.

Pierwszego dnia dostałem do zrobienia Strażników Miejskich ścigających stolikowych handlarzy. Nie miałem jeszcze legitymacji, więc ciche fotografowanie wydało się funkcjonariuszom bardzo podejrzane. Kiedy dodałem z jakiej gazety jestem, zapakowali mnie grzecznie do radiowozu i zaczęli obwozić po śródmiejskich komisariatach. Miałem na to wywalone, bo nauczywszy się wcześniej na filmach o fotoreporterach w strefach wojny, cichaczem wymieniałem film w aparacie; zwiniałem

negatyw z naświetlonymi klatkami i wsadziłem do środka czysty. Przebiegły byłem wtedy na maksa.

Strażnicy przewieźli mnie z komisariatu na Widok (?), gdzie popsuł się komputer, na Dworzec Centralny. Policjanci nie byli jednak skorzy do współpracy, bo po niecałej godzinie - bez przesłuchania, bicia, klęczenia w kącie na grochu i polewania zimną wodą - wypuścili mnie na ulicę. Wróciłem do redakcji. Zdjęcia nie poszły a moja mrożąca krew w żyłach historia nikogo nie zainteresowała.

Nie popracowałem tam długo - miesiąc, może dwa? Co poważniejsze tematy dostawali bardziej doświadczeni koledzy, a życie paparazzo nie było dla mnie. Opuściłem; znowu zostałem freelancerem i musiałem żywić się sucharami popijanymi zsiadłym mlekiem.

PENTAX AUTO 110

1999

Ogarnął mnie pęd ku miniaturyzacji i chęć niezauważalnego chwytania momentów. Nie posunąłem się oczywiście do takich skrajności jak fotografowania ustami czy portretowania swoich kochanek przez waginę - z powodu nieodpowiedniej budowy biologicznej było to niemożliwe a kombinowanie z innymi otworami wydawało mi się niesmaczną perwersją nawet dla szeroko otwartego na świat i wszelkie doznania artysty. Musiałem kombinować sprzętowo. Wygrzebałem z giełdy najmniejszy aparat jaki znalazłem. Nie była to najmniejsza kamera jaką miałem przyjemność fotografować, ale z pewnością nie miałem już nigdy w ręku mniejszej lustrzanki. Aparat, flesz, motor - wszystko podobnej wielkości; trzy obiektywy: standard o gabarytach zbliżonych do naparstka, szeroki kąt i portretówka, które można było pomylić z nakrętkami od butelki coca-coli; cały zestaw mieścił się w damskim pantoflu. Użyteczność tego sprzętu była niewielka. Zero kontroli nad czymkolwiek; całkowity automat - wyceluj i naciśnij guzik. Obiektywy nie posiadały przysłony - tą funkcję generowało coś na podobieństwo centralnej migawki. Niby można było kręcić ostrością, ale przy automatyce jaką preferował aparat i tak małym formacie kadru, nie pozwalało to na żadne możliwości kreacji. Co ciekawe, jeden z systemowych obiektywów miał ostrość zafiksowaną na stałe - specyficzny autofokus.

Zdjęcia wychodziły grzecznie mówiąc - przeciętne. Dziwne to, bo z zaskoczeniem zauważyłem, że format klatki był prawie identyczny jak w micro 4/3, do jakości którego przyczepić mogą się chyba tylko najbardziej zagorzali fani mega-obrazów. To najlepszy przykład, że cyfrowa matryca oferuje większe możliwości niż jej celuloidowy odpowiednik.

Pobawiłem się tym tydzień, przeciągnąłem ze trzy filmy i sprzedałem koledze, który był miłośnikiem oryginalnych przedmiotów.

OLYMPUS XA

1999

Aparat legenda; mała, malutka, nieduża - ale legenda. Sięgam w przeszłość do opowieści zasłyszanej w knajpianej rozmowie, nie pamiętam już przez kogo snutej: historii o przemycaniu aparatu do więzienia w słoiku z dżemem. Kto to opowiadał? Kto komu przemycał? Nie wiem, nie pamiętam. Tomaszewski? Wałęsie? Po zrobieniu zdjęć kamera miała spłynąć w kiblu a na wolność wyjść tylko film. O Erazmie Ciołku, który w przebraniu kulturalnego, zagubionego, wytwornego pana w kapeluszu, fotografował nim zadymy zza szaliczka; o Leszku Fidusiewicz cykającym z buta trening polskiej kadry pilnowanej przez ZOMO w stanie wojennym. Słyszałem to od nich osobiście? Czytałem o tym? Konfabuluje? Tak dawno to było.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem małego Olympusa, flashback mało nie powalił mnie na kolana. Przypomniałem sobie prospekty aparatów, które wynosiłem z wiedeńskich sklepów foto. Strony jednego z nich otwierały się fikuśnie, symulując rozsuwanie zasłony obiektywu. Po 15 latach zobaczyłem to na żywo. Musiałem go kupić. Pędziłem wciąż ku miniaturyzacji, więc potraktowałem to wspomnienie, jak wiadomość z Matrixa.

Fajny to był szczeniak; oryginalny do granic wyobraźni szalonego, aczkolwiek zdrowo myślącego inżyniera. Mały, malutki - wypychał nadkrocze zdecydowanie mniej niż wcześniejsza Lajka. Cudem był sześciosoczewkowy, bardzo dobrze rysujący teleobiektyw o ogniskowej 35mm. Cały aparat miał pi razy oko tyle grubości, więc ogniskowa musiała być pozornie cofnięta jak w teleobiektywie. Rolleje i Minox 35 ze swoimi składanymi, wystającymi, chowanymi szklami mogły się schować.

Nastawianie ostrości przy pomocy klasycznego dalmierza, wskazówka czasu w celowniku i autodynamiczny pomiar światła, czyli

ciekawy ficzer kontrolujący ekspozycję podczas naświetlania - jeśli ktoś zapalił fotografowi światło w ciemnym pokoju, aparat zamykał migawkę - i to wszystko w pudełku wielkości paczki papierosów. Niesamowitym było to, że mimo zewnętrznego sensora, kamera potrafiła naświetlać poprawnie slajdy.

Flesze były cztery a właściwie dwa, bo jednego cuda z niby niewymienialną baterią litową i drugiego z okrojona liczbą przewodnią nikt na oczy nigdy nie widział. Podstawowe, to mała lampka na jednego paluszka i trochę większa na dwa; nieduże, przykręcane z boku, tworzyły z aparatem zgrabną bryłę.

Jeśli ktoś ogarniał podstawy fotografii - nie było tego w instrukcji obsługi - mógł wyjść z automatyki flesza i mieszać światło synchronizując lampę przy każdym czasie migawki, i wprowadzać dla niej korekcję. Cudo.

Wady, cudo posiadało dwie. Nie wiem jak na początku jego świetności w latach 80., jednak ponad dekadę później, plamka dalmierza blakła i stawała się mało kontrastowa; nie był to już komfort nastawiania ostrości jak w dzisiejszych Lajkach. Druga rzecz to delikatny i ciężko wyczuwalny spust, w wyniku czego o poruszenie zdjęcie było nietrudno. No i nadal wypychał nadkrocze bardziej niż dzisiejsze smartfony.

ROLLEI QZ35W

2000

W pogoni za aparatem idealnym, zabłądziłem w magiczny świat wyrafinowanego dizajnu. Lustrzanki Lajki zdążyły znudzić mi się już na tyle, że potrzebowałem nowego bodźca by ciągnąć dalej fotograficzną przygodę. Rozglądałem się za czymś oryginalnym, czymś co pomogłoby wyróżnić mi się z tłumu przeciętnych fotografów pracujących Canonami i Nikonami. Chodziłem na giełdę i co tydzień wypatrywałem po stołach jakiejś magicznej zabawki, która definiowałaby mnie jako nadzwyczajnego, oryginalnego twórcę. Nie trafiało się nic. Bałem się, że skończę jak niezaspokojony, 30-letni prawiczek ogarnięty obsesją seksu, ale na szczęście los ściągnął mnie na ziemię i znalazł mi zajęcie na następne kilka miesięcy.

Codziennie krążyłem bezsensownie po mieście; przylepiałem się do kolegów, z którymi robiłem rundy po knajpach i kawiarniach. Od czasu do czasu poszedłem z nimi do Sejmu, niekiedy na jakąś zadymę albo na konferencję prasową lub event firmy, na którym można było podjeść i wynieść fajne gratisy. Błąkałem się po Warszawie niczym wolny elektron, co jak wiadomo nie jest stanem naturalnym i prędzej czy później musi skończyć się jakąś rekombinacją.

Któregoś razu, kolega Marek oznajmił, że musi wpaść do redakcji “Życia” gdzie miał się zatrudnić, i powiadomić szefa, że postanowił zostać jednak w starej robocie. Mieliśmy iść tego dnia na zwiedzanie niedalekiej fabryki wódek, więc zdecydowałem, że wpadnę tam razem z nim i poczekam chwilę na taborecie przy windzie. Kumpel nie zabawił długo. Po niecałym kwadransie wyszedł z jakimś facetem i wskazał mnie palcem.

— Ty szukasz pracy? — spytał facet.

— Nie, ale mogę szukać jakby co — odpowiedziałem.

— Aparat masz?

— No mam — przytaknąłem zerkając na Lajkę leżącą obok na stole.

— No dobra, to przyjdź jutro, to pogadamy — zakończył i zniknął za drzwiami.

Poszliśmy później z Markiem zwiedzać wódkę, więc cała rozmowa wyleciała mi zupełnie z głowy - nie pamiętam czy balowaliśmy wtedy do rana, czy tylko u niego przenocowałem; a może spałem w domu i ponownie spyknęliśmy się nazajutrz skoro świt? Tak czy siak, następnego dnia obskoczyliśmy razem ćwiczenia strażaków i konferencję jakiejś ważnej osobistości, a zdarzenie z poprzedniego dnia, zupełnie wyleciało mi z pamięci. Wracając do domu na obiad zerknąłem przez most na Pragę i przypomniało mi się, że szukam pracy. Wszedłem do redakcji, w której panował tradycyjny, popołudniowy rozgardiasz. Wszyscy biegali jak w ukropie, więc przysiadłem sobie w najciemniejszym kącie działu foto, czekając na chwilę spokoju.

— Tak, ćwiczenia straży pożarnej. Tak! — rzucał do słuchawki facet, z którym rozmawiałem wczoraj, a który okazał się później być moim szefem — Nie, nie wysłałem nikogo bo nie miałem wolnych ludzi.

Kiedy skończył, podniosłem nieśmiało rękę

— Straż pożarna na Bankowym? — spytałem.

— Tak, a co? — szef zerknął w ciemny kąt.

— Mam to jeśli chcesz — sięgnąłem do torby po negatyw.

— No nieźle, nieźle — uradował się rzucając film na podświetlarkę.

— Słuchaj Janusz — dziennikarz wychylił się znad ścianki boksu — Mamy foty z konferencji? - tu wymienił nazwisko ważnej osobistości, której nie mogę sobie przypomnieć.

Widziałem jak szczęki szefa zaciskają się w niemym gniewie a przez myśl przebiegają mu różne warianty wymijających odpowiedzi.

— Tak, jest z tego kilka klatek na końcu — odezwałem się i wskazałem na podświetlarkę nim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Widziałem jak oczy mojego przyszłego bossa omiatają mnie spojrzeniem pełnymi miłości i podziwu. Zapewne widział w wyobraźni profesjonalnego, pełnego odpowiedzialności byka, którego chwycił za rogi, i dziękował opatrności za cud-pracownika, którego tak niespodziewanie dostał od boga.

Do dziś zastanawiam się, czy sześć miesięcy później nie pluł sobie w brodę za wcześniejszą chwilę słabości i zaślepienia. Nie osiwiiał, ale często widywałem jego charakterystyczny, milczący szczękoscisk, kiedy tłumaczyłem mu moje artystyczne podejście do fotografii newsowej.

Podobno już nie żyje. Mam tylko nadzieję, że ten rok czy dwa kiedy musiał znosić moją krnąbrność, nie przyłożyły się do jego przedwczesnej śmierci.

— Deszcz trzeba sfotografować — stanął kiedyś nade mną i popatrzył za okno.

— Na chuj komu deszcz? Jaki jest deszcz każdy widzi, po co zdjęcie? — w tych czasach można było jeszcze przeklinać w pracy, szczególnie w miejscach pełnych twórczej weny.

— Nie mędrkuj Kresa tylko rusz dupę. Nająłeś się jako pies to teraz szczekaj — szef prosto i dosadnie zakończył moje przemyślenia nad sensem fotografowania pogody.

Wyszedłem na dwór i pojechałem na Stare Miasto - wiadomo przecież, że na warszawskiej Starówce wychodzą najlepsze zdjęcia. Pokręciłem się chwilę po Krakowskim Przedmieściu, podreptałem po Marszałkowskiej i z 12 klatkami - redakcja nie pozwalała zmarnować na taki duperel jak pogoda, więcej niż 1/3 filmu - zaszedłem do zaprzyjaźnionego labu. W ciemniowym rękawie wyciąłem z aparatu kawałek negatywu a resztę schowałem na później. Wrzuciłem film do wywoływarki i wróciłem do kontemplacji zmoczonego świata.

— Co tam Kresa? — mój zachwyt nad mokrymi płytkami chodnikowymi przerwał kumpel z konkurencyjnej firmy — Też Cię na deszcz wysłali?

— Dzień jak co dzień — rzuciłem z westchnieniem.

— Kurwa, pojebane to — ciągnął kumpel — na chuj komu zdjęcie deszczu? Czy ludzie deszczu na oczy nie widzieli żeby robić mu zdjęcia? Żeby jeszcze powódź była jak trzy lata temu... Chciałem już iść na piwo do Amatorskiej a mi tu kurwa z deszczem wyjechali. Deszcz, mgła, śnieg, może niedługo zdjęcia słońca będą chcieli: "Idź zrób newsa bo słońce świeci..."

— Miałem podobne przemyślenia — próbowałem przerwać jego wzburzenie.

— Po co biegać za deszczem? Deszcz jest zawsze taki sam. Nie można wziąć zdjęcia z jakiejś ilustracyjnej bazy danych?

— Niby można, ale chyba nie wypada - bądź co bądź to jakiś news. Nie chodzi ogólnie, że pada, a że pada teraz i tutaj. To jak z tym, że nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki.

— Gówno prawda, nie mędrkuj; w zeszłym roku na wczasach, wchodziłem do tej samej rzeki kilka razy dziennie — kolega uspokoił się trochę i zaczął żartować.

— Albo wyobraź sobie — ciągnąłem dalej — że masz taką funkcję w Photoshopie: wrzucasz fotę z dajmy na to placu Zamkowego, zrobioną kiedykolwiek, wybierasz odpowiedni filtr, a sztuczna inteligencja w kompie wedle życzenia zmienia ci pogodę. Super sprawa by była...

— Taa... Trochę się rozpędzasz stary; może w ogóle sobie podarujemy filtry. Odpalisz program, wpiszesz - “plac Zamkowy”, “zima”, “grudzień”, “ZOMO” i dostaniesz niepublikowane zdjęcia ze Stanu Wojennego?

— O! O! Właśnie — powoli zaczynaliśmy wpadać w śmiechawkę — A jak dorzucisz do opisu “Kino Moskwa” i “transporter” to się Niedenthal wkurwi na całego.

— Dobrze dobre, ale to chyba nie za naszego życia. Potem co? Andki jak z Terminatora będą za nas zdjęcia robić? Zawód by się skończył.

— No nie nadążasz - jakie andki i zdjęcia, skoro foty będą z kompa? — ciągnęlibyśmy dalej naszą rozmowę, ale z wywoływarki powoli zaczął wychodzić negatyw — Spadam. Wieczorem w Amatorskiej?

— Koniecznie. Grzesiu kupił sobie M6-kę, będziemy macać i świętować.

Wyszedłem z labu i wróciłem do redakcji.

— Co tak długo — usłyszałem na wejściu — malowałeś te zdjęcia czy co? Dobra, dawaj.

Położyłem film na podświetlarce. Szef pochylił się nad nimi i zaczął przeglądać jedno po drugi.

— Dobra, to daj — wskazał palcem.

— Ale to przecież do dupy jest i poruszone. Zobacz dalej: to jak koleś sprzedaje parasolki, albo to zza pleców tej babki; a jak koniecznie chcesz dygnięte to weź to z biegnącą dziewczyną z marynarką nad głową.

— Nie dyskutuj Kresa, skanuj to które pokazałem — boss pozostawał nieugięty.

— No kurwa, nie — wzburzenie wyrwało mi się z piersi — Nie!

— Że co? Chcesz szukać nowej roboty?

— Pierdolę taką robotę. Nie będę sobie przez twoje głupie wybory psuł marki na mieście. Jeszcze ktoś za 20 lat wygrzebie wydanie, zobaczy tą kichę i będę musiał świecić ze wstydu oczami — chwyciłem leżący na podświetlarce flamaster i maznąłem na wybranej przez niego klatce duży krzyżyk — Gównu będziesz miał a nie bębenek!

Nie pamiętam co było dalej; może mózg w trosce o moje zdrowie psychiczne przyblokował to wspomnienie, a może zwyczajnie nie stało się nic. Szefu popatrzył jak na idiotę; pomyślał, że z jebniętymi lepiej nie wchodzić w głębsze dyskusje i odpuścił.

Zajęty codzienną robotą w gazecie, zapomniałem o nobilitującej potrzebie oryginalności, więc gdy pewnego dnia wstąpiłem na kawę do zaprzyjaźnionego komisju foto, wyrafinowany dizajn, który zamrugał do mnie z półki, popieścił me oczy z nieznaczącą niczemu wcześniej energią.

Tytanowe body o liniach przypominających zaokrąglone kształty najlepszych modelek końca lat 90. nie było dziełem boga, ale kogoś prawie tak samo sławnego jak on. Na obudowie przeżyło się białe na czarnym: DESIGN BY F.A.PORSCHE. Nieziemsko podjarany, święcie przekonany, że za niedługo dokupię do niego 911-kę, wyszedłem ze sklepu z pudełkiem pod pachą.

Zewnętrzny wyświetlacz zachwycił swoim lazuru-szafirowym podświetleniem i stężeniem informacji: czułość ISO, numer klatki, ogniskowa, stan baterii, korekcja EV, wielokrotna ekspozycja, i rodem z luksusowych aut - info o niezamkniętej tylnej klapie. Celownik nie był gorszy: przysłona, czas, odległość w metrach, strzałki do ręcznego ostrzenia; aż ciężko było oderwać wzrok. Wkurwiała trochę, że nie świeciły się wszystkie pałki, ale przypuszczam, że była to

przypadłość mojego egzemplarza a nie funkcja specjalna. Dizajn ponad wszystko - szczególnie ponad użyteczność; pokrętła czasu i odległości wysuwały się po delikatnym naciśnięciu jak w niedawnej nowości Hasselblada X1D, którą zachwycił się cały fotograficzny świat. Uroczy ficzer, szkoda tylko, że zupełnie nieużyteczny i irytujący - kiedy aparat był przy oku, zamiast zmieniać czasy palcem wskazujący, wciskało się kółko do środka. Cudem techniki była migawka, której działania nie rozgryzłem do dzisiaj. Po otwarciu aparatu widać było klasyczną szczelinówkę a od przodu zamknięte listki za soczewką - dwie migawki? Po co?

Jako, że obiektyw był przysłonięty na stałe, aparat nie miał pomiaru TTL. Może dlatego jedna trzecia każdego filmu była poważnie nietrafiona z naświetleniem? A może - podobnie jak znikające pałki w celowniku - to znowu wina mojego trefnego egzemplarza? Urokliwość sprzętu podkreślała lampa w kształcie małego młotka dokręcana z boku kamery i łatwy do zgubienia dekielek obiektywu, który pełnił funkcję pilota zdalnego wyzwiania. Tak - to był zdecydowanie aparat wyprzedzający swoje czasy: absolutnie nienadający się do fotografowania, za to kapitalnie wyglądający na szyli. Tym bardziej nie mogłem zrozumieć po co konstruktorzy wyposażyli go w ostry jak brzytwa obiektyw.

Cisnąłem go po tygodniu do szuflady, gdzie przeleżał dwa lata. W końcu trafiłem na jakiegoś zapaleńca, który miał głęboko w poważaniu robienie zdjęć, a nad życie kochał kreowanie swojego way of photographic life. Mimo moich uwag na temat skrzywionej konstrukcji, rzucił się na tytanowego, designerskiego Rolleia jak wygłodzony Reksio na świeżą szynkę.

LEICA R6.2

2000

You'll see him in your nightmares / You'll see him in your dreams /
He'll appear out of nowhere but / He ain't what he seems / You'll see him
in your head / On the TV screen / And hey buddy, I'm warning / You to
turn it off

Zaczęły nachodzić mnie czarne wizje: "A co jeśli wyślą mnie w
dżunglę, na pustynię, gdziekolwiek gdzie nie będę miał dostępu do baterii?
Jak wtedy zrobić zdjęcia? No jak?". Obsesyjna gonitwa myśli nie dawała
mi chwili spokoju. Próbowałem przemówić sobie do rozsądku, ale
poległem sromotnie. Potuptałem grzecznie na giełdę i kupiłem
następną Lajkę.

To była najlepsza pełnomechaniczna lustrzanka na świecie; mówiąc
ściślej - nadal jest. Bateriajki służyły jedynie do zasilania wbudowanego
światłomierza i diod wyświetlacza w celowniku. Może brakowało z boku
drabinki prześwitleń i niedoświtleń jak w R7 - zamiast tego były strzałki
i kropka jak w M6, ale w odróżnieniu od niej, czas i przysłona pod
matówką były przenoszone optycznie i widoczne bez pomocy nawet
mikronowej części ampera. Świetny sprzęt, który razem z 35.
milimetrowym Summicronem został moim ulubionym aparatem. Czarne
body, nierzucające się w oczy jak srebrne, dające po gałach R7. Siałem
nim na lewo i prawo, nie będąc świadomym, że mogę zebrać coś czego nie
chciałbym doświadczyć nigdy w życiu. Jak to szło?: Kiedy patrzysz za
długo na czarnego psa, pies zaczyna się interesować i zerkać na ciebie.

Leżałem w wyrku wpatrując się w czerwone cyfry elektronicznego
zegara majaczące na stoliku w oddali, które wyświetlały 3:33 w nocy.
Patrzyłem na migocące kropki niczym na niemy metronom. Zacząłem
liczyć hipnotyzujący puls czasu: 1,2,3,4,5,6 ... 28,29,30,31,32,33,34,35,36
... 56,57,58,59,60,61,62, 63,64,65,66 ... czemu nie zmienia
się godzina...? Pomyliłem się. Jeszcze raz: 1,2,3,4,5,6 ...

28,29,30,31,32,33,34,35,36 ... 56,57,58,59,60,61,62, 63,64,65,66 - czas na zegarze pozostawał niezmienny: 3:33. Dlaczego 3:33? Jeszcze raz: 1,2,3,4,5,6... Kropki stanęły, przestały migotać. 3:33 drażniła się ze mną bez żadnego udawania, że jest zwykłą godziną. Ucichły zwyczajne dźwięki dochodzące z ulicy. Próbowałem wychwycić odgłos przejeżdżającego auta, bełkot podpitych meneli z monopolowego na dole, albo przynajmniej ciche pohukiwanie sowy polującej na gryzonie w parku nieopodal. Może chociaż szum w uszach, bicie serca... nic. Nie pamiętam żebym kiedykolwiek wcześniej słyszał taką ciszę. 3:33, 3:33, 3:33.

Czarna Lajka leżąca obok budzika drgnęła delikatnie. Pasek rzucony bezwiednie, zsunął się z pryzmatu. Dźwięk otwieranej klapki filmu zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu. Zobaczyłem jak coś czarnego i kudłatego gramoli się niezgrabnie ze środka. Widzieliście jak rodzi się koń? Kiedy mały źrebak próbuje stanąć na nogi zaraz po urodzeniu? Te niezgrabne ruchy i pozycja zwycięzcy kiedy mu się uda? Chwieje się, ale stoi. Niepewnie. To coś zachowywało się podobnie. Małe, zdecydowanie mniejsze od konia, rozmiaru chomika - czarne i kudłate. Po kilku minutach nabrało odwagi i zeskoczyło ze stołu. Było już wielkości królika. Otrząsnęło się jak pies po wyjściu z wody i rozpukeło do rozmiaru owczarka niemieckiego. Podobne, ale czarne i bardziej kudłate. Odwróciło się w moją stronę i zaczęło wywalać ślepią jak jebany pies Baskerville'ów, z jarzącymi gałami; pierdolony demon z niewydanej, drugiej części Opowieści Wigilijnej Dickensa. Stał naprzeciwko i wpatrywał się we mnie wyczekująco w milczeniu.

3:33, wciąż 3:33. Podniosłem głowę żeby przyjrzeć się lepiej. Przechylił łeb i przysiadł na podłodze. Mimo świecących oczu nie wyglądał już groźnie. Raczej na zaniepokojonego szczeniaka gapiącego się na nową zabawkę, którą nie potrafił się jeszcze bawić. Pomerdał ogonem i prychnął paszczą.

— Gwizdałeś? — szczechnął pytająco.

— Że co? — pojebało mnie, wydawało mi się, że gadam z psem.

— Czy gwizdałeś na Murzyna?

— Słucham?

— Wołałeś mnie?

— To chyba niepoprawne?

— Co?

— Nie można tak mówić - Murzyn.

— Dlaczego?

— Można zranić uczucia.

— Czyje?

— Tego kogo się tak nazywa.

— Czyli moje?

— Tak.

— Ja nie mam uczuć. Nie ma problemu.

— Dlaczego Murzyn? Nie było ładniejszego imienia?

— Głupi? — pies popatrzył litościwie — Bom czarny. To jakie miało być? Czarnu...

— Dobra, w porządku — przerwałem mu w pół zdania — Niech będzie Murzyn. To skąd się wzięłeś i czego chcesz?

— Przygarnąłbyś. Zwierzak samotny, nie ma pana.

— Nie mam warunków żeby trzymać psa.

— Nie chcesz przyjaciela?

— Mam już przyjaciół.

— Na razie. Potem sobie pójdą a ja będę.

— Jak pójdą, to marni to przyjaciele.

— No — popatrzył z uśmiechem zwycięzcy na pysku.

— OK. Przygarnę cię i co będziemy robić?

— Gryźć będziemy.

— Co będziemy gryźć?

— Wszystko wokoło. I szydzić. A potem patrzeć jak się przestaje ruszać.

— I jaki w tym cel?

— Bez celu. Kiedy się rozpada to ładne.

— No i co jeszcze?

— Wtulimy się, będziemy spać smacznie.

— Cały dzień będziemy spać?

— Taaaak... Wspaniale będzie.

— To nudne i bezcelowe trochę.

— Dlaczego?

— Trzeba się ruszać, coś robić.

— Dlaczego chcesz się męczyć? Biegać, szczekać - to potem nie będzie już czasu na spanie. Trzeba tak żyć żeby nikt po tobie nie płakał.

— Chyba powinno być “przez ciebie”?

— Nie - po tobie. Po co martwić kogoś po śmierci swoim brakiem? Serca nie masz dla ludzi?

— Pokrętnie to. Jesteś bardzo przygnębiający, wiesz?

— Wieeeemmmm — wyszeptał czule a jego uśmiech rozpromienił się jeszcze bardziej. Zdawało się, że zaczyna być większy od niego samego, jak u kota z Cheshire.

— Jak mnie będziesz wkurwiał to ci nakopię. Skręciłem już raz za młodu kark szczeniakowi, jakby co możesz następny — chyba się przestraszył. Zamilkł. Nie odzywał się. Siedział w milczeniu i wybałuszał na mnie swoje świecące ślepia.

— Będiesz kiedyś chciał przerwać spiralę bezsensu, to ja ci pomogę.

— Naprawdę? — zadrwiłem — W jaki sposób. Obszczekasz mnie?

— Nie. Dam się pogłaskać. Czule.

— No tak. To faktycznie bardzo pomocne.

— Nie rozumiesz jeszcze. Jeszcze nie teraz.

— Teraz to ja nie mam czasu i ochoty na durne sny. Mam dużo rzeczy do zrobienia.

— Bez sensu, uwierz. Słowo honoru. Dużo będziesz robił, łudził się, wiercił i wykręcał; zwijał i wywijał, niepotrzebnie skręcał i nakręcał. Wszystko to rzeczy mierne. Co z tego, że penis wciąż ci będzie stał skoro motylków w brzuchu nie kupisz za żadne pieniądze świata? Prawdziwi mężczyźni nie posiadają niczego. Żyją tylko po to, by na końcu zatańczyć pięknie na sznurku. Tak skończysz beze mnie. Przygarnij.

— Spierdalaj!

— Będziemy razem płakać, powyjemy do księżyca albo będziesz głaskał po cichu. To nie jest złe. Ludzie tylko tak mówią. Skończy się, ale nie będzie smutno; czujesz ale co to za czucie. Boli tylko. Nie broń się. Hej, no mówię do ciebie. Hej. Nieraz lepiej nie czuć nic.

— To chyba bilet w jedną stronę, co? Zaprzyjaźnię się z tobą... I co? Na co mi taka odpowiedzialność. Męczący jesteś, nie dajesz chwili wytchnienia.

— Oj nie pierdol. Łykniesz sobie pastylkę i wszystko wróci do normy.

— I znikniesz?

— Nie. Schowam się i będę patrzył z daleka.

— To po co takie rady?

— Dla komfortu złudzenia.

— Bredzisz. Idź sobie już. Daj się obudzić.

— Dobrze. Pójdę. — widziałem jak wszedł z powrotem na stół. Przygarbił się, zmałał, wszedł do aparatu i zamknął za sobą klapkę. — Ale i tak cię kiedyś jeszcze oswoję — Doleciało szeptem ze środka.

Westchnąłem. Cisza nocy potrafi płatać figle. 3:33. Kropki wyświetlacza pulsowały rytmicznie. ...56,57,58,59 - 3:34.

Jeszcze tego samego dnia, z samego rana poszedłem z czarną Lajką na giełdę i sprzedałem ją za bezcen wniebowziętemu z radości handlarzowi.

— Niech cię kurwa, ktoś inny oswaja — rzuciłem na pożegnanie.

This is my flesh and blood / This is what i could've been / And the wheels ain't turning, turning / As the 20th century dies...

LEICA M6 TTL

2001

Powoli zaczynało do mnie docierać, że zawód fotoreportera newsowego to nie zabawa dla mnie. Nie było w tym romantyzmu, który mamił z filmów i biografii wielkich fotografów. Może to nie to miasto, nie to państwo; a może kwestia czasu? Nie było w tym żadnej przygody, a jedynie codzienna orka nie różniąca się zbytnio od pracy hydraulika w pogotowiu wodociągowym. Coraz częściej nachodziła mnie chęć na znalezienia sobie normalnej roboty od 8:00 do 16:00.

Zapakowałem wszystkie fotograficzne graty jakie znalazłem w domu i zanieśliem je do zaprzyjaźnionego komisu. Nie wyobrażałem sobie porzucenia fotografii na dobre, więc chciałem wybrać jakiś symboliczny aparat na pocieszenie. Nie dziwne, że po przerobieniu tylu Lajek, mój wybór padł na M6-kę, która była jedynym dostępnym ówczesnie małym systemem, i na dodatek sprawiała wrażenie aparatu ponadczasowego, takiego który kupuje się raz i zapomina o zabawie ze sprzętem do końca życia.

Wszystkie książki fotograficzne jakie ówczesnie czytałem, jeśli oczywiście zahaczały o wymienianie konkretnych typów i nazw sprzętu, poświęcały mu osobne kategorie, na przykład: Aparaty na film 110, Aparaty na film 126, Aparaty na dysk, Aparat do natychmiastowej fotografii, Proste aparaty z celownikiem optycznym - na film o szerokości 35mm, Automatyczne aparaty z celownikiem optycznym na film o szerokości 35mm, Mechaniczna lustrzanka jednoobiektywowa na film o szerokości 35mm, Automatyczne lustrzanki jednoobiektywowe na film o szerokości 35mm, Aparaty na filmy zwojowe, Aparaty w układzie poziomym (mostkowe), Aparaty wodoodporne i do zdjęć podwodnych, Aparaty panoramiczne, Aparaty do zdjęć na nośniku magnetycznym, Aparaty Leica (seria M). Trudno było oprzeć się wrażeniu, że jest to coś wyjątkowego.

Przypomina mi się zabawna sytuacja z 1991 roku, kiedy pracowałem jako goniec w jednym z warszawskich tygodników newsowych. Do redakcji przychodził od czasu do czasu znany fotograf - laureat a później juror konkursu World Press Photo. Siadał przy stole, rozmawiał z prowadzącym o temacie, a obok siebie kładł Lajkę M6. Chwytałem ją do ręki i patrzyłem jak w celowniku zjeżdża się obraz; biegałem po całej redakcji i strzelałem pojedyncze ujęcia co młodszym koleżankom. Całkowicie wyluzowany właściciel miał całkowitą zlewkę co dzieje się z jego kamerą; nie gonił mnie, nie pytał gdzie idę, po pół godzinie kładłem ją z powrotem na stół. Zważywszy, że w 1991 roku jej wartość równała się zapewne moim dziesięcioletnim zarobkom gońca, do samej ziemi chylę głowę przed jego opanowaniem. Kilka lat później został moim oficjalnym mistrzem. Ze dwa, trzy razy zaprosił mnie do siebie do domu, przeorał mi portfolio, wytłumaczył co i jak, i nie wziął za to żadnych pieniędzy. Dziwi to dzisiaj, w czasach wszechobecnych płatnych warsztatów i przeglądów zdjęć. Jeśli to jakimś dziwnym przypadkiem przeczyta, to szacun - głęboki szacun mój Mistrzu!

Nie wiem czy jest sens opisywać ten sprzęt. Zapewne wszyscy czytający wiedzą o czym piszę, a na YouTube są setki filmów pokazujących go lepiej niż przedstawiłbym go w tekście.

Z portfelem wypchanym pieniędzmi zacząłem cotygodniowe polowania na giełdzie foto. Kupić taki aparat nie było prosto. Nie istniało żadne polskie przedstawicielstwo, w komisach posucha, a allegro i ebaya jeszcze nie było. Tydzień w tydzień wychodziłem ze Stodoły z pustymi rękami. Któregoś dnia spotkałem na Starym Mieście kumpla, który lubił zbierać aparaty. Przysiedliśmy sobie w kafejce i zaczęliśmy niezobowiązującą pogawędkę.

— ... a wiesz, kupiłem sobie wczoraj Lajeczkę — rzucił kolega sięgając do torby.

— Taa... — odpowiedziałem przeciągle.

— No. Zobacz jaka ładna — uśmiechnął się i położył przede mną M6TTL z Summicronem 50-ką.

— Kosmicznie stary. Zazdroszczę. Od pół roku poluję na coś takiego na giełdzie. Jakim cudem znalazłeś?

— A nie, nie na giełdzie. Kuzyn przywiózł mi z Paryża.

— To może sprzedałbyś jak ci się znudzi?

— Nieee... To dobra lokata kapitału. Poza tym wiesz - legenda — zerknął na mnie i widząc moją zmartwioną minę dodał — Ale jeśli chcesz pożyczę ci na trochę do czasu aż nie znajdziesz swojej.

— No nie wiem, droga zabawka na pożyczanie. Ukradnie mi ktoś, albo coś.

— Czym się martwisz, pieniądze masz. Jak kupisz swoją to też ci mogą ukraść. Poużywasz chwilę, jakby się coś stało to po prostu zwrócisz mi kasę.

— OK. Chętnie — odpowiedziałem, a przez głowę przybiegł mi szatański plan jak wejść w jej posiadanie.

Przerobiłem kilka rolek i dobra strona mojej natury przeważyla, bo po niecałym tygodniu czy dwóch oddałem sprzęt koledze. Niestety na giełdzie wciąż nie było egzemplarza dla mnie. W końcu odpuściłem i czując uwierającą bezsprzętową próżnię, kupiłem całkiem inny aparat. Oczywiście dalmierzowy.

MAMIYA 6

2001

Chodziłem, chodziłem, snułem się między stolikami na giełdzie i wypatrywałem dalmierzowej Lajki. Co niektórzy sprzedawcy zaczynali reagować na mój widok ostentacyjnymi spojrzeniami w sufit. W końcu odpuściłem - no bo ile czasu można żyć bez aparatu foto?

Którejś niedzieli wypatrzyłem inny dalmierz. Mówiłem sobie w myślach, że nie jest wcale większy od Lajki; składany, no i przede wszystkim średni format, który pozwoli mi na poważniejsze podejście do fotografii. O większe koszty się nie martwiłem, bo jako, że nie musiałem produkować obrazków do gazet, mogłem sobie pozwolić na oszczędniejsze i bardziej przemyślane kadrowanie.

Miałem wrażenie, że celownik w Mamiyi jest odrobinę bardziej klarowny i łatwiejszy w objęciu okiem niż w M6. Preselekcja przysłony i wyświetlane w nim czasy migawki pozwalały na szybsze fotografowanie. Szeroka pięćdziesiątka jaką dostałem w komplecie wypełniała całe pole widzenia kwadratowego okienka. Po naciśnięciu przycisku przy bagencie, obiektyw chował się odrobinę do środka i całość była całkiem niewielka jak na średni format.

Założyłem film i zacząłem napawać się przyjemnością fotografowania aparatem dalmierzowym. Z powodu 12 klatek na filmie nie mogłem pozwolić sobie na szaleństwo powtórek, więc skupiłem się na spokojnym celebrowaniu kadru. Przestrzeliłem kilka rolek, wywołałem, zrobiłem na szybko kilka odbitek i zachłysnąłem się techniczną jakością zdjęć. Niestety z niepokojem zauważyłem, że niektóre ujęcia wyglądają cokolwiek dziwnie. Po uważnych oględzinach negatywu okazało się, że obiektyw nie ostrzy na całej powierzchni kadru. Nie pamiętam już czy przekoszenie leciało bokiem czy po przekątnej, jednak niemożliwym było utrzymanie ostrości na całej powierzchni kadru.

W następną niedzielę wróciłem na giełdę. Dlaczego nie zwróciłem aparatu sprzedawcy? Może byłem miękka faja, która boi się wchodzić w konfliktowe interakcje, a może handlarz nie pojawił się tam drugi raz?

Koniec końców kamera powędrowała do innego, który na moje naiwne próby wzmianki o problemie, wzruszył jedynie ramionami i wyciągnął plik banknotów z kieszeni.

Rzecz jasna odpuściłem sobie ponowne szukanie Lajki i jakiegokolwiek małego obrazka. Zafascynowany detalem w obrazie, kupiłem następny średni format.

HASSELBLAD 501C

2001

Jakość średniego obrazka spodobała mi się na tyle, że o powrocie do Lajki i małoobrazkowego filmu nie mogło być mowy. Lawirowałem między giełdowymi stolikami próbując wypatrzeć następne cudo. Miałem w pamięci mojego pierwszego Lubitela, więc rozważałem kupno jakiegoś małego Rolleiflexa. Nie byłem jednak pewien czy sprostam ograniczeniu jednej ogniskowej. W końcu mój błędny i spragniony wzrok natrafił na Hasselblada. Słyszałem już o historii z księżycem i oglądałem "Powiększenie" Antonioniego więc sprzęt nie był mi obcy. Co prawda 501C występował tylko w czarnej wersji, bez uszlachetniającego chromu, ale potraktowałem to jako powiew nowoczesności ponad klasyczną nostalgią. Standardowa 80-ka i jeden magazynek wydawały mi się wystarczającym zestawem na początek.

Duży klocek z charakterystycznym dźwiękiem pacnięcia tylnej klapki zasłaniającej film, sprawiał wrażenie zwartej bryłki wyciosanej z jednego kawałka metalu. Nie było w nim żadnych automatyk ani żadnego pomiaru światła czy autofokusa; wszystko trzeba było nastawiać ręcznie. Świat obserwowany na wielkiej, jasnej matówce wydawał się ciekawszy niż w rzeczywistości. Modułowość aparatu powalała; do wymiany było dosłownie wszystko: obiektywy, kasety z filmem, matówki i system celowniczy. Konfigurowałem jak szalony. Dokupiłem 50-kę, potem srebrną 250-kę, dwukrotny telekonwerter, pryzmat 45 stopni z pomiarem TTL oraz matówkę z klinem i kratką; miałem nawet mieszek makro. Przy okazji późniejszych roszad pozbyłem się 250-ki i pryzmatu, by po jakimś czasie nabyć 150-kę, 250-kę - tym razem czarną - i magiczny 90-cio stopniowy pryzmat, który miał wszystkie możliwe sposoby pomiaru: średni, spot, a nawet dzięki wystającej białej kopułce, dało się nim ogarnąć padające światło. W przerwach kiedy nie miałem ani pryzmatu ani zewnętrznego światłomierza, zdarzało się, że oceniałem ekspozycję na oko i trafiałem w większości przypadków.

— Co pan tu na moim polu? Z geodezji? Po niedzieli chodzicie?

— Nie z geodezji - zdjęcia robię. Krajobrazowe.

— Krajobrazowe? Pacz pan. Tyle lat po nim orze i nie wiedziałem, że ono krajobrazowe. I co? Do gazety to pójdzie?

— Nie do gazety. Zdjęcie na ścianę, dla ozdoby będzie.

— Na ścianę? No to rób se pan. Ino ja bym na ścianie wolał ładny obrazek powiesić a nie pole puste. Pan z Ciechanowa?

— Z Warszawy.

— To daleko po to zdjęcie zajechał. A auto gdzie?

— Kolega zabrał.

— Jak zabrał?

— Miał coś do zrobienia w mieście, podrzucił i pojechał dalej. Do trasy chyba stąd niedaleko? Jak dojść?

— Piechoto będzie iść?

— Piechotą.

— No to pójdzie na prawo, tam za wsią dojdzie do stawu i skręci w lewo w drogę do asfaltówki. Stawu musi pan dobrze wypatrzyć, bo zapiżdzone tak, że pewnie nie widać. Jak minie krzyż, to zaraz za zakrętem dojdzie do trasy, do przystanku. Tylko... — podrapał się pod czapkę — ...tylko pekaesa to pan już dzisiaj nie złapie, bo późno.

— Nie. Kolega będzie wracał to mnie zabierze z powrotem.

— Aaa... Bo jak pekaesem to za późno — podniósł rękę i pomachał.

— Do widzenia.

— Do widzenia.

Ruszyłem przed siebie. Minąłem niedużą wieś i zacząłem wypatrywać stawu. Faktycznie - jak mówił gospodarz - trudno go było dostrzec. Domyśliłem się, że był nim biały równy placek, ledwo wyróżniający się z przysypanego śniegiem otoczenia. Skręciłem w lewo i zobaczyłem przydrożny krzyż. Wyjąłem Hasselblada z plecaka. Ciężki, średnioformatowy, analogowy - wiedziałem już, że dobre, artystyczne zdjęcie musi być zrobione conajmniej średnioformatową kamerą, koniecznie w kwadracie i na czarno-białym filmie. Niestety do stuprocentowego wyglądu prawdziwego artysty brakowało mi statywu.

Przyznam, że przez moment poczułem się bardzo niepoważnie. Otworzyłem kominek i zacząłem kadrować. Krzyż wspaniale współgrał z nagimi drzewami - przez moment zastanawiałem się czy to przypadkiem nie wierzby - i zaśnieżoną drogą skręcającą łagodnie w lewo.

“Przydałby się jakiś sztafaż”, pomyślałem. Jak na zawołanie, z zakrętu wyłonił się traktor. Szybkim ruchem, nie sprawdzając poprawności ekspozycji na zewnętrznym światłomierzu, przyłożyłem aparat do oka i nacisnąłem spust migawki.

“No i super. Samotny krzyż na zapomnianej drodze i samotny traktor. Tak jakby, samotna prasłowiańska droga chroniła w swoich koleinach plebejski powóz. Nieźle. Będzie świetny fotogram”, zadowolony z siebie, zdjąłem plecak i schowałem aparat. Szedłem i dociekałem w myślach, w której strefie umieściłem traktor i czy negatyw wywołać N+1, N-2, a może N+3?

— Mogłem zmierzyć wcześniej światło — westchnąłem. Zamyślony, nie zauważyłem kiedy coś pojawiło się na końcu drogi. Stałem i spojrzałem dokładnie. Zobaczyłem w oddali konia, a za koniem sanie. Odwróciłem się i zacząłem biec z powrotem w stronę krzyża.

“N+1! Nie! N-3! Nie! N+2! Cholera! Nie wiem!”, wciąż biegnąc, drżącymi rękoma szarpałem pasek aparatu wyciągając go z plecaka. Przyłożyłem do oka.

— Kurwa! — zakląłem na głos i zdjąłem dekielek. Słyszałem dźwięk dzwoneczków za zakrętem. Dysząc, nastawiłem ostrość na krzyż.

— Kurwa!!! — zapomniałem wyjąć szyberka. Szybkim ruchem wysunąłem go z kasety. Koń z saniami pojawił się na zakręcie. W ostatnim momencie nacisnąłem spust.

Pan Adamczyk zapewniał szybki i profesjonalny serwis. Gdy zerwałem migawkę w standardzie, wybrałem się na wycieczkę do Wigi; zostawiłem mu obiektyw, a po czterech godzinach uwieczniania okolicznych mokradeł - migawki były w obiektywach więc awaria jednej nie wykluczała dalszego fotografowania innymi szklami - odebrałem naprawione szkło. Innym razem, kiedy kasetka zaczęła przepuszczać światło, dostałem od niego uszczelkę do samodzielnego

montażu. Przez 12 lat użytkowania aparatu nie miałem z nim więcej żadnych problemów.

Odpuściłem fotografowanie ludzi. Owszem, zdarzało mi się jeszcze czasami kierować obiektyw w ich stronę, ale były to ciche kadry bez ganiań za sensacją. Uspokoilem się i całą energię poświęciłem na szukanie falujących traw, samotnych domków na pustkowiu, czy poetyckich strumieni chlupocących między kamieniami. Połapałem trochę pociągów i pustych torów, kilka razy pojechałem na targ koński do Skaryszewa i na Żydów do Leżajska. Głównie jednak krążyłem samochodem po wioskach Mazowsza i próbowałem znaleźć przemijające kadry: Im większa rudera, im większy pierdolnik i dźwięk szumiących wierzb, tym bardziej skupiałem na nich swoją uwagę. Dotarłem do takiego stopnia fascynacji naturą, że wydawało mi się, iż dostrzegam pałę dzięcieliny, której niestety nie udało mi się nigdy sfotografować.

No i oczywiście psy. Psy w każdej konfiguracji. Psy, suki, psy niebinarne; czarne, białe, fioletowe; samotne, w parach, grupach czy też z ludźmi. Nie mogłem się oprzeć.

Któregoś razu, kiedy kynologiczne portfolio rozrosło mi się wystarczająco, zapakowałem odbitki do samochodu i ruszyłem do redakcji FotoPozytywu do Łodzi.

— Dzień dobry, jestem początkującym artystą, mam średnioformatowego Hasselblada i chciałbym opublikować u was kilka zdjęć — walnąłem z szybkością karabinu maszynowego i rzuciłem odbitki na stół.

Pan popatrzył na mnie jak na idiotę, pozbierał zdjęcia i zaczął przeglądać.

— No ładnie, ładnie — pokiwał głową — Ale ja już mam zdjęcia psów.

— Aha? — zaciekawilem się w niemym zachwycie, który nie umknął uwadze fotoedytora.

— O! — wskazał palcem na monitor i zaczął przewijać — Elliot Erwitt, bardzo dobre fotografie. Nie to gówno, które przyniosłeś.

Oczywiście ostatnie zdanie nie padło na głos, ale czułem, że przegrałem i oczywistym jest, że z Erwittem nie mam żadnych szans. Moja porażka bolała tym bardziej, że miałem świadomość, że Elliot do produkcji swoich zdjęć używa małego, zupełnie nieartystycznego, obrazka. Skulony, z portfolio pod pachą, wgramoliłem się za kółko mojego artystycznego, klasycznego Mercedesa i ze smutkiem wróciłem do Warszawy.

Kilka lat później, chcąc wejść głębiej w świat sztuki, kupiłem tylną ściankę na pojedyncze arkusze błony i zamiast negatywu załadowałem do niej papier foto; naświetliłem kadr a następnie zmoczyłem i zrobiłem z niego klasyczną odbitkę pod powiększalnikiem. Niestety brak zainteresowania u odbiorców zasiał w mym sercu ziarno zwątpienia, które z roku na rok zaczęło kiełkować w postać coraz bardziej kłującego chwasta.

Mimo to, byłem tak przywiązany do tego aparatu, że patrząc optymistycznie w przyszłość, wydałem małżonce dyspozycję by skremowała mnie po śmierci, przesypała do niego moje prochy i postawiła na półce w salonie.

CONTAX T2

2002

Stałem na stacji benzynowej w warszawskich Włochach i tankowałem moją białą limuzynę marki Daimler-Benz. Promienie letniego słońca pieściły skórę dziewcząt wijących się wokoło starego Garbusa na samoobsługowej myjni. Patrzyłem na wulgarność młodości; na wodę z ręcznego spryskiwacza i mokre, prześwitujące podkoszulki oblepiające ich zgrabne, zmysłowe ciała; na kłębiaste chmury piany, które zdmuchiwały na siebie chichocząc jak nieskażone życiem, niewinne nastolatki.

— Ja przepraszać pana — perlisty śmiech dziewczyn przerwał chropowaty głos dobiegający mi zza pleców. Odwróciłem się gwałtownie. Niecały metr ode mnie stał śniady, przypominający z wyglądu typ śródziemnomorski, facet. Stał na tyle blisko, że mogłem poczuć woń wody kolońskiej Brutal, którą roztaczał intensywnie wokół siebie.

— Czego? — zaskoczył mnie, więc sformułowałem pytanie dość niegrzecznie.

— Ja przyjechać z Włoch. Ja Italiano i mamma mia zabraknąć benzyna — patrzył na mnie uwodzącym, pełnym zaufania, złotozębnym uśmiechem.

— No i? Co mi do tego? — zaskoczenie nie zeszło ze mnie na tyle, żebym pozbył się ochronnej warstwy grzecznej nieuprzejmości.

— Wracać z wycieczki z Polonia. Polonia piękny kraj ale ja z rodziną tęsknić za dom. Skończyć się pieniądze, bank się popsuć, nie mieć jak wrócić do Bari.

— Gdzie ta rodzina — rozejrzałem się wokoło — Samochód gdzie masz?

— Stanąć tam, za rogiem — zamachał ręką na cztery strony świata.

— I co? Pieniądze chcesz pożyczyć?

— Nie. Ja już wracać do domu, zrobić pamiątki więc aparat niepotrzebny. Może pan kupić niedrogo? — wyciągnął z kieszeni małego kompakta.

— Niedrogo mówisz?

— Niedrogo, na benzyna tylko. Contax, luksusowy.

— Contax? Contax? Pierwsze słyszę. Pewnie jakiś badziew. Gdybyś miał bardziej znaną markę - Canomatica na przykład albo coś...

— Dobry, tytanowy, ciężki, profesjonalny — zachwalał dalej i podał mi kamerę do ręki — 500 złotych.

— Ciężki, bo pewnie ktoś do niego ołowiu do środka napchał — odpowiedziałem obracając go w rękach.

— Celownik szafirowy, tytanowy — reklamował sprzęt niczym sprzedawca z luksusowego butików z samego centrum Mediolanu.

— A nie diamentowy? — zakpiłem — O, i wgnieciony tutaj, pod napisem koło baterii.

— Nie. To taki dizajn. 400 złotych.

— Dizajn - srizajn. Nie wciskaj mi kitu, widzę że walnięty. 50 złotych ci mogę dać.

— Pan się nie wygłupia. Luksusowa marka. 300 złotych to jak darmo.

— I popsuty w środku — przyłożyłem aparat do oka — Nie pokazuje połowy czasów. Pół stówy - więcej nie mam.

— 200 i żona szczęście panu wywróży — splunął na dłoń i wyciągnął ją w moją stronę.

— Gówno nie profesjonalny, nawet obiektywów wymiennych nie ma. Jakąś lampę o dużej mocy przynajmniej do niego masz? Chociaż torbę porządną? Stówę mogę dać, więcej nie mam.

— No dobrze. Niech da stówę — zrezygnowany wzruszył ramionami.

Wyciągnąłem z portfela 100 złotych. Ledwo zdążyłem dać mu je do ręki a ulotnił się niczym kamfora.

— Ej, a ta żona z wrózeniem gdzie? — rzuciłem w próżnię.

Stara akcja: nie raz słyszałem od kolegów historie o turyście próbującym wcisnąć naiwnym ludziom plastikowy crap udający profesjonalną lustrzankę. Ale 100 złotych nie pieniądze. Zerknąłem na dziewczyny baraszkujące na myjni. Będę miał pretekst do zagadania. Sięgnąłem do schowka na rękawiczki i wyjąłem jakiegoś dyżurnego Tri-

Xa. Załadowałem do aparatu i podeszłem do nastolatek wciąż wijących się wokół Garbusa.

— Dziewczyny, robimy sesję? Zrobić wam zdjęcia? — zagadałem z uśmiechem podnosząc Contaxa do oka.

— Weź spierdalaj dziadek — perlisty śmiech ucichł jak cięty nożem — Zboczeniec stary. Zawołam policję i pójdiesz siedzieć za pedofilię, zboku!

Schowałem luksusowego Contaxa do kieszeni - mieścił się idealnie - i pokornie wsiadłem do swojej białej limuzyny. Odjechałem grzecznie i po cichu, nawet nie piszcząc oponami. Zrozumiałem, że jako mężczyzna z trzecim krzyżykiem na karku, nie mam szans w starciu z energią i czystością nastoletniej młodości. Gnałem przed siebie ze łzami porażki w oczach. Moja godność zawodowca i początkującego artysty została zdeptana na tyle, że mimo iż aparat okazał się oryginalny, niesmak nieudanej sesji był tak duży, że w najbliższą niedzielę opchnąłem go za grosze na giełdzie.

No i znowu obudziłem się o świcie zlany zimnym potem: “Co jeśli trafi się jakieś zlecenie? Życie artysty może piękne jest i romantyczne, ale czy da się wyżyć z obrazków dziecieliny pały, falujących wierzb albo morza żółtego rzepaku rozlewającego się po horyzont? Żeby żyć trzeba jeść, a żeby jeść trzeba zarabiać. Przecież nie pójdę na ściankę albo na kotleta z Hasselbladem w rękę”, obsesyjne gonitwy myśli wyrzuciły mnie z łóżka z prędkością rewolwerowego pocisku. Nie mogłem czekać do niedzielnej giełdy; był dopiero poniedziałek a cały tydzień życia w zawieszeniu, jawił mi się jako wieczność. Połykając w pędzie, śniadaniowy, powszedni, z lekka zeschnięty kawałek chleba z dżemem, ruszyłem w rajd po warszawskich komisach. Być może było ich więcej - ja pamiętam cztery: dwa na Trasie Łazienkowskiej na wysokości Remontu, na przeciwko siebie po obu stronach ulicy, i dwie niezawodne miejscówki na Ochocie, do których pałałem szczególną sympatią.

Schodkami w dół, w małej piwniczce na Radomskiej, stężenie sprzętu foto na metr kwadratowy zapierało dech w piersiach. Wszystkie formaty i rodzaje: małe, średnie, wielkie; lustrzanki, kompakty i nieznanego rodzaju wynalazki typu zrób to sam. Paski, pokrowce, powiększalniki i fotograficzna literatura na kilogramy. Istne, sprzętowe królestwo z niepodzielnym i absolutnym władcą za ladą.

Niektórzy nie lubili pana Leszka, który jak to dzisiaj bywa, nie sprzedawał uśmiechów na lewo i prawo, i nie kłaniał się każdemu klientowi w pas. Byстрым wzrokiem świdrował potencjalnego kupującego, czekając na jego pierwsze słowa, dzięki którym mógł zorientować się jaką formę prezentacji przyjąć.

— Panie Robercie, skąd ja mogę wiedzieć czego pan nie wie? — tłumaczył mi kiedyś swoje podejście do biznesu.

Jego pozorna oschłość dawała jednak pewność, że gdy zaczynał czuć do kogoś sympatię i zaczynał wchodzić z nim w słowne potyczki, istniało

duże prawdopodobieństwo, iż faktycznie go polubił. Mimo, że nie były to jeszcze czasy wszechobecnej poprawności uśmiechu i noszenia ozdobnych masek pozytywnego podejścia do człowieka, już wtedy jego postawa potrafiła uwierać co niektórych fotografów ze słabszą psychiką. “Nie ufaj ludziom, którzy nie mają wrogów” - kto to powiedział? Winston Churchill? Józef Stalin? Jan Paweł II czy Mahatma Gandhi? A może Jezus Chrystus albo Budda?

Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu - w końcu zasłużyłem na podawanie ręki na powitanie i kilkugodzinne pogaduchy o wszystkim. Ba! - doszło do tego, że zacząłem razem z nim, w niezręcznym milczeniu obserwować każdego nieznanego klienta błakającego się niezdecydowanie po sklepie; w klimacie sceny jak ze starego westernu, kiedy do zakurzonego saloonu wchodzi niespodziewanie samotny rewolwerowiec z nikąd, brakowało jedynie muzyki gasnącej gwałtownie po otwarciu drzwi.

Po roku czy dwóch, doczekałem się w końcu statusu swojaka. Mogłem bez skrępowania prosić o pożyczenie sprzętu na testy i przepierdalać czas na wyklócaniu się nad wyższością Hasselblada serii V nad sześciotysiączkami Rolleiflexa.

W poniedziałkowe popołudnie wparowałem do piwniczki w dosyć wzburzonym nastroju.

— Co się stało panie Robercie? Wszystko w porządku? — zaniepokoił się pan Leszek.

— Panie Leszku. Przerazenie wielkie ogarnęło mnie dzisiejszego poranka. Spełniam się jako artysta, koncentruję na formie i oddaję się pasji nieskrępowanego tworzenia, ale przecież muszę z czegoś żyć - mieć co jeść.

— No ale panie Robercie — zakłopotał się pan Leszek — Przecież wie pan, że nie mam pana wpisanego w dowodzie w rubryce dzieci... No dobrze, ile pan chce pożyczyć?

Mój wzrok padł na lustro, w którym zobaczyłem szaloną postać z rozwianymi włosami. Zreflektowałem się i przyhamowałem emocje. Wziąłem głęboki wdech i wydech.

— Dziękuję panie Leszku — powiedziałem już całkiem spokojnie — Nie o pożyczkę chodzi. Pomyślałem tylko, że nie mam żadnego aparatu do zarabiania pieniędzy. Przeraża mnie to.

— Ale jak to? — odparował pan Leszek wchodząc z powrotem w rolę króla sprzętu — Hasselbladem pan nie może zarabiać?

— Hasselbladem? Jak? Panie Leszku, jak? Mam zarabiać na sztuce? — wzburzyłem się, próbując zatrzymać falę ogarniającego mnie niezrozumienia.

— No dobrze — westchnął — Coś zaraz panu wybierzemy. Ma być drogo, tanio czy po kosztach?

— Coś prostego do roboty. Bez zbędnych emocji — zacząłem rozglądać się po półkach a pan Leszek zaczął buszować pomiędzy kamerami. W końcu wyciągnął z najbardziej zakurzonego kąta Nikona F-801 z jakimiś dwoma stałoogniskowymi szklami.

— Może być? Niezajechany bardzo, popracuje jeszcze kilka lat — powiedział kładąc go przede mną na ladzie. Aparat był wcześniejszą wersją F90X, którego miałem pięć lat temu. Ówczasie, każde następne generacje kamer nie różniły się od siebie jak obecnie. Na jakość zdjęć wpływał przede wszystkim obiektyw i film; puszka sprawiała jedynie, że fotografowanie było mniej czy bardziej wygodne, a topowa profesjonalność zapewniała głównie mniejszą awaryjność w terenie. 801-ka miała podobne rozłożenie sterowania jak mój poprzedni Nikon więc poczułem się jak w domu. Ostatnie resztki paniki zeszły ze mnie jak ze zużytego, urodzinowego balonika.

— Dziękuję panie Leszku. Dobry jest, nic więcej mi nie potrzeba — uśmiechnąłem się. — Ile to mnie będzie kosztowało?

— W skarpetkach pana nie puszcę — machnął lekceważąco pan Leszek.

Resztę dnia, już całkiem na spokojnie, spędziliśmy na dyskusji czy zoomy dorównają kiedyś jakością obiektywom stałoogniskowym.

Kilometr dalej mieścił się mój drugi ulubiony komis. Nie miał tak swojskiej atmosfery jak piwniczka na Radomskiej, bo był od niej o dwie

klasy wyżej, ale miał za to poważnie brzmiącą nazwę - Sterling Photographic.

Paweł i Wayne nie ograniczali się do handlu używanym sprzętem. Jako przedstawicielstwo Hasselblada, Sekonica, Tachihary, ProFoto i nie wiem czego jeszcze, zapewniali dostęp do najlepszych cudów fotograficznej techniki.

— O cześć! Miło cię widzieć — rzucił na powitanie Paweł — Napijesz się kawy?

— Chętnie — odpowiedziałem.

— To nam też zrób — nie odwracając się od monitora wskazał za siebie na pomieszczenie gospodarcze robiące za toaletę i kuchnię.

Ich podejście do klienta zdecydowanie różniło się od sposobu handlu pana Leszka. Z otwartymi ramionami i szerokimi uśmiechami na twarzy witali każdego kto chociażby nawet przez pomyłkę wszedł do ich sklepu. Podobnie jak na Radomskiej, na fotograficznych przepychankach można było stracić u nich kilka godzin. Było tam o tyle wygodniej, że zapewniali klientowi komfortową kanapę do wypoczynku. Pamiętam z jakim zapałem i profesjonalizmem sprowadzali dla mnie osłonę przeciwsłoneczną do mojej hasselbladowej 80-ki. Przyznaję, że czułem się wtedy jak najważniejszy fotograf w Polsce. Pomogli mi też w krótkim kryzysie, gdy przytłoczony skomplikowanym rynkiem sztuki w Polsce i rozczarowany bezsensownością pracy reportera prasowego, szukałem środków na zakup codziennej porcji parówek z keczupem. Za niewielką pensję zaspokajałem sprzętową ciekawość klientów a później, kiedy w firmie pojawił się profesjonalny skaner i fotograficzny ploter, grzebałem przy fotogramach warszawskich artystów. Powoli odrzucałem profesjonalne ciążoty i zaczęło docierać do mnie, że prawdziwą wolność w tworzeniu, osiągnę tylko wtedy gdy fotografia przestanie być dla mnie zawodem, a stanie się moją miłością i sposobem na życie.

Graflex ładny był - taki amerykański; nie licząc wyimaginowanej, różowej Lajki M9, to chyba najbardziej kolorowy i pozytywnie nastawiony do świata aparat foto jaki kiedykolwiek posiadałem.

Fascynacja coraz większymi formatami, tuptała ku mnie drobnymi krokami. Profesjonalne kamery 4x5 cali typu Linhof czy Horseman odpadały z powodu ceny - musiałem rozejrzeć się za czymś tańszym. Mały obrazek porzuciłem już na dobre, więc nie miałem rozterek z zamianą legendy lat 80. - Olympusa XA, na równie legendarną ikonę fotografii prasowej lat 50.

Nie był to pełnoprawny dorosły model ikonicznego Graflexa, a jego mniejszy braciszek 6x9 cm. Rozkładał się jednak podobnie; co prawda przesuwiał i kłaniał tylko w jedną stronę, ale wystarczyło to do pierwszych eksperymentów z selektywną głębią ostrości. No i najważniejsze - oliwkowa okleina i wiśniowy mieszek doskonale wpisywały się w emploi z lekka przygłodzonego, szalonego, aczkolwiek szczęśliwego artysty fotografa.

— Ty? Co to kurwa jest? — spytał zdziwiony kumpel, z którym zaliczyłem pierwszy artystyczny wypad na falujące morze żółtego rzepaku.

— Aparat, a co? — wzruszyłem ramionami.

— Ale prawdziwy, czy to klocki lego? To czerwone to zupełnie jak z napleta — kolega rzucał szyderą z lekkością Lennego Bruce’a.

— Stara, klasyczna amerykańska firma — próbowałem bronić honoru i powagi mojej baby kamery.

— Ta, klasyczna — podszedł bliżej i dotknął obudowy — Z czego on jest? Z plastiku?

— To chyba bakelit? — nie miałem pojęcia z czego zrobiony jest aparat.

— Moja babka miała telefon z bakelitu, ale to było z 50 lat temu.

— No to się zgadza, on pewnie niewiele od niego młodszy. Mówiłem ci, że to klasyka.

— Pfff... — prychnął lekceważąco.

— Co pfff...?

— To jest klasyka! — wskazał na swoją czarną, pieczołowicie wypolerowaną w newralgicznych punktach do mosiądzu, Lajkę MP. Chodziły słuchy, że zaraz po zakupie, przez pierwszy tydzień rozpracowywał, w których miejscach pocierać bawełnianą ściereczką, żeby osiągnąć wiarygodny look autentycznie spracowanego sprzętu. I było to dekadę przed tym, nim firma wypuściła oficjalną wersję pocieraną przez samego Lennego Kravitz'a.

— Przecież to nówka sztuka — wzruszyłem ramionami — kupiłeś ją miesiąc temu.

— Nic nie rozumiesz, Kresa. Liczy się dziedzictwo i rodowód — łaźnia wzruszenia zakręciła mu się w oku.

— Było sobie pinczera kupić. Miałbyś dziedzictwo i rodowód w jednym — nie mogłem opanować napadu ironii.

— Pierdol się koleś — rzucił w nerwach i wsiadł do auta — Bujaj się do domu PKS-em.

Zupełnie zapomniałem o głębokiej wrażliwości kolegi. Z ponurym zniechęceniem poczułem jak kurz spod kół czarnego BMW omiata mnie i mój kolorowy aparat. Rozejrzałem się wokoło i z przerażeniem zauważyłem, że nie mam szans na jakąkolwiek sensowną podwózkę. Morza rzepaków nie były raczej lokalizowane w okolicach ogólnodostępnego transportu publicznego. Po raz pierwszy przeszedłem wtedy ponad 20 km z buta. Nawet nie przypuszczałem, że będzie to w przyszłości moje ulubione okołofotograficzne zajęcie. Doczłapałem się do jakiejś linii kolejowej i wróciłem do domu.

Tani Graflex zapładniał i prowokował wyobraźnię do eksperymentów a'la Adam Słodowy. Chciałem mieć coś szerszego niż standardowa portretówka, która była w komplecie, więc wygrzebałem gdzieś na starociach zużytego szerokiego Wollensaka. Rzecz nie do pomyślenia w późniejszych czasach gotowych rozwiązań - z braku

oryginalnej płytki obiektywowej wyciąłem z kartonu kawałek kwadratu, zrobiłem dziurę, wkręciłem obiektyw i okleiłem resztę plastrem. Pasowało jak ulał i co najważniejsze nie wybuchło podczas fotografowania. Jako, że marzyło mi się jakieś ultra szerokokątne szkło, kombinowałem dalej. Przy pomocy pojedynczej soczewki, którą dokleiłem do Wollensaka z tyłu czarną taśmą izolacyjną, udało mi się wyprodukować obiektyw o ogniskowej 19mm w przeliczeniu na mały obrazek. Nic, że ostrość na bokach i winietowanie przypominały otworkowe fotogramy - do onirycznych pejzaży pasowało jak ulał. Czułem, że jestem na właściwej drodze, a erupcja czy też twórczy wytrysk moich skrytych namiętności, zaleje i wprowadzi w podziw cały artystyczny świat fotografii polskiej.

— Panie Robercie, widział pan takie cudo? — wypalił pan Leszek na powitanie.

— Co to? Pendrive jakiś czy empetrójka? — zażartowałem bo zaczynały się czasy techniki cyfrowej i gadaliśmy o tym ostatnio.

Pan Leszek otworzył gustowne pudełko i wyciągnął z niego aparat znany chyba wtedy każdemu miłośnikowi filmów szpiegowskich. Używali go wszyscy: James Bond, Max Otto von Stirlitz, a nawet Zuzanna, która jesienią przyklejała mikrofilmy na starej ławce pod kasztanowcem na placu Pigalle.

— Ładny, prawda? Wziąłem właśnie w rozliczeniu od stałego klienta. Może ma pan ochotę przetestować? Zrobić na szybko kilka zdjęć? Jest nawet film w komplecie.

— Chętnie panie Leszku — odpowiedziałem — Przejdę się na bazar przy Hali Banacha. Na pewno coś ustrzelę.

Aparat był tak mały, że praktycznie można było wsadzić go wszędzie: kieszeń butonierki, zauszniak na czapce; lekko wystając mieścił się nawet w kondonierce jeansów.

Pokrętko czasów, pokrętko ostrości - o którą przy ulicznych strzałach nie było potrzeby się kłopotać, i spust migawki - wszystko. Przysłony nie było, bo i po co? Kamera miała niesamowitą funkcję wymuszającą zrobienie zdjęcia: Z powodu specyficznego naciągu migawki i przesuwu filmu, po zamknięciu aparatu traciło się nienaświetloną klatkę. Nie było komfortu niezdecydowanego kadrowania i bezkarnego oglądania świata przez miniaturowy celownik. Zupełnie jak w legendarnych katanach, w których każde wyjęcie miecza z pochwy musiało zakończyć się krwawym ciosem, tutaj każde otwarcie małego Minox'a musiało skutkować zrobieniem zdjęcia. Nie spotkałem się z czymś takim w żadnym innym aparacie.

Załadowałem negatyw i poszedłem na pobliski bazarek. Fotografowało się niesamowicie. Ludzie zupełnie nie zdawali sobie

sprawy, że robię im zdjęcia; myśleli, że pocieram swędzące oko a nie przykładam kamerę do twarzy. O zdjęciach z biodra, z międzypalców - gdzie mieściła się idealnie - nie ma co w ogóle wspominać. Szpiegostwo w czystej postaci!

— Ile pan sobie winszuje za te golarke? — biznesowe propozycje na osiedlowym bazarku handlującym starociami to rzecz codzienna.

— Taką szminkę dla żony to może bym kupił, pan pokaże.

— Na gaz czy na benzynę ta zapalniczka? I dlaczego tak drogo?

— Idź pan z tą harmonijką grać gdzieś indziej, bo mnie dzisiaj głowa boli — reakcje były różne, ale żadna z nich nie kojarzyła się z robieniem zdjęcia.

Oddałem aparat panu Leszkowi i wróciłem do domu wywołać film. Oczywiście nie miałem tak małego koreksu, więc wyciągnąłem sznurówkę z kasetki i rozciągając ją palcami, majtałem nią po ciemku w kuwecie. Rozmiar klatki nie był duży: 8x11 mm. Późniejsze kompakty cyfrowe, przy podobnych rozmiarach dawały naprawdę zadawalającą jakość zdjęć. W tym przypadku, obraz jaki zobaczyłem pod powiększalnikiem kiedy próbowałem zrobić odbitkę był... hmm... ekmm... - wiem, że zabrzmiało to strasznie wulgarnie, ale idealnie oddaje emocje jakie wtedy poczułem: Jak wspominałem wcześniej, kamerkę naprawdę dało się wsadzić wszędzie - na przykład w dupę, bo chyba faktycznie, w czasach gdy na rynek zaczęły wchodzić aparaty w komórkach, tylko do tego się już wtedy nadawała. Wypieprzyłem negatyw do kosza i raz na zawsze zakończyłem etap fascynacji miniaturyzacją.

MINOLTA DIMAGE X

2003

W świecie warszawskich fotografów zaczęły pojawiać się pierwsze jaskółki techniki cyfrowej. Nie były to już nowinki z targów czy też nowatorskie eksperymenty co odważniejszych i ciekawszych kolegów, a nadszedł czas codziennej praktyki.

— Czołem mistrzu! Co tam kisisz pod pachą? — zagadałem z ciekawością do kumpla z Wyborczej, spotkanego przez przypadek na Warsaw Summer Jazz Days w Sali Kongresowej.

— A dali nam takie cuda i kazali tym robić zdjęcia — odpowiedział kolega, pokazując mi nowiutkiego, błyszczącego Canoną serii G.

— No to profeska pełną gębą — pokiwałem głową.

— O stary, to zupełnie zmienia sposób pracy! — ciągnął podekscytowany — Nie kłopotzę się o materiał, robię ile chcę; jak mi zbraknie miejsca kasuję kiepskie kadry i jadę dalej. Widzę od razu czy mi coś dygło, czy światło dobre; a jak skończę, zrzucam na szybko z karty i ładuję na serwer. Żadnego pieprzenia się w wołanie, skanowanie itd.

— Zazdroszczę, szczerze zazdroszczę — nie mogłem wyjść z podziwu.

— I jakie to małe. Można mieć stale przy sobie, torby nie trzeba dźwigać — zachwytem nie było końca.

— To na co ci więc ten kloc? — wskazałem ręką na wielkiego EOSa z 70-200, który zwisał mu z drugiego ramienia.

— Do szybkiej reporterki się ta nowość nie nadaje. Jak wcisnę spust, to po sekundzie zamiast biustu i uśmiechu tancerki mam jej tyłek na zdjęciu. Ale cóż, takie życie — westchnął — Trzeba przecierać szlaki. Za pięć lat, celuloid będą wachać tylko pasjonaci.

Chciałem bronić szlachetności techniki analogowej, ale światła przygasły i konferansjer zaczął zapowiadać gwiazdę wieczoru.

— Dobra, lecę pracować — rzucił kolega chwytając EOSa w ręce.

Poszedłem na balkon i zacząłem przyglądać się jak John Zorn woła ochronę i każe wypierdalać fotoreporterom spod sceny. “To jednak ciężki kawałek chleba”, pomyślałem, “Dobrze, że porzuciłem to na dobre i zdecydowałem się zostać artystą”.

Oczywiście artyzm artyzmem, ale trzeba trzymać rękę na pulsie i nie zgubić się w ciemnym lesie, pełnym błakających po omacku leśnych dziadków. W wyuczonym odruchu Pawłowa, w najbliższą niedzielę poszedłem do Stodoły.

Tak, wiem teraz, że wbrew temu co mówili ówcześni specjaliści d/s sprzedaży i marketingu, 2 miliony pixeli nie jest to jakość dorównująca klasycznemu neagtywowi; wiem, że w 2003 roku było kilka nowocześniejszych aparatów mających większą rozdzielczość; wiem to wszystko i być może wiedziałem to już wtedy, ale dizajn i płaskość małej Minolty powalił moje zmysły na kolana. Wbrew karcącemu spojrzeniu pana Leszka, kupiłem sobie nową coolerską zabawkę i mimo, że szybko okazało się, iż słowa marketingowców o wystarczającej rozdzielczości to zwykłe pierdolenie, zacząłem jak szalony obcykiwać świat dookoła: Zdjęcia z poziomu oka, spod biodra, spod pachy; setki jak nie tysiące selfików; artystyczne makro paznokci, pępka, brodawek i innych fragmentów ciała o jakich nie będę publicznie wspominał; nie wpadłem tylko na pomysł, że można fotografować żarcie przed konsumpcją - zupełnie nie wiem dlaczego.

Obfotografowywałem kompulsywnie wszystko co było w zasięgu mojego wzroku i bogu dziękuję, że zewnętrzny dysk na którym to lądowały te wytwory, dosyć szybko odmówił posłuszeństwa i odszedł do krainy utraconych backupów. Zostało kilka wyselekcjonowanych obrazków wielkości znaczka pocztowego, i filmów - bo aparat kręcił też klipy o rozdzielczości 320x240, nie dłuższe niż 35 sekund.

FUJIFILM GW690 III

2003

— Panie Robercie, robota jest! — oznajmił pan Leszek na powitanie — Bierze pan?

— Fotograficzna? No nie wiem panie Leszku. Przecież prawdziwy artysta nie powinien się komercjalizować. To może szkodzić mu na wizerunek — zacząłem myśleć na głos.

Pan Leszek popatrzył na mnie świdrującym spojrzeniem. Robił to często, kiedy nie wiedział czy żartuję, czy mówię poważnie. Prawdę mówiąc sam do końca nie wiedziałem która opcja robiła ze mnie większego idiotę.

— To może kawki? Pan pomyśli i zdecyduje — wycofał się na bezpieczną pozycję na zapleczu.

— Trudna ta robota? — spytałem pokornie kiedy pojawił się z powrotem — Nie wiem czy podołam.

— Prosta i szybka. Weźmie pan aparat z rolką filmu — położył na ladzie dalmierzowe Fuji — I pojedzie pan do Nadarżyna zrobić jedną grupową fotę. Cyknie pan osiem klatek, zwinie film i odda mojemu koledze. Prawda, że proste?

— Jak słońce panie Leszku, jak słońce.

— A przy okazji, przetrzyma pan sobie aparat do końca tygodnia i sfotografuje coś dla siebie — dodał nie komentując wzmianki o prostocie słońca.

Nazajutrz, z samego rana zapakowałem się do swojego białego jak śnieg bolidu i podjechałem do podwarszawskiego miasteczka.

— O świetnie, że pan jest — ucieszył się na mój widok kierownik imprezy — Zaraz robimy zdjęcie. Wóz strażacki już czeka.

— Co czeka? — zaniepokoiłem się.

— Wóz strażacki. Podniesiemy pana na górę i cyknie pan fotkę — człowiek nie zauważał zdenerwowania młodego fotografa.

Przyznaję, że odruchy i rutynę zawodowca musiałem mieć na najwyższym poziomie, bo jedyne na czym mogłem się wtedy skupić będąc powoli unoszonym nad ziemią, to żeby nie pobrudzić spodni od wewnątrz. Cieszyłem się, że pogoda była słoneczna, dzięki czemu mogłem fotografować przy krótkich czasach i moje rozdygotane ręce nie miały wpływu na ostrość zdjęć. Przestrzeliłem rolkę, zwinąłem, i zostawiłem ją organizatorowi. Na lekko miękkich nogach wgramoliłem się do samochodu i wróciłem do domu. Łatwy to był zarobek - nie przeczę - bardzo jednak wyczerpujący.

Dzień później, pojechałem na zlot motoryzacyjny do Modlina i ustrzeliłem zdjęcie psa przy rozklekotanym maluchu.

— To jest ta Lajka o której wciąż trąbisz? — zbrechtiał się kumpel na widok aparatu — Jakaś taka spuchnięta bardzo.

— Jaka Lajka, co ty gadasz stary? — zachnąłem się — Ja już jestem artystą, wchodzę tylko w większe formaty. Nie interesują mnie amatorskie rozmiary.

Faktycznie - Fuji było przerośniętą wersją eMki. Poza ogólnym, bardziej futurystycznym kształtem i wielkością, różniło się od niej jedynie pokręteł czasów, które umiejscowione było nie na korpusie, ale jak to w większości migawek centralnych - na obiektywie. Ciekawostką była wbudowana poziomica, dodatkowy, blokowany spust na przedzie i licznik przebiegu: na spodzie aparatu dało się podejrzeć ile strzałów ma już za sobą. Zastanawiał dziwny przełącznik długości filmu z opcją czterech ekspozycji. O 220-kach wiedziałem, ale czy zdarzały się w Polsce materiały krótsze o połowę od standardowych 120-ek?

Wieczorem wsadziłem do środka slajd Provii. Zmontowałem na tylnym siedzeniu auta subtelną konstrukcję ze słoniowatego statywu Benbo i przymocowałem aparat na jej szczycie. Wziąłem wężyk w dłoń i pędząc na nowowytbudowanym Moście Siekierkowskim 100 km/h, próbowałem uchwycić przejście mojego Mercedesa w nadprzestrzeń.

MAMIYA RUBY 2.8

2004

Filmy o szerokości sześciu centymetrów stały się moją codziennością. Nie tykałem niczego mniejszego od średniego formatu, a na mały obrazek patrzyłem z niechęcią i lekką protekcjonalnością; powiedzmy sobie szczerze - jaki poważny twórca bawi się amatorskimi zabawkami?

Hasselblad i Graflex sprawdzały się znakomicie, ale zajmowały w torbie sporo miejsca i kilogramów; potrzebowałem czegoś mniejszego i lżejszego. Przez całkowity przypadek natrafiłem na giełdzie na średnioformatową, dalmierzową Mamię z lat 50-tych, z szerokokątnym i w miarę jasnym obiektywem 48/2.8. Plamka ostrości zjeżdżała się poprawnie, czasy jak w klasycznych, centralnych migawkach nastawiało się na obiektywie; jedynym minusem był zużyty światłomierz selenowy. Cena była za to kusząca więc nie zastanawiałem się wiele i kupiłem.

Od jakiegoś czasu miałem już w domu stałe łącze do internetu. Nie musiałem jak kiedyś, liczyć złotych na rachunku i trzymać w ręku stopera przy wydzwanianiu pod 0202122. Zamiast spędzać czas na ulicy i rozwijać nowe projekty, popijałem kawę i spędzałem godziny na przeglądaniu fotograficznych forów. Najpopularniejsze było chyba plfoto.pl; pełne zaawansowanych fotografików jak i początkujących amatorów, których nazwiska po latach zaczęły pojawiać się w poważnych opracowaniach fotograficznych. Nie nadążałem z przeglądaniem nowości wpadających na stronę; palce bolały od wpisywania komentarzy - pozytywnych jak i konstruktywnej krytyki, bo przecież takie były założenia portalu: uczyć się i rozwijać własne możliwości twórcze. "Nieostre w PG", "przyciąłbym lekko z góry", "za długi obiektyw do streeta", "przewalone", "niedoświetlone" i pies go wie co tam jeszcze - służyłem każdemu swoją dobrą radą i zawodowym doświadczeniem. Spełniałem się; w końcu poczułem swoje powołanie i zacząłem poważnie

rozważać czy nie poświęcić dalszego fotograficznego życia na edukację młodszych kolegów.

Jednak z tygodnia na tydzień, moje poczucie wyjątkowego twórcy zaczęło przygasać. Setki zdjęć przelatujących przed moimi oczami, mówiły mi, że nie jestem nikim nadzwyczajnym, a moja czysta artystyczna droga zaczęła powoli zarastać chwastami niechcianej konkurencji. Zwiędłbym i uschnął, gdyby na na mojej ścieżce nie pojawiło się f2.art.pl, gdzie większą wagę niż do zdjęć, przywiązywano do sztuki wykwintnej konwersacji i ciętej riposty. Podobały mi się cotygodniowe spotkania na żywo, podczas których do słownych argumentów można było dołączyć mniej werbalne rozwiązania. Niestety f2 zniknęło tak nagle jak się pojawiło. Do dzisiaj zapewne nikt o nim już nie pamięta.

pl.rec.foto i bliźniacze, mniej szlachetne a bardziej nowoczesne pl.rec.foto.cyfrowa, były ostatnimi ostojami wolności w fotograficznym internecie. Nie było na nich żadnych adminów, moderatorów czy innych jednostek decydujących co jest właściwe i co można a czego nie wypada. Jedynym narzędziem na krnąbrnych i męczących członków było wrzucenie ich na osobistą listę osób, które nie pojawiały się w czytniku zniechęconego użytkownika. Każdy sam decydował z kim ma ochotę i przyjemność, a kto doprowadza go do szewskiej furii. Był to chyba jeden z lepszych wynalazków internetu, jakże różny od dzisiejszej masowej kultury wykluczenia.

Jedną z ich najlepszych cech, podobnie jak bardziej forumowego flickra, były spotkania i spontanicznie organizowane plenery wszelkiej maści. Chyba nigdy nie spotkałem się z takim masowym ruszeniem miłośników fotografii jak wtedy.

No i najważniejsze - poziom wiedzy członków fotograficznego usenetu powalał i stawiał grzecznie w szeregu każdego, komu wydawało się, że wie coś na temat fotografii. Każdy błąd i każda nieścisłość zostawały obnażane w mgnieniu oka, a autora czekała wiwisekcja przeprowadzana gwałtownie i bez znieczulenia. Do dzisiaj czuję na języku smak wstydu, żenady i porażki, gdy przypominę sobie jak w prosty,

profesjonalny sposób koleżeństwo wytłumaczyło mi, że moja nowa Mamiya Ruby nie jest żadną szlachetną, klasyczną kamerą średnioformatową, a zwyczajnym małoobrazkowym kompaktem dla amatorów.

OLYMPUS PEN EED

2004

Mała iskierka przekonania, że moje fotografie coś znaczą i mogą wzbudzić zainteresowanie u innych, tliła się we mnie jeszcze na tyle, że pewnego czerwcowego dnia, zapakowałem żonę do samochodu i pod pretekstem miłego spędzenia czasu nad szwedzkimi jeziorami, wyruszyłem do fabryki Hasselblada w Goteborgu.

Wprawa była długa i kręta; 600 km lawirowania między polskimi kierowcami, pełnymi artystycznego stylu jazdy i żądy przygód, wyczerpywało zmysły do ostatniej granicy wytrzymałości umysłu. Po przyjeździe do Świnoujścia byłem na tyle zmęczony, że zatrzasnąłem kłódkę hotelowego garażu nie zauważając, że kluczyki do niej zostały w aucie. Tylko dzięki przeorności recepcjonisty zaopatrzonego w dyżurną piłkę do metalu, udało się nam następnego dnia dotrzeć o czasie na poranny prom.

Dzień na morzu ubarwiany tańcami i muzyką, minął szybko i przyjemnie; pod wieczór zameldowaliśmy się w hotelu w Malmö i nazajutrz ruszyliśmy w stronę dzikich odmętów szwedzkiego pojezierza

— Ale na pewno zostawiłeś aparaty w domu? — upewniła się żona.

— Oczywiście kochanie, przecież wiesz, że to czas tylko dla ciebie. Będziemy tropić bobry, nęcić myszy polne i dosiadać dzikie łosie — zażartowałem czule.

Problem polegał na tym, że zniechęcona ciągłym przytrzymywaniem sprzętu małżonka, miała już szczerze dosyć mojej pogoni za artystycznymi kadrami. Rola asystentki fotografa nie rajcowała jej zupełnie.

— Na pewno? Bo nie mam zamiaru targać za tobą żadnych kłopotów — nie dowierzała moim zapewnieniom.

— Słowo harcerza! — przysięgłem krzyżując palce pod kierownicą.

Zapowiadał się ciężki wyjazd; konfrontacja miłości do małżonki z miłością do fotografii robiła mi w głowie emocjonalną burzę większą niż sztorm, który przeżywa alkoholik z 50-letnim doświadczeniem i

marskością wątroby nachylony nad pełnym, oszronionym kieliszkiem wódki. “Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”, pomyślałem i postanowiłem, że rozegram sprawę tak, by owca i wilk pozostały w dobrych, wzajemnych stosunkach. Dzień przed podróżą zszedłem potajemnie do garażu i w miejsce koła zapasowego upchałem cały komplet Hasselbladów.

Gnaliśmy czystą i gładką szwedzką autostradą a ja modliłem się żeby tylko nie złapać gumy.

— Dziwnie tu ludzie jeżdżą, nie? — próbowałem rozładować atmosferę — Jedziemy 80 na godzinę a te Maserati wlecze się za nami już od jakich 20 kilometrów.

Po kilku godzinach spokojnej jazdy, dotarliśmy w końcu do wiejskiej, zagubionej w głuszy chatki. Rozpakowaliśmy graty i zjedliśmy późny obiad.

— Starczy mi na dzisiaj. Idę spać — powiedziała moja druga połówka — Kładziesz się?

— Idź. Ja sobie jeszcze posiedzę. Popatrzę w telewizor.

Kiedy żona położyła się do łóżka, cichaczem wyszedłem z domu. Otworzyłem bagażnik, wyciągnąłem torbę ze sprzętem i skontrolowałem czy nie zaszkodziła mu dosyć długa podróż. Przewiesiłem ją przez ramię i poszedłem na krótki, nocny plener. Po powrocie porozkładałem aparat i obiektywy we wszystkich możliwych zakamarkach wokoło kierowcy. Wiem, że ryzyko było duże ale musiałem być gotowy na wszelkie niespodziewane kadry.

Nazajutrz po śniadaniu ruszyliśmy na objazd okolicy: Podziwialiśmy dziewicze lasy, czyste, pięknie utrzymane gospodarstwa i promienie słońca odbijające się od gładkich powierzchni jezior przeciskające się między drzewami. Brakowało mi tylko dzięcieliny pały, ale doskonale wiedziałem, że nie można mieć wszystkiego.

— O patrz, kurde, łoś! — krzyknęła nagle żona. Dałem po hamulcach i zatrzymałem się na poboczu.

— Ranny? Ryczy z bólu? Myślisz, że prawdziwy? — spytałem.

— No przecież się rusza. Idzie w naszą stronę — kobieta jak zahipnotyzowana, wpatrzona w zbliżające się w naszą stronę zwierzę, zupełnie nie zwracała uwagi co dzieje się po jej lewej stronie.

Postanowiłem zaryzykować - wyciągnąłem aparat spod fotela, nastawiłem ostrość i szybkim ruchem zrobiłem zdjęcie, chowając jednocześnie sprzęt z powrotem pod siedzenie. Widziałem jak jej kark zeszytywniał na dźwięk wyzwalanej migawki. Znieruchomiała i powoli odwróciła się w moim kierunku.

— Co to było?

— Co niby?

— To plaśnięcie — zaczęła wpatrywać się we mnie świdrująco.

— Nie wiem, może jakiś ptak, albo coś innego z dzikiej przyrody. Przecież w głuszy jesteśmy — wzruszyłem ramionami.

Poświdrowała mnie chwilę i wróciła do obserwacji dzikiego łosia.

“Jedziesz po bandzie”, pomyślałem ocierając pot z czoła, “Niewiele brakowało. Muszę uważać i skupić się na selekcji kadru. Szkoda ryzykować dla jakiejś głupiej krowy”.

Pod wieczór wróciliśmy do chatki.

— Idę na dwór. Zapalę sobie przed snem — powiedziałem po kolacji.

— Dobra. Tylko nie siedź długo jak wczoraj. Jutro z samego rana chcę szukać bobrów — powiedziała przysypiając.

Wyjąłem z walizki dresowe spodnie i poszedłem do auta. Zacząłem kombinować jak ukryć aparat żeby był jak najmniej zauważalny. W końcu przy pomocy sprzączek od paska i kawałka sznurka, udało mi się zrobić w miarę wytrzymałe, szybkie mocowanie przy lewym biodrze. Co prawda sprzęt wypychał dresy, ale postanowiłem, że nie będę odwracał się tą stroną do małżonki.

— Po co te gacie założyłeś? — spytała nad ranem ze zdziwieniem w oczach.

— Niewygodnie mi w tych obcisłych dzinsach — próbowałem ukryć zdenerwowanie.

— No właśnie. Bęben ci rośnie - byś ograniczył chipsy i czekoladki.

— To nie czekoladki. To miłość do ciebie mnie tuczy — rzuciłem pierwszą lepszą obgłaskującą głupotę jaka przyszła mi do głowy. Miałem nadzieję, że brzmiałem wiarygodnie.

— Co wy mężczyźni możecie wiedzieć o miłości? Tyle co żaby — wzruszyła ramionami.

Ruszyliśmy w stronę zachodniego wybrzeża bezskutecznie wypatrując bobrów. Brak tych szlachetnych zwierząt, z minuty na minutę wprowadzał żonę w coraz większą depresję.

— Kurde. A może śpią? — próbowałem znaleźć jakieś słowa pocieszenia.

— W czerwcu? Zwierzęta śpią w zimie, kiedy jest zimno.

Pokrążyliśmy chwilę, niestety nadal bez konkretnych rezultatów.

— Nie martw się. Wrócimy do Polski, może tam się uda. Słyszałem, że na Kępie Tarchomińskiej jest ich dużo.

— Poważnie?

— No. Wybierzemy się którejś niedzieli i będziemy tropić. To co jedziemy dalej?

— To jedź — powiedziała ze smutkiem.

Na szczęście z kilometra na kilometr humor i krajobrazy zaczęły się poprawiać; dotarliśmy do urokliwych nadmorskich okolic, pełnych małych miasteczek i małych, kolorowych domków położonych na skalistych brzegach.

Falujące morze, pokrzykiwanie mew, szum wody rozbijającej się o skały, wszystko nastrajało poetycko i zapładniało moją artystyczną duszę. Próbowałem niepostrzeżenie przykadrować z biodra.

— Co tam masz? Co tam chowasz? — podejrzenia małżonki stawały się coraz bardziej realne.

— Nic, kamień taki dziwny znalazłem — zrobiłem taneczny skręt jakiego nie powstydziliby się najlepsza rosyjska baletnica i delikatnymi ruchami zacząłem wciskać aparat z powrotem w gacie. Podniosłem pierwszy lepszy kamulec leżący w zasięgu mojej drugiej ręki — O, zobacz jaki ładny. To pewnie narzutowy, z moreny.

— Dziwnie się zachowujesz ostatnio.

— To pewnie przez te przestrzenie i dzikość. Porażają prawda?

— Bardzo — wzruszyła ramionami — Chodź, bo zimno się robi. Za bardzo wieje.

W drodze powrotnej wstąpiliśmy do muzeum Volvo i podziwialiśmy atrakcje Trollhattan. Pod pretekstem pójścia w krzaki na siku, w miarę spokojnie udało mi się zrobić jeszcze dwa zdjęcie. Nie próbowałem więcej. Cała zabawa zaczynała robić się zbyt niebezpieczna. Połowę nocy przeleżałem bezsennie w łóżku planując jak rozegrać akcję następnego dnia.

— Wiesz co? — zagadałem z rana — A może podjedziemy dzisiaj do Goteborga i pozwiedzamy miasto?

— No nie wiem. Mam już dosyć wycieczek do miast.

— Ale skoro już tu jesteśmy, to warto zerknąć chociaż na chwilę. Pooglądamy zabytki, może wstąpimy do jakiegoś centrum handlowego. Nie chcesz potuptać sobie po sklepach?

— Dobrze, ale na krótko — w jej oczach wciąż tliła się chęć obcowania z dziką przyrodą.

Podjechaliśmy do miasta. Widziałem jak przez całą drogę zerka przez okno i z tęsknotą wypatruje kawałka niedźwiedzia albo chociażby świstaka czy zająca.

— Dobra. To ty idź do środka a ja znajdę miejsce, zaparkuję i zadzwonię do ciebie jak skończę — powiedziałem zatrzymując się przed wejściem do kompleksu — I nie spiesz się, pobuszuj komfortowo.

Natychmiast po trzaśnięciu drzwi, co sił pogałem do fabryki Hasselblada. Trasę miałem wyuczoną do perfekcji, bo od miesiąca trenowałem na mapach wszystkie warianty dojazdu. Z piskiem opon zatrzymałem się pod siedzibą firmy i chwyciwszy w rękę pudełko z odbitkami ruszyłem do środka.

Oprócz produkcji genialnych aparatów Szwedzi wydawali własny miesięcznik, w którym publikowali zdjęcia autorstwa użytkowników swojego sprzętu. Pomyślałem, że publikacja w tak poważnym i znanym na całym świecie periodyku mogłaby znacząco wpłynąć na moją karierę.

— Guten tag, ja być młody artysta of the Polska i ja przywieźć kilka swoje fotografie do drukować w wasz ekskluzywny magazyn — wypaliłem na starcie do młodej recepcjonistki.

— Bardzo mi przyjemnie — odpowiedziała — Czy był pan umówiony?

— Nie był. Ale przyjechał ja z the Polska i mieć ze sobą moja kawałek sztuki — przyznaję, że mój angielski pozostawiał wiele do życzenia, ale nie dbałem o takie drobnostki. Wiedziałem, że zdjęcia powiedzą za mnie wszystko.

— Rozumiem, chwileczkę, proszę zaczekać — jej angielski był perfekcyjny. Chwyciła za słuchawkę i porozmawiała z kimś chwilę po szwedzku — Bardzo mi przykro, niestety redaktor naczelny jest obecnie na urlopie, ale jeśli pan może, proszę zostawić portfolio. Przejrzy je zaraz po powrocie i na pewno coś wydrukujemy w naszym magazynie.

No cóż. Spodziewałem się innego przyjęcia. Oczyma wyobraźni widziałem jak razem z edytorem przeglądamy moje prace i wybieramy jakieś zgrabne story. Zastanawiałem się przez chwilę czy nie naciskać bardziej - przecież zamiast samego naczelnego mógłbym pogadać z jego zastępcą, albo zastępcą zastępcy - niestety wyobraźnia odezwała się ponownie i wyświetliła mi obraz samotnej małżonki blakącej się po sklepach.

— Dobrze. To ja zostawić i prosić o kontakt i gazeta autorska — zacząłem gryzmolić na kawałku papieru swoje dane kontaktowe.

— Oczywiście. Z przyjemnością. Odezwiemy się do pana zaraz po pierwszym spotkaniu redaktorskim. Proszę cierpliwie czekać — piękna blond recepcjonistka o karnacji kawy z mlekiem obdarzyła mnie swoim najmielszym uśmiechem.

— Dobrze. Dziękować. Guten abend — dorzuciłem na pożegnanie po szwedzku i wróciłem do auta. Gnając co tchu wpadłem do centrum handlowego i zlokalizowałem żonę wpatrzoną w witrynę sklepu zoologicznego.

— Zobacz jakie śmieszne zwierzaki — wskazała na klatkę.

— Fakt. Dziwne te króliki.

— To nie króliki tylko szynszyle.

— No widzisz, czyli masz w końcu jakiś kontakt z dziką przyrodą.

— Śmieszne zwierzaki — powtórzyła — Co tak długo?

— Nie było miejsca. Strasznie zapchane parkingi tutaj mają.

Zaczęliśmy chodzić po centrum. Kątem oka zauważyłem sklep fotograficzny.

— Patrz Ikea! — krzyknąłem — Może wejdziemy i popatrzymy czy mają inny asortyment niż u nas?

— W zasadzie czemu nie? Planowałam kupić sobie jakąś nową szafę do salonu, może znajdę coś przy okazji — cios ironii trafił mnie prosto w pierś.

— OK. To ty idź a ja zaraz do ciebie dołączę. Pójdę tylko na siku — zostawiłem ją przed wejściem i nie czekając na odpowiedź zniknąłem za rogiem. Kiedy upewniłem się, że weszła do środka, pognałem do sklepu foto.

Asortyment był w nim zdecydowanie większy niż u pana Leszka, Pawła i Weyna razem wziętych. Miałem wrażenie, że wszedłem do fotograficznego nieba. Nie było to niebo większe niż giełda w Stodole, ale zaopatrzone o wiele lepiej. Błąkałem wzrokiem po półkach i doznawałem niemierzalnego poczucia rozkoszy.

— Godmorgon hur kan jag hjälpa dig? — odezwał się blond Szwed o karnacji kawy z mlekiem i ogólnym wyglądem nordyckiego boga.

— Auf wiedersehen, ja tylko patrzeć i podziwić — przywitałem się po szwedzku i dokończyłem łamaną angielszczyzną.

— Oczywiście. Proszę się rozejrzeć. Jakby co, jestem do dyspozycji — odpowiedział Thor.

Oglądałem i chłonałem. Oczywiście najwięcej było Hasselbladów - prawie wszystkie modele i kolory. Lajek też nie brakowało a o zwyczajnych Canonach, Nikonach i Minoltach można nie wspominać - ich ilość sugerowała, że sprzedają je na wagę.

— Dzień dobry, sir — tym razem obok mnie pojawił się drugi sprzedawca - nadal kawowo-mleczny ale z ogólnego wyglądu przypominał boga-ojca Odyna.

— Auf wiedersehen — odpowiedziałem grzecznie. Wiadomo, że każdy tubylec lubi kiedy przyjezdni próbują mówić w jego języku.

— Szuka pan czegoś konkretnego, sir? — spytał usłużnie.

— Nie, ja oglądać tylko.

— Oczywiście, sir! Mam coś wyjątkowego, sir! — wyciągnął zza pleców mały srebrno-czarny aparat.

— Wyjątkowego?

— Tak jest, sir! Olympus PEN EED - wspaniały sprzęt. No i świetnie do pana pasuje! — zaczął koncert zachwytów.

— Nie... To być amator. Ja być artysta zawodny, nie dla mnie — wyczułem, że próbuje wcisnąć mi jakiś szmelc.

— Ależ skąd, sir! — zza wielkiego statywu wyszedł z powrotem Thor — To świetny sprzęt, poza tym jak na panu leży wuohh!

— Tak jest, sir! Wygląda pan bosko, hooo! — dołączył Odyn.

— Każda kobieta, każda modelka będzie pańska, rozumie pan — pofalował brwiami Thor — Whooo!

— Idelanie pasuje, sir! Boska z was para, whooo! Musi pan kupić, whoo — zaczęli pohukiwać dziwnie, pokazując jeszcze dziwniejsze, niezrozumiałe dla mnie gesty. Z lekka zaniepokojony osobliwą obsługą klienta zacząłem wycofywać się w stronę wyjścia.

— I cena okazjna, sir! Jak za darmo. Whooo!

— Pasuje pasuje, sir! Proszę popatrzeć, whooo!

Drżącą ręką wymacałem klamkę od drzwi. Odwróciłem się gwałtownie i wybiegłem na zewnątrz.

— Co tak długo? Nie znam nikogo kto tak długo robi siku — powiedziała żona, kiedy wróciłem do Ikei — Coś taki blady? Stało się coś?

— Nie, nic. Zjemy obiad? Może porównamy tutejsze klopsiki do tych z Janek?

Wcinając klopsy, próbowałem ogarnąć przeogromną różnicę w marketingu i sposobie sprzedaży w zależności od kraju.

Zjedliśmy i wyszliśmy na miasto. Pospacerowaliśmy. W końcu z minuty na minutę moje rozdygotanie minęło na tyle, że zacząłem zwracać uwagę na kadry pojawiające się przed moimi oczami. Co chwila walczyłem z pragnieniem zrobienia zdjęcia. Chwytałem momenty spojrzeniem, lecz bałem się wyciągnąć aparat z gaci. Nie chciałem zranić

uczuć małżonki i wyjść na pozbawionego honoru chłystka. Przecież obiecałem...

W końcu nie wytrzymałem - feeria refleksów odbitych od powierzchni wody i tańczących na omszałych kadłubach rybackich łodzi zafascynowała mnie na tyle, że postanowiłem zaryzykować.

— Widzisz tam? Czy to nie jest przypadkiem niedźwiedź? — starym strategicznym sposobem zacząłem odwracać uwagę mojej towarzyszki, wskazując palcem w drugą stronę.

— Gdzie?

— Tam, za drzewem. Patrz uważnie, schował się, ale chyba zaraz wyjdzie.

Kiedy małżonka zaczęła wypatrywać misia, wyciągnąłem Hassela z dresów i zrobiłem zdjęcie. Niestety nim zdążyłem go schować, odwróciła się z powrotem.

— Czy to jest aparat fotograficzny? — zmarszczyła groźnie brwi.

— No tak — odpowiedziałem, czując że zaraz będzie burza.

— I co on tu robi?

— Nie mam pojęcia kochanie — wiedziałem już jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji — Leżał na pomoście.

— Jak to leżał? Tak sobie sam leżał?

— Oczywiście kochanie. Jesteśmy w Szwecji. Tutaj Hasselblady leżą na każdym rogu ulicy. Przecież wiesz, że to bogaty kraj — rzeźbiłem na całego — Już go odkładam.

— No dobrze, skoro znalazłeś, to sobie go weź - szkoda żeby się zmarnował — zdziwiłem się, że łyknęła bajerę, konfudując się z lekka co będzie gdy zauważy że nie mam dwóch aparatów.

— Nie, nie... Wiesz - może to jednak nie tak. Przecież gdyby Hassele leżały tutaj na ulicy to cudzoziemcy zamiast kupować je u siebie, przyjeżdżali by tu na hasselobranie — wyobraźnia pracowała mi na najwyższych obrotach.

— No to co tu robi ten aparat? — powtórzyła pytanie.

— Wiem! Wiem kochanie, wiem! Pewnie jakiś fotograf zrobił sobie przerwę na obiad. Nie chciało mu się targać sprzętu ze sobą, więc zostawił go na miejscu do czasu aż wróci z pełnym brzuchem. Przecież wiesz, że

Szwecja to bardzo bezpieczny i uczciwy kraj — grzałem mózg do granic wytrzymałości czerepu — Zostawmy go tutaj i nie psujmy człowiekowi roboty.

Popatrzyła na mnie zatroskanym spojrzeniem, zastanawiając się zapewne czy nie dostałem udaru słonecznego.

— O zobacz, znowu ten misiek wyszedł — wskazałem za jej plecy. Kiedy odwróciła się w stronę drzew skitrałem Hassela w gacie — Chodź, podejźmy bliżej i zobaczymy.

Objąłem ją ramieniem i odciągnąłem od feralnej miejscówki. Pokręciliśmy się przez chwilę i po bezowocnych poszukiwaniach niedźwiedzia wróciliśmy do chaty.

Wieczorem schowałem sprzęt do bagażnika. Wystarczy mi tych wrażeń na jeden wyjazd. Resztę urlopu spędziliśmy na upajaniu się dzikością przyrody i majestatycznym pięknem okolic.

Droga powrotna minęła spokojnie i komfortowo. Nocny rejs promem skrócił ją o jeden nocleg. Po szybkim śniadaniu w przydrożnej kafejce za Świnoujściem, mierząc się z realiami polskich dróg, pognaliśmy w stronę domu.

— Ale zdjęcie łosia to mi wydrukuj — odezwała się niespodziewanie małżonka kiedy dojeżdżaliśmy do Warszawy.

— Jakie zdjęcie? — wyczuwałem podstęp.

— Już sobie daruj, bo konspirator z ciebie jak z koziej dupy trąba.

— Było widać? — poddałem się.

— Nie, w ogóle. Takiego breakdance'u i koncertu wymijających odpowiedzi to jeszcze nigdy w życiu nie dałeś. Poza tym widziałam jak przed wyjazdem wynosisz aparat do samochodu.

— No to dlaczego od razu nie powiedziałas?

— A taka, tam - dodatkowa rozrywka na wczasach. Nie mogłam sobie odmówić — zaśmiała się a ja pomyślałem, że nigdy nie doszedłbym tam gdzie jestem, gdyby nie wspierająca mnie w moich dążeniach żona.

Kilka dni po powrocie zrobiłem obchód ochockich komisów.

— O cześć Robert — rzucił na mój widok Wayne. Lubilem kiedy z angielskim akcentem wymawiał moje imię, bo brzmiało w jego ustach nadzwyczaj szlachetnie — Zobacz co ci znalazłem.

— Co takiego? — sięgnąłem wzrokiem w stronę stołu i poczułem dziwne zimne mrowienie.

— Zobacz jaki ładny Olympus — podał mi aparat do ręki. Uczucie deja vu walnęło mnie w głowę z siłą kowalskiego młota — Pasuje do ciebie.

— Do niczego mi nie potrzebny Wayne i do niczego mi nie pasuje. Nie używam amatorskich sprzętów a poza tym splukałem się podczas ostatnich wakacji, nie mam kasy — powiedziałem wolno i wyraźnie.

— To nic. Taki mały prezent od firmy. Jak nie chcesz nim fotografować to będziesz miał zgrabny przycisk do papieru na biurko — Wayne trzymał kamerę w wyciągniętej ręce i widać było, że ewentualna odmowa może obrazić go do końca życia a na pewno wprowadzi pomiędzy nas niezręczną sytuację, z której nie miałem ochoty się tłumaczyć.

— Dzięki stary — schyliłem głowę i wrzuciłem aparat do torby. Po powrocie do domu schowałem go do najgłębszej czeluści dolnej szuflady w szafie na przedpokoju.

Pół roku później listonosz przyniósł przesyłkę. Zerknąłem na adres zwrotny i ucieszyłem się, że naczelny wysłał mi autorski egzemplarz hasselbladowego magazynu. Drżącymi rękoma rozpakowałem paczkę i ze smutkiem zauważyłem, że w środku jest pudełko ze zdjęciami, które zostawiłem w Goteborgu. Sprawdziłem kilka razy, czy nie dołączyli jakiegoś listu albo czy magazyn nie zapodział się między fotografiami, ale brutalna proza życia pozostała niewzruszona - wszystko dawało mi znaki, że jako artysta nie osiągnę ani krajowego ani międzynarodowego sukcesu. Pozostała jeszcze tylko jedna możliwość. Ostatnia deska ratunku, której musiałem chwycić się, nim utonę w bezkresnym i bezdennym oceanie zapomnienia.

TOYO 810G

2004

— O ja pierdolę, jakie to ciężkie! — zasapał kumpel wycierając kawałkiem rękawa pot z czoła — Chyba wolałem jak miałeś mniej artystyczne podejście.

Wchodziliśmy na wiadukt nad torami w Skierniewicach żeby znaleźć ciekawe ujęcie starego, ceglanego dworca.

Kilkanaście dni wcześniej Wayne sprowadził mi z zagranicy wygrzebaną z piwnicy anonimowego fotografa, fotograficzną bestię - harmonijkowy aparat o rozmiarze negatywu wielkości kartki z bloku do rysowania. Kamera, szerokokątny obiektyw 240mm, 4 kasety na błony cięte, tył do formatu 4x5 i polaroidowy holder do materiałów 545. Poczułem się jak dziecko. Wyciągałem wszystko z brązowego kartonowego pudełka, składałem i rozkładałem jak wielkie klocki. Wielgachne soczewki obiektywu kusiły żeby w słoneczny dzień zapolować na mrówki.

Film. Potrzebowałem jakiś materiał. Zadzwoiłem do polskiego oddziału Ilforda.

— HP5 w formacie 8x10? Nie ma problemu — powiedziała miła pani i rzuciła jakąś potworną, minimalną ilość zamówienia. Cena oscylowała w granicach połowy wartości całego zestawu mojego aparatu.

— To ja się jeszcze zastanowię — chrząknąłem delikatnie, ratując się tradycyjnym tekstem człowieka, który nie jest przekonany co do jakości produktu. Nie musiałem na szczęście brać pożyczki w banku i robić zapasów na lata - w jednym z warszawskich sklepów foto, udało mi się znaleźć ostatnią, przeleżałą przez lata paczkę filmu Wephota. Nie speszony dziwną radością sprzedawcy, wróciłem do domu i przepakowałem 8 arkuszy do kaset.

Planowałem ruszyć ze sprzętem w teren, ale rozsypujące się kartonowe pudło nie wzbudzało zaufania co do ochrony aparatu i nie wyglądało ani odrobinę profesjonalnie. W najbliższym markecie budowlanym kupiłem trochę sklejki, aluminiowe kątowniki, szerokie czarne pasy i wiśniową okleinę do mebli. W sklepie turystycznym - zieloną karimatę. Po kilku godzinach majsterkowania miałem gotowy kufer. Wyglądał cudnie. Drewniano-wiśniowy z zewnątrz, z metalowymi krawędziami, wyściełany na zielono w środku. Ładny, ciężki, profesjonalny - prawie amerykański. Opuściłem sobie szycie profesjonalnej płachty na głowę i zamiast tego wygrzebałem u teściowej na strychu starą, pewnie z 50. letnią kapę. Może nie wyglądało to profesjonalnie, ale na pewno hipstersko.

Byłem gotowy. Zatargałem pudło na tylne siedzenie mercedesa i zacząłem szaleć po zakamarkach Mazowsza. Prewizualizacja i kontemplacja kadru; niespiesznie i na spokojnie. Slow photography pełną gębą. Zabawne było, że przy okazji szukania ciekawych ujęć, stawałem się dla miejscowych objazdową ciekawostką z gatunku "cyrk przyjechał".

— Pan nas fotografuje? — usłyszałem zza pleców kiedy przykryty starą narzutą próbowałem skupić się na makrofotografii pszczoły siedzącej na słoneczniku.

— Nie. Pszczołę — odpowiedziałem grzecznie.

— Bo my sobie nie życzymy — robotnik z budowy obok, sprawiał wrażenie w połowie niezadowolonego a w połowie zafascynowanego stojącym przed nim dziwakiem.

— No przecież pan widzi, że nie na panów mam aparat tylko na kwiatek — próbowałem podejść do sprawy spokojnie i z rozsądkiem.

— Może tak, może nie — zadumał się budowlaniec — Mogę sprawdzić?

— Skoro pan musi — podniosłem kapę i wpuściłem go przed matówkę.

— O kurwa! — usłyszałem ze środka. Po chwili mężczyzna wyłonił się spod narzuty i zawołał w stronę budowy — Gienek, chodź tu szybko!

Zaaferowany Gienek prędkością błyskawicy pojawił się koło nas z gazurką w ręku i młodszym pomocnikiem murarza przy boku.

— Co jest? — spytał wojowniczo.

— Zobacz jakie dziwne — pierwszy budowlaniec wpuścił go na swoje miejsce.

— A dlaczego do góry nogami? — bojowe nastawienie uleciało w sekundę.

Wy tłumaczyłem co i jak. Pogadaliśmy chwilę. Panowie byli tak zaaferowani, że po powrocie do domu żałowałem, że nie namówiłem ich na jakieś surrealistyczne portrety w polu słoneczników. Czułem, że zaakceptowali mnie jako artystę i mogłem pozwolić sobie na popuszczenie kreatywnego szaleństwa. Szkoda.

Innym razem pojechaliśmy ze znajomymi na plener do uroczej wioski za Warszawą. Zniosłem pudło do auta, wrzuciłem na wierzch statyw i pognaliśmy 100 km przed siebie. Na miejscu, przedźwigałem sprzęt na wypatrzoną wcześniej miejscówkę i zanurkowałem w kufrze.

— Kurwa mać — zakląłem.

— Co się stało — spytał zaniepokojony kolega?

— Zapomniałem zabrać obiektyw.

Tak. Raz jest się twórcą a raz tworzywem - niekiedy komediowym.

— O ja pierdołę, jakie to ciężkie! — zasapał kumpel wycierając kawałkiem rękawa pot z czoła — Weź sobie sam to podźwigaj.

— Chyba mam dosyć tego artyzmu — sapnąłem. Przysiedliśmy na kufrze dysząc i zagłębiając się w głębokie rozmowy o fotografii.

— No mówię — przytaknął kolega — Wolę swojego Canona. Zdecydowanie.

— Wiesz. Najgorsze jest, że poza Czarkiem nikt nie zwrócił uwagi na tą megarozdzielczą jakość. Pokazywałem zdjęcia mamie, tacie, cioci, wujkowi i pani Basi ze spożywczaka na rogu. Nic. “Ładna pszczołka”, mówią. Ale ani słowa o szarościach, zero o megadetalu, nic o rozpiętości tonalnej. Chyba sobie daruję.

— No. Dobry pomysł — mój towarzysz pokiwał głową powoli łapiąc dech.

— Muszę się pogodzić, że prawdziwa sztuka jest dla ludzi silnych i wytrwałych.

— Dokładnie!

— Dla kogoś z dobrym zdrowiem i mocną psychiką.

— Właśnie!

— Po co kombinować pod górkę? Nie lepiej poskakać jak pszczołka z kwiatka na kwiatek i cieszyć się słońcem? Na luzie łapać dzień.

— Że co?

— Nic. Chuj z tym — gniew narastał we mnie coraz większy — Idziemy!

— Nie. Nie dam rady, muszę jeszcze odpocząć. Sam sobie to nieś.

— Walę to. Zostaw te klamoty! — ująłem zdziwionego kumpla pod rękę i nie oglądając się za siebie zeszliśmy z wiaduktu. Zostawiliśmy bydlaka na samym środku chodnika. Schodząc schodami, czułem jak z każdym stopniem żegnam się z artystyczną fotografią. Kiedy byłem już na dole, wiedziałem, że skończyłem pierdolenie o sztuce raz na zawsze.

Kilka miesięcy później, przeglądając allegro zobaczyłem mój kufer. Sprzedający roztaczał się nad jego profesjonalnością, kunsztownym wykonaniem i wypracowaną do granic użytecznością. Palec zawisł mi przez chwilę nad przyciskiem “Kup teraz”. Na szczęście mały trzmiel, który wleciał przez okno, skupił na sobie moją całą uwagę. Kiedy po pokazaniu mu drogi powrotnej na dwór, wróciłem przed komputer, kufer został już sprzedany.

Słucham smutnych piosenek i próbuję kupować smutne kamery. Krążę po giełdzie niczym po schronisku dla zwierząt i wypatruję na zagraconych półkach najbardziej zjechanego, niechcianego aparatu. Zerkam w mętne, nieobecne szkła obiektywów i wyczekuję aż opowiedzą mi swoją historię.

Powiedzmy sobie szczerze i brutalnie - nie miałem twardości by zostać zawodowym fotoreporterem; brak mi było artystycznej wyobraźni, wyostrzonej sensytywności i subtelności wyrazu by zostać fotografikiem. Jedyne co pozostało to samotne rejsy po obrzeżach rzeczywistości i wciskanie niechcianych przez nikogo wspomnień w cienkie wstążki celuloideu.

— Może ten? — pyta sprzedawca zatroskany moją nieruchomością, w której od kwadransa trwam nad jego stolikiem.

— Nie. Ten nie. Zbyt radosny. Czysty i zadbane. Nie widać żeby miał ciężkie przeżycia.

— No to jaki ma być? Rupieć jakiś? Rupieci to ja na giełdę nie przynoszę. Robią za dawców części zamiennych. Jakaś śrubka, soczewka, kawałek szkiełka, przeszczep nogi, nerki, nawet serca, mózgu nie ruszę — wiem, że mówi coś innego ale słyszę to co chcę słyszeć.

— Nie zastanawia się pan nad ich historią? Bez znaczenia co widziały i kim były? Tak zwyczajnie - potnie je pan na kawałki, zachowa co wartościowsze fragmenty a resztki wyrzuci na śmietnik? Bez chwili zadumy, bez jakiegokolwiek refleksji? — czułem jak smutne myśli chlastają mi tył głowy.

— Panie! Idź pan stąd. Klientów mi pan straszysz — starszy pan daje mi do zrozumienia, że nie jest zainteresowany rozmową nad sensem istnienia aparatów foto.

Czy krążę po giełdzie i wypatruję najsmutniejszego egzemplarza jaki widziałem w życiu? Nie! Ściemniam! Jestem hipokrytą najczystszej wody. Nie zależy mi na losie biednych kamerek. Szukam najbardziej zjechanego

osobnika żeby rzucić go na pożarcie czarnego psa, który przyczajony przez ostatnie lata, ponownie wyczołgał się z budy i próbuje zmać wody mojego spokojnego życia. Dam mu kawałek smutnego plastiku, metalu i szkła, w którym być może znajdzie coś co zajmie go na jakiś dłuższy czas. Niech nażre się czymkolwiek byleby nie kasał; nie odgryzał tych nieprzybrudzonych jeszcze kawałków codziennych dni.

— Keek, Keek, kopę lat! — przerywa mi moje poszukiwania dawno niewidziany kumpel — Co tam u ciebie? Co porabiasz? Nadal mamisz dupki zdjęciami?

“Opierdolić go, czy dołączyć do samczych przygrywek?”, zastanawiam się jak wybrnąć z niekomfortowej sytuacji. Czuję jak bardzo przez lata rozjechały nam się maski noszone na twarzy. Wbrew sobie brnę w mizoginistyczne odmęty, wpatrując się w radosne oblicze stojącego przede mną kolegi, który zadowolony z niespodziewanego spotkania z dawno niewidzianym przyjacielem proponuje szybki, nieplanowany wypad na wódkę.

“Skąd w nim tyle radości?”, przeraża mnie wszechogarniające poczucie gniewu i zazdrości. Wychodzimy z giełdy i idziemy na pobliskie Pole Mokotowskie żeby zakotwiczyć się w jakimś pubie.

— Wiesz co stary? — przerywam mu wykwyty radosnego uniesienia — Ty to jednak zawsze chujem byłeś.

— O co ci kurwa chodzi? Jakim chujem?

— Brudnym, złamanych, obspermionym; zrzeżączkowanym, zsyfilisowanym i na pewno z ejcem — popuszczam swoją kreatywność do granic możliwości — A przede wszystkim małym; malutkim, malusieńkim, tyciutkim; takim jakby w ogóle Cię nie było.

Patrzę mu prosto w twarz. Widzę jak początkowe zaskoczenie i niezrozumienie, zmienienia się w pełen nienawiści gniew i zdziera z gęby przyjacielską maskę. Wiem, że robię źle, że skończy się to nieciekawie, ale rozkoszuję się tą krótką chwilą kiedy widzę przed sobą piękne, nieskażone fałszem i koherentne z moim wewnętrznym odczuciem oblicze. Pierwsza piącha leci niespodziewanie. Wiedziałem, że będzie, nie przypuszczałem tylko, że tak szybko; spodziewałem się kilku poprzedzających, wulgarnych słów. Pierwsza, druga, trzecia - przestaję liczyć. Nie bronię się. Padam na

ziemię. Za piąchami lecą kopy w żebra, nerki i głowę. Boli, ale cieszę się gdy czuję, że czarne bydle skomle we mnie. Dostaje wpierdol równie mocny co ja. W końcu przerwa. Uderzenia ustają. Z trudem łapię dech, równocześnie czując wszechogarniającą mnie radość - nie słyszę psa; nie szczeka, nie skomli, nie jęczy; spierdolił z podkulonym ogonem. Zaczynam się śmiać. Rechocę, krzywiąc się z bólu i podtrzymując połamane żebra.

— Tu zjebany pojebie! — mój oprawca a jednocześnie dobrodziej i wybawiciel, dyszy nade mną. Dziwną ma nową maskę. Wciąż zgniewaną i pełną nienawiści, ale czystą, nieskalaną żadną niechcianą przeze mnie i jego rysą. Poczucie spełnienia i gniew, walczą w nim z niezrozumiałym dla niego uczuciem troski.

— Masz, jebany fotopstryku! — rzuca mi w twarz małego Olympusa XA — Nażryj się tym.

Łapię za aparat i przyciskam go do obolałej piersi.

— Mało ci? — wciąż stoi nade mną, nie odchodzi — To masz jeszcze jeden — rzuca drugi egzemplarz — Jeszcze chcesz, chcesz? W dupę sobie wsadź te dobre rady — koło mojej głowy ląduje trzecie pudełko. Dyszy ciężko. W końcu odpuszcza; odchodzi w ciszy. Cieszę się. Wciąż nie słyszę psa. Enjoy the silence - póki jeszcze możesz.

POLAROID SX-70 SONAR

2004

To chyba najdziwniejszy i najbardziej oryginalny aparat jaki zdarzyło mi się używać. No bo jak inaczej nazwać średnioformatową - przecież rozmiar klatki to 8x8 cm - lustrzanek, która składała się do rozmiaru i kształtu wielgachnej tabliczki czekolady; lustrzanek, w której system nastawiania ostrości zerznięty był z codziennego życia nietoperzy, świeże baterie były wbudowane w kasetkę z filmem a flesze wyrzucało się po użyciu? Kto to wymyślił? Ciekaw jestem pierwszych założeń i przedstawienia pomysłu szerszemu gronu inwestorów. Podziwiam też odwagę wypuszczenia do ludzi aparatu, w którym każde mocniejsze i nieodpowiednie naciśnięcie przy składaniu, groziło totalną rozsypką w rękę; o ryzyku wsadzenia palca w gumowy mieszek i zrobienia w nim dziury nie wspominam, bo po co?

“Filmy” z serii Time Zero: cuda, w których ciekłe barwniki pomiędzy foliami obrazka schły na tyle długo, że po zaopatrzeniu się w odpowiednie specjalistyczne narzędzia typu tępy patyk albo ostry gwóźdź, udawało się tworzyć malutkie, somnambuliczne i oniryczne dzieła sztuki. SX-70 plus coś twardego podniesionego z ziemi, to w całej historii fotografii, najmniejszy, pełny, zwarty i wyczerpujący, artystyczny zestaw do tworzenia.

Zazdroszczę twórcom parającym się dziedzinami nieuzależnionymi od narzędzi. Literat - przestarzały komputer, tablet, smartfon; jeśli ma hipsterskie zapędy - maszyna do pisania a w ostateczności długopis, ołówek i kartka albo serwetka ze stolika taniej kawiarni. Dzieło nie liczy się pod fizyczną postacią a jest ideą, historią.

Z muzyką niby podobnie - broni się utwór zapisany na pięciolinii i wydobywający się z gardła Fredka, szybujący nad stutysięcznym tłumem głos, który mógł trwać do 1991 roku, ale reszta to już elektroniczne i akustyczne zabawki.

Rzeźbiarz? Kawałek kamienia, ostry metalowy szpikulec i coś do polerowania. Malarz? Pędzle można pozyskać ze złapanego w piwnicy kota, ale zabawa z własnoręcznym mieszaniem barwników to już mało wciągająca czynność - lepiej zejść do zaprzyjaźnionego sklepiku na Mazowiecką.

I jak ma się do tego artysta fotografik, który do wyprodukowania jakiegokolwiek fotogramu potrzebuje firmy produkującej sprzęt foto, firmy produkującej negatywy i papiery fotograficzne, firmy od drukarek i kartridży z barwnikami, i firmy drukującej fotograficzne albumy?

Tracimy świat otaczających nas przedmiotów. Notes, kalkulator, przenośny odtwarzacz muzyki, radio, telewizor, aparat fotograficzny i album ze zdjęciami; zegarek, najnowsze wydanie gazety, książka, mapa, pieniądze, dowód osobisty i bilet miesięczny; klucze do mieszkania... to wszystko zastąpiły nam coraz bardziej podobne do siebie, różniące się tylko wdrukowanym w naszą psychikę logo, smartfony. Główny nurt - masówka dla tłumu - leci z tej samej, mdłej i taniej matrycy. Takie same samochody, sprzęt RTV i AGD; meble i wyposażenie mieszkań, ciuchy i ogólny dress code; muzyka w radio i filmy w kinie; urlopowe atrakcje w dalekich krajach - wszystko zlewa się w jedną szarą maź, pozostawiając pojedyncze, zaporowe w cenie wyjątki dla krezusów dzisiejszego świata.

Poprawność polityczna i lęk przed wykluczeniem sprawia, że powoli zatracamy już nawet posiadanie własnego zdania i niczym termity stajemy się jedną wielką, piękną uśmiechniętą rodziną.

VOIGTLANDER PERKEO II

2004

I.

*Strawberries, cherries and an angel's kiss in spring
My summer wine is really made from all these thing*

— Załatwiłeś? Masz to? — Keek wykręcił swoje podniecenie do poziomu ekscytacji małego dziecka w fabryce cukierków.

— Tak, mam — odpowiedział Rudolf sięgając do kieszeni po niedużą torebkę z metalowej folii; wysypał na rękę małe kartoniki i pomachał mu przed oczami.

Miesiąc temu umówili się na rozrywkowe zażywanie LSD i jako, że była to dziewicza podróż Keeka, postanowił poświęcić własne doznania i pełnić tym razem rolę opiekuna i przewodnika. Nie obyło się bez małych zgrzytów. Kiedy oznajmił małżonce, że potrzebuje wolnej chaty na psychodeliczne eksperymenty, rzuciła mu spojrzenie, w którym bez trudu dało się wyczytać prastare pytanie wkurzonych na maksa ludzi: “Chyba się z chujem na łby pozamieniałeś?”. W końcu jednak udało mu się udobruchać ją wizytą w luksusowym SPA.

Pogoda była dobra - wiatr nie wiał zbyt duży, słońce nie prażyło za bardzo, a kroplom deszczu nie przychodziło do głowy żeby spadać na ziemię. Keek jak zahipnotyzowany wpatrywał się w wyciągniętą rękę.

— No dobra, pies to trącał, raz kozie śmierć — westchnął i włożył jeden z kartoników do ust. — Mam ssać? Tak? Ssać bez połykania?

— Mniej więcej — Rudolf próbował zamaskować rozbawienie - bądź co bądź zaczynali poważne eksperymenty natury egzystencjalnej.

— Nie działa, w ogóle nie działa — obiekt badawczy krążył nerwowo wokoło stołu sięgając co chwila po szklankę wody.

— Keek, uspokój się. Musi minąć trochę czasu.

— Czas, czas, czas. Ile już? Godzina?

— Jak na razie dziesięć minut.

— Bez sensu. Ktoś ci wcisnął trefny towar.

— Musisz poczekać conajmniej pół godziny, a najlepiej całą — patrzył z ciekawością na zachowanie kumpla czekając na pierwsze oznaki działania kwasu.

W pewnym momencie Keek przestał kręcić się po salonie. Stał nieruchomo na środku puszystego dywanu i zaczął obserwować szumiącą klimatyzację. — Muszę siku — powiedział nagle i zniknął za drzwiami toalety. Minuta, dwie, pięć - mijał standardowy czas na opróżnianie pęcherza. Rudolf nasłuchiwał odgłosów dobiegających z kibla. Pięć, dziesięć - po kwadransie usłyszał dźwięk spuszczonej wody, po którym znowu zapadła cisza. Minuta, dwie, trzy, pięć, dziesięć...

— Stary? Możesz mi powiedzieć jak się odkręca wodę? - dobiegło zza drzwi. Poszedł do łazienki i zobaczył zdezorientowanego kolegę wpatrującego się w kran.

— Jak to cholerstwo działa?

— Zwyczajnie, trzeba przekręcić — odpowiedział odkręcając kurek i wrócił do pokoju. Po następnym kwadransie głowa świeżo upieczonego psychonauty wychyliła się zza framugi — Sorry, możesz to wyłączyć? — Westchnął pełnią zrozumienia i spełnił prośbę kolegi.

Keek krążył po mieszkaniu w tę i w tę; przysiadł przed komputerem by po chwili odskoczyć od niego z obrzydzeniem; przyglądał się wnikliwie, szumiącemu niepokojąco klimatyzatorowi, i na przemian - kładł się na kanapie i stawał na baczność przed oknem, wpatrując się w rozkołysane gałęzie młodego drzewa; przeskakiwał do następnych kawałków w iTunes, na zamianę wyłączając zupełnie muzykę. W końcu stanął przed lustrem w przedpokoju i wpatrywał się w swoje oblicze.

— Ja pierdolę, co za ohydny koleś — rzucił z obrzydzeniem. Usiadł w kucki na środku puszystego dywanu i powtórzył — Nie działa, w ogóle nie działa.

— W ogóle? Nie czujesz niczego? — Rudolf przyglądał mu się wnikliwie.

— Odrobinę ci gęba dziwnie faluje, trochę boli głowa, a poza tym zjadłbym coś. Może pojedziemy do McDonalda?

— Na zewnątrz? Do ludzi? Na pewno?

— No. Głodny jestem.

Wsiedli do samochodu i pojechali do najbliższego fastfooda. Keek pewnym krokiem podszedł do lady i zamówił jedzenie. Po chwili odebrał tacę i zaniósł do stolika. Zjedli w milczeniu.

— Ile czasu minęło? — spytał.

— Pięć godzin.

— Będzie coś jeszcze?

— Chyba nie. To już raczej końcówka.

— Nie rozumiem. Miał być kosmos, wyprawa w nieznane, a jedyne co czuję poza bohomazami przed oczami, to bolący łeb i chemiczny zapach klimy. Może ktoś ci wepchnął cienki towar?

— Jest to możliwe.

Wrócili do domu próbując podtrzymać w sobie doniosły nastrój magicznej podróży w nieznane, ale czuć było, że nikłe pokłady entuzjazmu ulatniają się z minuty na minutę.

— Może pogramy w coś? — spytał podając gościowi do ręki xboxowego pada — O tutaj, musisz chwycić mojego ludka za klapy, dać z bańki i rzucić z platformy.

Keek po chwili mocowania się z nowoczesną technologią odłożył kontroler na stół — Gówno z tego będzie. Kończymy zabawę, co?

— Na to wygląda. Odwieźć cię do domu?

— Dzięki. Byłoby miło.

— OK. Zadzwonię tylko do żony.

Wziął do ręki telefon i wybrał numer.

— Cześć kochanie.

— ...

— Wychodzi na to, że już skończyliśmy.

— ...

— Tak wiem. Żenujące wręcz.

— ...

— Podrzucę Keeka do domu, potem podjadę do ciebie i zobaczymy, może spędzimy jakoś miło wieczór — Odłożył słuchawkę i przeciągle popatrzył na kumpla szukając w jego twarzy jakichkolwiek oznak zadowolenia.

— Wiesz co? — zamiast zadowolenia pojawiło się pytanie — Dałbyś mi resztę tego kwasu?

— Jasne, nie ma sprawy. Zostawię sobie tylko dwa płatki na zapas — pokiwał głową odrywając je od pozostałych. — Sporo ci tego zostanie. Będziesz robił powtórkę?

— Tak, myślę, że jeszcze z tym pokombinuję.

Droga do centrum minęła im w milczeniu. “Perły prze wieprze” przemknęło mu przez myśl, kiedy kątem oka zerknął na pasażera, nostalgicznie wpatrującego się w widok za oknem. Keek nie był zbytnio wylewny. Było to o tyle dziwne, że zazwyczaj klepał jak świeżo nakręcona pozytywka. “Może udaje? Tylko po co? Nakręcił się na tą podróż jak szalony. Może towar faktycznie był trefny?” - wysadził kumpla przy Pałacu Kultury. Podali sobie ręce i rzucili w przestrzeń oszczędne słowa pożegnania. Przez panoramiczną szybę swojego luksusowego auta patrzył na małą przygarbioną postać znikającą za rogiem. “Anioły stróże muszą mieć przejebane na maksa” - pomyślał i resztę dnia spędził na miłym rodzinnym życiu.

II.

*Witness the man who raves at the wall
Making the shape of his question to Heaven
Whether the sun will fall in the evening
Will he remember the lesson of giving
Set the controls for the heart of the sun*

“Co za gówno? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?”, od dwóch tygodni wkurwiające pytania wierciły mi dziurę w mózgu. “Niesamowita podróż w głąb własnego ja” - mówiły wszystkie książki w temacie, biografie wielkich i internetowe komentarze pod kwasowymi filmami. Zamiast metafizycznych doznań dostałem uporczywy ból głowy i utrzymujący się przez kilka dni zapach sztucznej klimy. Gdyby nie kilka mazów, które przemknęły mi przed oczami mógłbym powiedzieć, że zamiast diamentowej podróży z Łucją po niebie, doznałem zwyczajnego

ordynarnego kaca. “Może ten cały kwas już wywietrzał? A może to nie był kwas? Może woda święcona?”, miotałem się w myślach próbując zapomnieć o głupocie jaką strzeliłem. “Potrzebne mi te zabawy jak dodatkowa dziura w dupie”.

Dni mijały i coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że jestem wybrykiem natury, którego nie imają się żadne magiczne molekuły. “Dobrze, że przynajmniej woda mnie trzepie”, użalałem się nad sobą budując w wyobraźni piękny bajroniczny portret. Oswajałem się z tym, że moje pierwsze i ostatnie psychodeliczne zabawy mam już za sobą.

Co chwila jednak, mój wzrok wędrował na półkę z filmami DVD, gdzie w pudełku ze “Scanner Darkly” tkwiła resztką towaru, który wysepiłem od Rudolfa. “Przez ciemne zwierciadło” - film obejrzany ponownie po prawie dwóch dekadach, mimo pokus i zachęcającego zapachu kwasu, który był na wyciągnięcie ręki, przestrzegał, że nie jest to zabawa dla małych dziewczynek.

I tak, darowałbym sobie i zapomniał, jednak wkurw mojej ówczesnej narzeczonej popchnął mnie ku dalszym eksperymentom. Zmęczona ciągłym trajkotaniem o niespełnionych marzeniach, pewnego wieczoru sięgnęła po konkretne DVD i rzucając pudełko na stół powiedziała — Jedziesz jutro z rana!

Dzień był upalny a zarazem wietrzny. Gałęzie drzew okalających Pałac Kultury falowały za oknem. Zbierało się na burzę. “Wóz albo przewóz”, pomyślałem i wyciągnąłem towar z filmu. Nie zastanawiając się wiele, oderwałem dwa małe kartoniki i wsadziłem szybko do ust. Poszedłem do WC na kontrolne siku i odpaliłem wizualizator w iTunesie wpatrując się w dziwne esy-floresy migocące w rytm muzyki. “Nic, nie dzieje się nic; znowu nie dzieje się nic. Czy ja naprawdę jestem jakimś dziwnym wybrykiem natury?”, smutek i rozczarowanie, całunem żalu zaczęły powoli opadać na moją głowę. W pewnym momencie poczułem, że jednak coś jest na rzeczy. Tym razem jebło porządnie. Pojawiło się tradycyjne falowanie i po chwili zaczęło się na dobre. Przeogromny wstręt do kompa odrzucił mnie sprzed monitora. Podeszedłem do oka. Popatrzyłem z góry na Pałac i zobaczyłem jak wygina się w

niesamowitym ekstatycznym tańcu. Gałęzie drzew wyciągały się w jego stronę jak ręce wyznawców zapomnianych, pradawnych religii. Na szachownicy balkonowych płytek przelatywały twarze rodem z okładek płyt Iron Maiden. "Eddie welcome!". Czy to bad trip? Skoczyłem do lustra w łazience. Człowiek po drugiej stronie nie odrzucał jak poprzednim razem. Gęba rozpływała mu się oczywiście tak, że trudno było dostrzec coś konkretnego ale nie wzbudzał przeogromnego odczucia odrazy. Powoli zaczynałem oswajać się za pseudohalucynacjami. Mimo, że wciąż były, przestałem zwracać na nie uwagę. Odczucia zmieniły się diametralnie. Podobnie jak poprzednim razem zaczęła boleć głowa. Byłem otoczony niewidzialną bańką, przez którą nie mogłem przedrzeć się na zewnątrz. Spojrzałem na narzeczoną czytającą książkę na łóżku. Popatrzyła na mnie zciekawionym wzrokiem. Po jej obliczu przemknęła szybko seria innych twarzy, z czego jedna była podobna do portretu typowego bohatera polskiego romantyzmu.

— Masz wąsy, wiesz? — powiedziałem próbując przebrnąć przez bełkot wyobraźni jaki nasuwał mi się na myśl.

— A ty masz minę małego chłopca, który coś zbroił i zezuje na lewo i prawo w obawie czy się nie wydało — roześmiała się, a ja poczułem, że muszę siku.

Po nadzwyczaj ostrożnym oddaniu moczu, znowu zerknąłem na transowe wygibasy Pałacu. Naszedł mnie dziwny niepokój. Bałem się myśleć; zdawało mi się, że jeśli o czymś pomyślę, zmaterializuje się i spadnie na mnie. Obejmie mnie we władanie i pochłonie na zawsze. Czułem, że walczę czymś na wyimaginowane moce. Siłowałem się na siłę umysłu. Kto bardziej ściśnie drugiego w jego - nie znajdowałem słowa w czym. Nikt nie wygrywał, nikt nie przegrywał. Nie chciałem się poddać, ale nie mogłem wygrać - remis. Uczucie było przytłaczające.

Próbowałem podzielić się z dziewczyną swoimi doznaniem ale wiedziałem, że słowa nie są w stanie opisać tego co czuję. Nie w jakimś poetyckim znaczeniu opisu piękna, a zwyczajnie brakowało mi narzędzia żeby przekazać w jakim jestem stanie.

— Bredzisz jak Paulo Coelho, idę drzemać, nie przeszkadzaj mi — odgoniła mnie w końcu.

Chciałem odpocząć. Bitwa i rozbłyśki myśli, które przelatowały nie tyle przez mój mózg, a przeze mnie całego - męczyły. Położyłem się na łóżku, próbowałem je zasnąć i przewinąć świat do przodu. Niestety nie było to bezpieczne schronienie. Nadal czułem, że jeśli pomyślę o czymś, stanie się to realne. Czas ciągnął się w nieskończoność. Zerkalem co chwilę na zegar mając nadzieję, że minęły minuty a wskazówka wciąż tkwiła w tym samym miejscu. Skupiłem się na dźwięku wentylatora; cichego, nowoczesnego wentylatora, którego kupiłem na nadchodzące upały; który miał być cichy i niesłyszalny jak ninja. Zaczynał być coraz głośniejszy i wyraźniejszy. Z początku słyszałem silnik, wirowanie wiatraka, potem, już nie dźwiękiem ale w jakiś inny sposób zacząłem rejestrować jego wewnętrzne życie. Doszedłem do wniosku, że jedyną prawdą są ostre krawędzie. Przypomniiał mi się robot z "Interstellar" Christophera Nolana, wiedziałem, że to najdoskonalsza forma we wszechświecie.

Niepokój wciąż jednak wzrastał. "To nie zabawka, to nie jest zabawka. To niebezpieczne. Za dużo drzwi do otwarcia. Zbyt wiele.", chciałem szamana, wszytkowiedzącej istoty; opiekuna któremu mógłbym zaufać i oddać swoje "ja" w jego wolę. Przyszło mi do głowy, żeby usiąść jak przy medytacji i kiedy tylko to słowo przeleciało przeze mnie, uspokoiłem się. Coś spoza bańki wysyłało myśl, że medytacja i mistycyzm to nie jakaś bujda ale prawda dostępna tylko wybranym. Kazałem temu czemuś spierdalać, lecz mimo to wiedziałem, że powinienem być teraz gdzieś w lesie albo nad wodą. Leżeć na trawie albo na piasku i wsłuchiwać się w naturę. Doświadczać komfortu braku potrzeby kontrolowania ciała; móc posikać się po nogach bez zmartwień o trzymanie cywilizacyjnych standardów.

Po pięciu, sześciu godzinach zaczęło powoli przechodzić. Narzeczona skończyła drzemać, podniosła się z łóżka i spytała czy będziemy coś jeść. Jedliśmy i patrzyliśmy w serial na którym zupełnie nie mogłem się skupić. Niby łapałem o co chodzi w fabule, ale moje myśli wciąż były jeszcze równocześnie tam i tu. Zawierzenia przestrzeni wciąż trzymały, ale mimo to, bez problemu trafiałem widelcem i szklanką do ust.

Nastał wieczór. Położyłem się nasłuchując dźwięków za oknem Samochody, muzyka, wszystko wciąż docierało do mnie bardzo ostro i wyraźnie. Mimo, że byłem w mieszkaniu, miałem wrażenie, że widzę/ czuję/jestem w środku akcji na ulicy. Skurcz karku i zaciskanie szczęk powoli mijało. Głowa jednak nie przestawała ćmić. Zaczęło robić się chłodniej. Tuż przed zaśnięciem przyszła mi do głowy pewna myśl: “A może następnym razem zarzucić kwas na pielgrzymce do Częstochowy?” W końcu odpadłem.

III.

Funny how secrets travel

I'd start to believe if I were to bleed

Thin skies, the man chains his hands held high

— Słyszałeś o tej zabie z trypofobią?

— O czym???

— Taka żaba, która nosi małe żabki w dziurach na grzbiecie.

— No i?

— Podobno jak się wydłubie z niej kilka tych małych i zje, to daje niezłego tripa. Problem tylko, że muszą być świeżo wyjęte.

— Brzmi dosyć ohydnie.

— Nadal się chcesz bawić w codzienne jaramie trawy i okazjonalne wycieczki na kwasie lub grzybkach czy chcesz poskakać po multiwersum?

— Tobie chyba za ostro ta psychodelia weszła. Nie myślałeś żeby odrobinę przyhamować? Jak będziesz skakać po multiwersum? Chcesz kupić gogle VR od Mety albo Appła?

— No widzisz stary, zamiast kpić powinienesz otworzyć się na nieznane.

— Znaczy, na wyjadanie potomstwa żaby?

— Nie ważna droga ani środek - ważny cel.

— Taa... W twoim przypadku zdecydowanie widać, że znalazłeś sobie nowe hobby. Zrobiłeś jakieś zdjęcia ostatnio?

— Na chuj - za przeproszeniem - komuś jeszcze więcej zdjęć? Nie wystarczy ci? Cyfrę ma już każdy amator fotografii, za chwilę aparat w telefonie będą mieli wszyscy i będą cykać bez opamiętania wszystko dookoła. Nawet jedzenie przez skonsumowaniem. Za następne dziesięć lat do fotografowania nie trzeba będzie w ogóle aparatu.

— W ogóle? Całkowicie?

— Przestań ironizować. Mówię ci - neurotechnika pójdzie tak do przodu, że kilka obwodów scalonych wygeneruje na zawołanie każdy obraz jaki sobie zażyczysz. Podobnie będzie z muzyką, książkami czy filmami. Gdy dojdzie do tego VR, człowiek zostanie bezmózgim warzywem zalegającym na wygodnym fotelu; gąbką chłonącą i przyjmującą wszystko bez grama jakiegokolwiek refleksji, byleby było miło. Zupełnie jak małpa drażniąca swoje genitalia przed lustrem. Ludzie zamienili LSD na LCD i nie ma już odwrotu.

— Na OLED jeśli już. Poza tym pierdolisz stary. Starzejesz się. Świat poszedł do przodu a ty nie nadążasz.

— No i w tym jest sedno. Nie należy gonić za czasem, tylko grzecznie przeskoczyć sobie do tyłu, kiedy człowiek był człowiekiem.

— I jak to sobie wyobrażasz? Kupisz DeLoreana?

— Nie, to nie tak. Gadałem ostatnio z kolesiem z Reddita, który mi wszystko rozjaśnił.

— No tak, wzorce masz dobre. W czym rozjaśnił?

— Pisał, że za każdym razem kiedy coś wpływa na działanie atomu następuje podział i tworzy się następny równoległy wszechświat. Tych wszechświatów jest pierdylion, nieskończenie wiele. Istnieją obok siebie i można między nimi nawigować. Jednocześnie każda wersja czasowa istnieje niezależnie; każda godzina, sekunda i minuta jest osobnym portem do którego możesz przybić, więc masz możliwość przeskoczenia do dowolnego momentu - wstecz lub do przodu. Jednocześnie przemieszczasz się między alternatywnymi wydarzeniami. Czyli możesz pojawić się w Warszawie w 1966 roku, w której nie było IIWS, powstania ani komunistów.

— Dziwne. Mój sąsiad mówi zawsze kiedy spotykamy się przypadkowo na klatce, że energia istnienia, świadomość, dusza -

nazwijmy to jakkolwiek - tuż przed narodzinami każdego człowieka, sprawdza wszystkie możliwe ścieżki życia i wybiera jedną, którą będzie nieustannie podążać do śmierci. Wszystkie decyzje jakie podejmujemy, zostały podjęte jeszcze przed naszymi narodzinami przez nas samych. Jak to się ma do twojej teorii?

— Może tak być - to nie wyklucza istnienia równoległych ścieżek i możliwości przemieszczania się między nimi. Zmieniasz pociąg a nie jego rozkład jazdy.

— Uhm... No dobra, więc jak nie DeLoreanem to jak? Przez jakąś dziurę czasoprzestrzenną?

— Musisz wyzwolić swoją jaźń.

— Czyli?

— Świadomość jednostki istnieje poza ciałem. Jest czymś większym i stoi wyżej niż twoje “ja”, które jest małą częścią całości. Możesz do niej wrócić a potem oddzielić się w zupełnie inne miejsce.

— O stary, skończ z tą psychodelią bo za bardzo ci weszła. O wiele za bardzo.

— Kwestia otwarcia umysłu.

— O tak, z pewnością. Albo jego popsucia. Więc w jaki sposób będziesz sobie oddzielał tą jaźń?

— Mówiłem ci na początku. Żabami.

— Aha... OK. Wiesz. Przypomniałem sobie, że zostawiłem w domu włączone żelazko. Musze lecieć. Odezwę się.

IV.

*You can't always get what you want
But if you try sometimes you'll find
You get what you need*

Osoba, która była kiedyś Keekiem pochyliła się nad niedużą ropuchą spoglądającą nieufnie zza ścian słoika. Malutkie żabki na jej grzbiecie, wierciły się niespokojnie w swoich dziurkach przeczuwając, że za chwilę stanie się coś złego.

— Ile mam ich zjeść? — osoba Keeka spytała się osoby mistrza, której tam nie było.

— Musisz jeść aż do końca. Aż zobaczysz, albo wszystkie, nie jedna. Pieśń żałobną jej usłyszysz. Ale nie przestawaj bo zgubniesz — osoba postrzegana jako mistrz wysyczała słowa i rozplynęła się w nicości.

Ktoś kto był kiedyś Keekiem sięgnął do słoika i wyjął ropuchę, która czując zagrożenie zaczęła wydawać z siebie dziwne pomruki. “Ktoś” chwycił za pierwszą małą żabkę na grzbiecie i próbował ją wyrwać. Z początku stawiała zdecydowany opór, by po chwili z cichym plumknięciem oddzielić się od grzbietu matki. Wsadził ją do ust, próbując zagryźć, jednak dzięki wewnętrznej sile życia żabka skutecznie unikała jego zębów. Przełknął ją bez przegryzienia i sięgnął po następną. Druga, wyczuwając co stało się z jej siostrą nie miała woli walki, kończąc jako mała miazga. “Dziwny smak, nie przypominający niczego”, pomyślał Ktoś. Trzecia i dalsze poddawały się natychmiast. Były nieruchomymi cukierkami o różnych smakach. Raz słodkie, słone, gorzkie - nigdy nie wiadomo na jaką żabkę trafi się w bombonierce. W miarę konsumowania, pomruk wijący mu się w ręce ropuchy stawał się coraz cichszy i wolniejszy. W końcu Ktoś usłyszał, że przeszedł w cudowną, chwytającą za serce, najpiękniejszą pieśń człowieka, natury czy kosmosu. Ktoś nie słyszał wcześniej niczego piękniejszego. Spojrzał na ropuchę, z pustymi już dziurami na grzbiecie. Zjadł jej wszystkie dzieci. Wypuścił ją z ręki. Nim zdążyła upaść na podłogę rozplynęła się w powietrzu.

Ktoś zobaczył światło i ciemność równocześnie; poczuł zimno i gorąco; kakofonię i ciszę, ból i ukojenie - wszystko zlało się w jedno. Przestało istnieć a jednocześnie było wszędzie. Jeden mały punk. Najmniejszy z możliwych a mimo to wciąż się zmniejszający. Ímiejący s[^] Bogu w ôwarz. †•¥ç†√ ^ †ð^√ â^√â“~[œ† ‘ç|ç~““µ √“œ‘ ·f“^ fœΔ® ““ ç““â“ç ð^“^âð ð√ç“ ð†ç ^¥â ≈Σç ja√ √ΣΣ ∫≈Σ...“® v ≈Σ®ç† √¥ç√ ¥Σ~ç ∫ç¥® â ç|®ja†√|ç~Σ ‘≈~f† ∫√†®ø“Σ“†®¥Σ† œ√ç|≈ µ Ωœ ø·fΔð~ √©Σ^““ΣøΔ√“ â““““βf°âβf ·√·β°â βΔç|·β’ ¥^œ’ ¥·√ â≈†â¥ Σ≈†“^ µç†ç ≈çç^≈ ®^Σ≈f ∫ðf’ ®β’ðβâΣ’ðβ ff†¥“““ ^Δ^° Δ° œΣ’®Σâβ βΩ≈®ðç ®f†©““^ Δ°·√|·Δ° ...¬°fç√ ∫°Δµ° Δ µΔ†® ®’âΩΣ ç√·|~Δ√ f≈βðç√°ø “^ø“ ^ø““†¥†’ ΣΩð≈ç| √ p[^ø“ †¥ç† çu√†tç ®ç √b¥ √|fâΩâ sð nic.....°©¥†

$\sqrt{\mathbb{R}} \sim \vee c \ u \zeta^{\wedge} \int \varnothing \sim d's \Delta \odot \dagger \zeta' \zeta \vee \dagger \bar{I} \vee \text{ono} \odot \mathbb{R} j a \S \P \in \bullet \S \P \partial \int \int \varnothing \partial \P \Sigma \bullet \P \int \zeta \alpha^a \S \infty \# \epsilon \bullet$
 $^{\circ} \partial \sim \zeta - \epsilon \quad \epsilon \cdot \odot f \dagger \quad \epsilon \partial \odot \P \approx \vee \odot \quad \text{"} \epsilon \Sigma^{\wedge} \zeta \odot \zeta^{\wedge} \Sigma \quad \zeta \varnothing \Sigma \sqrt{\mathbb{R}} \partial \mathbb{R} \Sigma \sim \P \epsilon \infty \infty \zeta \epsilon \infty \P$
 $\varnothing \text{"} \text{"} \text{"} \text{"} \text{"} \text{"} \varnothing \partial \varnothing \quad \zeta \text{"}^{\wedge} \alpha f \Sigma \alpha \quad \text{"} \Sigma \quad \cdot \S \quad \zeta \# \S \bullet \# \Omega \bullet \sim f \vee \quad \text{to} \alpha^{\circ} \Sigma \partial \P \dagger \mathbb{R} \Sigma \mathbb{R} \mathbb{R} \Sigma \mathbb{R} \odot' \alpha$
 $f' \Sigma \beta \partial \text{"}^{\wedge} \zeta \Delta -' \quad \vee \neq \neq \text{---} \text{---} \text{---} \Sigma \odot \zeta \text{"} \vee \alpha \partial \alpha \quad \text{"} \text{"} \text{"} \text{"} \text{"} \zeta \odot \vee \vee \alpha \Sigma \partial \mathbb{R} \Sigma j a \P \quad \vee \int$
 $\vee \int \zeta \mu \leq \Omega \leq \Omega \P \Sigma \mathbb{R} \partial \mathbb{R} \dagger \text{"} \dagger \sim \mu \int \sim \leq \vee \int \vee \mu \Delta \alpha \P \Sigma \partial \dagger \Sigma \mathbb{R} \Sigma \odot \mathbb{R} \dagger \mathbb{R} \odot \text{å} \Delta \text{å} \partial f \text{å}$
 $\text{nic} \partial \text{å} \Delta \text{"} \varnothing \vee \Delta \text{"} \mathbb{R} \text{"} \dagger \dagger \Delta \cdot \pi$

V.

Harmony and understanding
Sympathy and trust abounding
No more false-hoods or derisions
Golden living dreams of visions
Mystic crystal revelation
And the mind's true liberation

“Byłem, na pewno byłem. Czy jestem? Kim jestem? Czym jestem? Parasol? Dlaczego parasol? Po co mi parasol? Przecież nie pada. Jestem w wodzie. Jestem Keek? Jestem?” — tonął; głębina wody wokoło nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Czuł jak wszystko pulsuje i naciska na każdy milimetr ciała. Tylko dlaczego żył? Czemu oddychał?

“Aleś się zapędził człowieku”, usłyszał myśl w głowie. “Chyba ci tu za bardzo nie wygodnie co?”. Poczuł jak coś trąca go w okolicy nóg. Zerknął w dół i zobaczył dwa delfiny pchające go w stronę powierzchni. “Nie, nie - dobrze jest. Gdzie ja jestem?”, spytał większego z lewej. “Ważne, że jesteś. Nie wystarczy ci?”, odpowiedział filozoficznie mniejszy z prawej. “Ale dlaczego...”, pytania cisnęły się na myśli.

“Dlaczego, dlaczego, dlaczego - wciąż tylko dlaczego. Przestań to wszystko rozkminiać”, większy delfin wydawał się z lekka poirytowany. Przyspieszyli. Powierzchnia wody zbliżała się coraz szybciej. Delfiny wyrzuciły go na powierzchnię. Złapał haust powietrza i zaczął płynąć w kierunku plaży, którą zobaczył z daleka. Metr za metrem. Ostatkiem sił wyczołgał się na ciepły, lekko zmoczony piasek. Leżał na plaży zbierając siły.

— To nie plaża nudystów, weź się okryj laska — usłyszał nad sobą i poczuł jak ktoś rzuca na niego duży kolorowy ręcznik. Rozejrzał się wokoło. Otaczało go setki roześmianych, długowłosych, młodych ludzi; w oddali majaczył czerwony, wiszący most. Wciąż dygocąc z zimna, poprawił ręcznik i niczym nowonarodzone dziecko, wolnymi niepewnymi krokami poszedł w stronę najbliższego rzędu zabudowań. Potknął się o coś niespodziewanie. Zerknął na ziemię i podniósł stary aparat. Całkiem niezły - Voigtlander Perkeo II. Średnioformatowy i składany. Przez chwilę obracał go w rękach, zastanawiając się skąd ma wiedzę dotyczącą tego modelu i po co w ogóle zajmuje się czymś takim jak podnoszenie aparatów z ziemi. Coś w środku mówiło mu, że to ciekawe znalezisko i warto się tym zainteresować; coś drugiego syczało żeby wyrzucił to gównem jak najdalej od siebie bo nic dobrego z tego nie będzie. Stał zdezorientowany wpatrując się w kamerę jak Hamlet w czaszkę Yorick'a, w końcu stanowczym ruchem wrzucił go do pobliskiego kosza na śmieci.

Wszedł do środka niedużej kawiarenki. Spojrzał na wiszący na ścianie kalendarz otwarty na czerwcu 1967 roku. Popatrzył w lustro wiszące obok i zobaczył w nim młodą, rudą dziewczynę o zielonych oczach i nosem usianym piegami.

— Wszystko w porządku kochanie? Nic ci nie jest? — tuż przed omdleniem zamajaczyła mu przed oczami zatroskana twarz kelnerki.

MAMIYA 6MF

2006

Oczywiście scena z wyrzucaniem starego, mieszkowego Voigtlandera w poprzednim odcinku, to wymysł zmęczonego, przytłoczonego wyimaginowanym tripem umysłu. Aparat zagościł w mojej kieszeni na tyle długo, bym zrozumiał, że targanie kłocowatego Hasselblada z kompletem szkieł to droga ku kalectwu. Nie minęło wiele czasu kiedy kupiłem dalmierzowy komplet Mamiyi 6MF; wszystko co fabryka dała: 50, 75 i 150 mm - całość mieściła się do niedużej torby Domke, wielkości połowy pudełka po damskich butach. Mały, lekki zestaw sprawił, że dostałem skrzydeł. Po niedługim czasie zorientowałem się, że 75-ka i 150-ka są mi do niczego niepotrzebne i przepakowałem resztę do przypaskowej sakwy. W tym momencie moja mobilność sięgnęła poziomu jakiego nie doświadczyłem od lat.

Przestałem skupiać się na artystycznych kadrach. Zacząłem ignorować nostalgiczne i romantyczne krajobrazy, a zwracać większą uwagę na zwyczajne, codzienne życie ulicy, które przemykało mi przed oczami. Oczywiście nie było to tak popularne później streetfoto, bo jak wszystkim wiadomo - i co podkreślają obecni mistrzowie gatunku - ta kategoria narodziła się dopiero koło 2010 roku.

Kupiłem dobre buty i zacząłem wycierać bruki mojego miasta; od czasu do czasu wypuszczać się poza Warszawę, a niekiedy uskuteczniać zagraniczne wycieczki. Samotne spacer, wakacyjne wypady z małżonką czy fotograficzne plenery organizowane przez fascynatów z pl.rec.foto i innych, podobnych grup zapełniały mi każdą chwilę wolnego czasu.

Kilka lat później, kumpel który przyłączył się do mnie na moment, wyprodukował, krótkie fotograficzne story z naszych wędrówek - kiedy próbowaliśmy policzyć, wyszło nam, że przeszliśmy razem ponad 1000 kilometrów.

— Ładny widoczek.
— Ładny.
— Fajnie się dymek unosi.
— Przyjdiesz jutro zrobić podobne?
— Pewnie!
— Mam nadzieję, że zaraz nie wyjdzie ktoś ważny i nie każe “nie fotografować”.

— Dobry wieczór.
— Dobry. A po co to?
— Tak, dla siebie.
— Aha.

— Ile naświetlasz?
— Pięć minut.
— Dym się ładnie rozwiewa.
— I tak go nie będzie widać. Tych facetów też nie.
— A światła samolotu?
— Pewnie lekko. Nikt nie zauważy.

— Ja pierdolę. bateria mi siadła.
— Po jednym zdjęciu?
— Tak. Za zimno jest. Naciskam spust i kupa. W instrukcji napisali, że to normalne.
— Kiszka.
— No - poczekaj zmienię.
— Masz zapasowe?
— Tak. Kuźwa jak zimno.

— Ja pierdolę.
— Co?
— Wypadły mi.
— W to siano?
— W błoto.

— Chyba widzę jedną.
— Małe gówna. Poczekaj. Jest druga. Co za dzień.
— Zmieniłeś?
— Yeap!

— Ja pierdolę.
— Co?
— Wężyk puszcza. Nie przytrzymałem spustu - klatka do wywalenia.
— Naciskaj mocniej.
— Naciskam. Kurwa! - następna.
— Jeszcze mocniej.
— Napieram jak mogę.
— Tylko z uczuciem.
— Co za pierdolony wieczór. Kolejna do kosza. Pieprzony wężyk.
— To z zimna.

— Ja pierdolę
— Co tym razem?
— Znowu się przyblokował.
— Dziwny jakiś ten aparat.
— Dobra starczy na dzisiaj.
— To zrobiłeś coś czy nie?
— Tylko za pierwszym razem.

— Ja pierdolę! Kurwa!
— Co?!
— Końcówka od statywu została w krzakach za siatką. Co się ryjesz?
— Nie ryję. Poważny jestem.
— Jasne.
— Masz?
— Mam, przykleję w domu, chodź.

— Ja pierdolę!
— Po co się wywracasz?

— Specjalnie się potknąłem o szynę żeby zapewnić ci rozrywkę. Może wystarczy przygód na dzisiejszy wieczór?

— Ja pierdolę!

— Co?!

— Zacisk od nogi mi w statywie pękł.

Kilka dni później, przedzierałem się przez chaszcze. Po kilku minutach wyszedłem z krzaków na ogródki działkowe, na których małe domki w przeważającej ilości były już małymi ruinami. Nagle na drodze pomiędzy działkami, nie wiadomo skąd, pojawił się chłopiec z dwoma psami.

— On nie gryzie — powiedział, kiedy jeden z nich podbiegł w moją stronę. Drugiego niósł na rękach.

— A tego czemu niesiesz? — spytałem.

— On nie lubi chodzić.

— Dlaczego?

— Bo nie — odburknął cicho i wtulił się w kundla. Zrobiłem zdjęcie.

— Mogę zobaczyć? — wyciągnął głowę w stronę aparatu.

— Nie ma — odpowiedziałem i pokazałem mu plecki kamerki.

Nie powiedział nic, ale wyraz zdumienia w jego oczach zdecydowanie przykrył rozczarowanie, które ledwo ledwo malowało się mu na twarzy.

Chodziłem, chodziłem, chodziłem - zdzierałem kolejne pary butów i zapelniałem swoje archiwum metrami szerokiego celuloideu.

— Za dużo niepotrzebnych słów, za mało bezużytecznych zdjęć; tracisz sens — powiedział mi kiedyś pies, przykuty do budy grubym łańcuchem.

Brnąłem coraz bardziej w otwierającą się wciąż przede mną pustkę. Wciąż mało, za mało; trzeba więcej - zdawało mi się, że próbuję nadrobić leniwość minionych lat. Nie zauważyłem jednak, że coraz częściej zaczynam uskuteczniać samotne wyprawy; coraz więcej ludzi zamiast pojawiać się przy mnie, lądowało przed soczewkami mojego obiektywu;

zdawało mi się, że istnieją tylko po to, by być moim tworzywem. Im więcej kilometrów pojawiało się na liczniku mojej smartfonowej apki, tym mniej głosów rozbrzmiewało wokół. Zorientowałem się, że nieświadomie wybudowałem wokół siebie niewidoczny mur i że jestem w czarnej dupie.

Dni bezpłciowo przelatwały między oczami: poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota czy niedziela - nie czułem żadnej różnicy. Nie czekałem z utęsknieniem na weekend, który w życiu każdego normalnego człowieka przynosi chwile spokoju i radości. Było to na tyle nienormalne, że aby już zupełnie nie stracić kontaktu z otaczającą mnie rzeczywistością, postanowiłem ruszyć dupę i zdobyć nowe, życiowe doświadczenie.

— Cześć! — zagadałem do nowego szefa działu foto w SE — Nie szukacie przypadkiem kogoś do pracy? Wakacje są, dorobiłbym sobie do kieszonkowego.

— A kim ty, kurwa jesteś i jak tutaj wlałeś? — zapytał niemo szef i dodał na głos otwierając szeroko oczy — Nie, raczej nie potrzebujemy nikogo.

— Na pewno? — nie poddawałem się — Nie jako fotoreporter. Może jakiś fotoedytor, archiwista, czyściciel sprzętu albo coś tam...

Szef przyglądał mi się coraz wnikliwiej. Zdziwiło go kiedy kilku wchodzących do pokoju fotografów, poklepało mnie po plecach jak starego znajomego.

— Znacie się? — usłyszałem w jego głosie ulgę i radość, że nie trafił mu się pacjent z wariatkowa.

— Tak. Pracowałem tu kilka lat temu w wakacje jako fotograf — czułem, że mogę coś ugrać — Jakby co to mogę odpuścić te drobniaki i popracować za free. Nauczę się może czegoś nowego. Ważne żeby w życiu zdobywać nowe doświadczenia; ważne żeby mieć odznakę.

— No dobra... — powiedział przeciągle, a na twarz wrócił mu grymas obcowania z niestabilnym osobnikiem. — Zostaw numer, odezwę się za kilka dni. Muszę teraz iść na kolegium.

Dałem mu namiar, pogadałem chwilę z kolegami i zszedłem piętro niżej do redakcyjnej stołówki. Żarcie w SE było wyśmienite i w cenach o połowę - jak nie więcej - niższych niż w najtańszych knajpach na mieście.

Tydzień później, za najniższą krajową, zacząłem pracę jako fotoedytor.

Robota była ciekawa. Przychodziłem do redakcji koło południa. Losowałem kategorię w jakiej będę danego dnia latał, i szedłem na kolegium, gdzie burza mózgów ustalała co danego dnia będzie na tapecie. Przelatywałem później po agencjach albo portfolio fotografów, w poszukiwaniu zdjęć nadających się do ilustracji wybranego artykułu; w przypadku newsów popędzałem fotoreporterów żeby nie ociągali się ze słaniem fot. Pod wieczór przekazywałem wszystko prowadzącemu, który był albo zadowolony albo nie. Następnie wszystko szło na skład, potem do drukarni a po północy kierowcy rozwozili zmęczonych dyżurantów do domu.

Najbardziej lubiłem kulturę i dział miejski; trochę mniej politykę a najmniej sport.

— Znajdź jakieś dobre zdjęcie żurawia — rzuciła mi za plecami dyżurna. Odpaliłem strony stockowych agencji i próbowałem wypatrzyć jakieś ciekawe, wyróżniające się fotografie ptaków. Wydrukowałem kilka z nich i zostawiłem jej na biurku.

— Pojechało cię człowieku? Co to jest?

— Żuraw. Chciałaś przecież zdjęcia żurawia.

Popatrzyła się na mnie wzrokiem podobnym do tego jakim zerkał na mnie kilka dni temu szef działu foto.

— Ty sobie kpisz ze mnie? — rozejrzała się wokół czy ktoś poza nią widzi ten niesłychany przykład bezczelności — Żurawski. Znasz? Piłkarz taki.

— Sorry, jasne — naciągnąłem na twarz maskę głupiego Jasia. — Coś mi się popieprzyło, wybacz.

— OK. Nie ma sprawy — pokiwała głową — Jeszcze jakieś sprężynki mi znajdź.

Spanikowałem. “Sprężynki”? Przelatywałem w mózgu przez moje nikłe zasoby sportowe. “Czy mamy jakieś sportsmenki o nazwisku kojarzącym się ze sprężynkami”? Mózg nie wywalał żadnych danych.

— Sorry, a dokładnie o kogo chodzi? — z lekka przerażony próbowałem żeby na moją gębę nie wypłynął chociażby najmniejszy grymas uśmiechu.

— Ty chyba naprawdę jesteś jakiś ułomny — westchnęła ze zrezygnowaniem — Sprężynki. Takie z metalu. Idź już...

Oddaliłem się z przegraniem w oczach. Jej i moich. Przeszukałem bazę zdjęć, znalazłem zdjęcia Żurawskiego i sprężynek. Nazajutrz zobaczyłem w artykule zgrabny fotomontaż, na którym zamiast nóg, piłkarz miał odpowiednie protezy.

Tak. Moje umiejętności nieradzenia sobie ze sportem w krótkim czasie stały się legendarne.

— O kurwa, byleby tylko nie on... — ledwo słyszalny szept zniechęcenia, delikatny jak trzepoczące skrzydła motyla, przelatywał przez usta prowadzących, którzy dostrzegali mnie na redakcyjnych kolegiach.

Zupełnie inaczej szło mi w pozostałych działach. Może dlatego, że znałem miasto, czułem jego tkankę, wiedziałem jak wygląda Doda czy Michał Wiśniewski, i orientowałem się kto jest ówczesnym prezydentem Polski. Poza dniami kiedy dostawałem sport, czas w SE biegł całkiem znośnie, wręcz przyjemnie. W newsroomie było głośno, gwarnie i śmiesznie. Zupełnie jak w amerykańskich filmach, którymi jarałem się dekadę wcześniej. Wakacje minęły jednak szybko i pewnego wrześniowego dnia, szef wezwał mnie na dywanik.

— Musimy ciąć koszty — powiedział nie patrząc na mnie, skupiony na przeglądaniu jakichś ważnych papierów — Mam nadzieję, że dorobiłeś sobie do kieszonkowego w te wakacje.

Nie wiem czy błagałem go na kolanach, czy podszedłem do końca mojej redakcyjnej przygody całkiem na luzie. Następne co pamiętam to jak stoję w kiblu i myję ręce po sikaniu.

— Kto robi w przyszłym tygodniu kulturę? — zagadał kierownik tegoż działu.

— Nie wiem, na pewno nie ja — odpowiedziałem zerkając na niego przez lustro.

— Nie? Dlaczego?

— Dzisiaj jestem ostatni dzień w robocie, zaraz wychodzę i już nie wracam.

— Jak to? — papierowy ręcznik zatrzymał mu się w rękach.

— Normalnie. Cięcie kosztów — wzruszyłem ramionami i opisałem koledze wcześniejszą rozmowę z szefem.

— Poczekaj chwilę — dokończył wycieranie rąk i sięgnął po komórkę.

— Jesteś jeszcze czy już wyszłaś?

— ...

— To wróc na chwilę — krótkimi słowami wyłuszczył swojej zastępczyni w czym rzecz.

— Żeż kurwa najlepszego człowieka mi wyrzucają — rzucił wychodząc z ubikacji — Poczekaj w dziale, ok? Pójdę na górę i zobaczmy co i jak.

Poczułem się mega doceniony. To wspaniałe uczucie, kiedy ktoś poświęca swoją energię i czas by zatrzymać cię przy sobie. Może jestem tylko trybikiem w maszynie, ale ta maszyna nie będzie dobrze funkcjonować beze mnie. Niestety z wstawiennictwa nie wyszło nic. Cięcia kosztów wygrały z trybikiem. Kiepsko, że nie pamiętam imienia i nazwiska kolegi, który poszedł się o mnie wykłócać. Mam go oczywiście na zdjęciu, ale jak się nazywał..? Tak czy siak... Gdyby jakimś cudem to przeczytał - wielkie dzięki.

Znowu zostałem bezrobotny. Jako, że nie byłem już artystą nie był to powód do dumy. Mimo, że dalmierzowa Mamiya zaspokajała moje wszystkie potrzeby, w najbliższą niedzielę udałem się na zakupy do Stodoły. Ku pocieszeniu kupiłem sobie najbardziej biżuteryjny aparat jaki miałem w życiu. Mały, tytanowy kompakt Nikona, który hipnotyzował swoimi magicznie obracającymi się wskazówkami. Samo patrzenie jak z gracją mechanizmu luksusowego Patka, przeskakują na cyferblacie, dawało więcej przyjemności niż robienie zdjęć. I niestety do tego sprowadziła się w praktyce jego używalność. Po przekręceniu dwóch rolek, zaczął odstawiać dziwne nieprzewidywalne fochy. Wyłączał się w połowie filmu, nie chciał wysunąć obiektywu, dopiero wyjęcie baterii a niekiedy zwinięcie całego negatywu pozwalało na wyrwanie go z letargu. Po kilku telefonach do serwisu, okazało się, że rzecz jest nienaprawialna.

Wrzuciłem go więc do szuflady z obietnicą, że wypatroszę kiedyś z niego magiczny cyferblat i zrobię z tego bransoletkę.

Minęło lato, liście pospadały z drzew i zaczęła dopadać mnie jesienna deprecha. Uliczny gwar ciepłego dnia ucichł a ja poczułem tęsknotę za szumem redakcyjnego newsroomu.

— Hmm... Więc pracował pan w Super Expressie? — dyrektor agencji East News wpatrywał się na mnie badawczo znad biurka — A czemu nie przyniósł pan CV?

— Niewiele tam mam do wpisania, szybciej to wszystko wyrecytuję z pamięci — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Był to schyłek czasów kiedy korporacyjność nie weszła jeszcze do branży i można było odrobinę pokozaczyć.

— Hmm... No dobrze. Odezwiemy się. Dziękuję — zakończył rozmowę nie sprawiając wrażenia, że jest zainteresowany nowym pracownikiem. Tym bardziej zdziwiłem się, kiedy kilka dni później zacząłem pracować w agencji.

Robota była fajna. Zrywałem się przed świtem żeby na 7:00 rano zdążyć przed firmowy komputer. Ściągałem ze światowych serwerów paczki zdjęć, przeglądałem je i wybierałem te, które trafiały do agencyjnego serwisu. Przewalałem w ten sposób około 10.000 kadrów dziennie. W końcu dowiedziałem się kto to jest ta Paris Hilton i z jakiego filmu jest sławna. Osiem godzin zlatywało jak z bicia strzelił. O 15:00, mijając zazdrosne spojrzenia koleżanek, wychodziłem z roboty i łapałem ostatnie promienie zimowego słońca. Czynność była tak mantryczna i wciągająca, że nie zauważyłem nawet jak przesiedziałem tam trzy lata. Nie przeszkadzało mi nawet to, że EN nie był pełnoprawną redakcją; że brakowało w niej latających w powietrzu, głośnych niecenzuralnych słów, trzymania nóg na stole, czy przyzwolenia na jedzenie przy biurku. Bądź co bądź, podobno - jak w tej mało znanej piosence - ciszą też można się cieszyć.

Mimo, że dalmierzowa Mamiya sprawdzała mi się znakomicie, z zazdrością patrzyłem na torby kolegów, w których coraz częściej zaczęły pojawiać się cyfrowe lustrzanki. Kiedy podczas wspólnych plenerów cyzelowałem każdy kadr, kumple obskakiwali motyw z każdej strony, trzaskając dziesiątki różnych ujęć.

— Co mam myśleć, bawić się chcę. Pomyślę wieczorem jak będę zrzucał focie z karty — przyznaję, że było w takiej filozofii fotografowania coś pociągającego.

Nie chciałem wydawać kasy na pełnoprawny półprofesjonalny sprzęt, więc mimo wcześniejszego rozczarowania dwumegapikselową Minoltą kupiłem następną cyfrową małpę. Trzy razy większa rozdzielczość, no i kolory z których ówczesnie słynęło Fuji pokusiło mnie na tyle, że nie zauważyłem braku możliwości fotografowania w RAW-ach. Przyznaję zresztą, że nie miałem nawet wtedy pojęcia o istnieniu czegoś takiego jak RAW, Aperture, czy wchodzący dopiero na rynek adobowy Lightroom. Pocykałem kilka fot na imprezach i z pełnym przekonaniem, że cyfra to gówno, rzuciłem do szuflady. OK - jedyny pozytywny aparat to filmy o mega rozdzielczości 640x480 bez 35. sekundowego ograniczenia długości jak w moim ostatnim cyfrowym modelu. Wykorzystując darmowego, applowego iMovie zasmakowałem ćwierćprofesjonalnego montażu.

W otoczeniu powoli zaczęły rozpychać się media społecznościowe. Usenetowe grupy, fotograficzne blogi i fora zaczął zastępować Facebook a za rogiem czaił się Instagram. Pojawił się pierwszy iPhone, a aparaty w smartfonach, niczym czarna dziura, zaczęły wciągać coraz więcej ludzi we wspaniałą przygodę zwaną fotografią.

OLYMPUS PEN D

2008

Były to czasy kiedy co każdy krótszy czy dłuższy urlop ganiałem do Berlina na fotograficzne streetowanie. Warszawa wydawała mi się mało ciekawa, a stolica Niemiec kusila swoją etniczną różnorodnością, fotograficznymi komisami, leicastorem przy Kudammie, muzeum Helmuta Newtona na Jebenstrasse czy ociekającym białym sosem, tureckim kebabem. Przemykałem zaułkami i łapałem kawałki świata na kwadratową klatkę TRI-Xa. Zaprogramowany przez filmy Wima Wendersa, szukałem aniołów wsłuchujących się w moje myśli, rozglądałem się za wychudzonym Davidem Bowie, za zmęczonym heroinowym ciągiem Nickiem Cavem, za Peterem Falkiem popijającym kawę w przyulicznym, prowizorycznym bistro, czy chociażby za zwyczajnymi duchami w metrze.

Cyck, cyk, cyk - zmęczony naciskaniem migawki przystanąłem przy sprzedawcy pikantnych kiełbasek. Czekaając na jedzenie błądziłem okiem po zaparowanych szybach budki. W pewnym momencie mój wzrok padł na nieduże zdjęcie młodego Elvisa Presleya w wojskowym mundurze, obok którego z szerokim uśmiechem na ustach, przeżył się młody chłopak. Podniosłem aparat żeby przefotografować odbitkę, kadrując równocześnie starszego sprzedawcę w tle. Nie uszło to jego uwadze i po chwili zobaczyłem jak mocuje się z drzwiami.

— Będzie zjebka — pomyślałem, próbując przypomnieć sobie jak jest po niemiecku “przepraszam”.

— King, King — wyrzucił z siebie dziadek śmiejąc się od ucha do ucha. Odetchnąłem z ulgą, bo jedyne słowa jakie udało mi się przypomnieć po niemiecku to “Nicht schiessen”.

— King, King — nakręcał się dalej starszy mężczyzna — Und... — zaczął wskazywać na siebie palcem. — Eine moment — nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć zniknął w budce, by po chwili wyłonić się z niej z gorącymi kiełbaskami i plikiem odbitek w zębach. Wcisnął mi talerzyk z jedzeniem w ręce i zaczął żonglować przed moimi oczami starymi,

poplamionymi i powycieranymi fotografiami. Słowa leciały mu z ust z prędkością serii z dobrze naoliwionego Mausera. Przyznaję, że nie rozumiałem nic, ale żal było przerywać jego radosny wybuch wspomnień, tym bardziej, że nie mogłem odpowiedzieć, bo usta miałem zapchane kiełbasą. W pewnym momencie, sprzedawca zreflektował się, że przed budką czeka kolejka głodnych klientów. Poklepał mnie po ramieniu i wrócił do swoich obowiązków. Dojadałem currywurst, co jakiś czas pokazując mu przez szybę skierowany w górę kciuk. Szkoda, że nie znałem niemieckiego, miałbym pewnie ciekawą historyjkę do powtórzenia.

Skończyłem, pożegnałem się z nim wzrokiem i ruszyłem po następne kadry. Kilka stacji metra dalej, uświadomiłem sobie, że w tym całym radosnym momencie nie wcisnąłem spustu migawki. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie wrócić, ale zrobiło się późno a nogi zmęczone całodniowym szwendaniem odmawiały posłuszeństwa. Ledwo żywy wróciłem do hotelu i padłem bez czucia na łóżko.

Budzący promień letniego słońca wpadającego przez okno, szukał na mojej twarzy nastoletnich pryszczy. Dzień zapowiadał się miło. Przed hotelem, jak w każdą sobotę odbywał się wielki pchli targ. Zwlokłem się z łóżka, wymyłem zęby i wyszedłem na polowanie. Krążyłem między straganami próbując wyłapać ciekawy kadr i nie patrzeć na fotograficzne zabawki migocące mi co chwila przed oczami. Czułem się jak anonimowy fotografik; wiedziałem, że jeśli chociażby na chwilę wezmę jakiś nowy aparat do ręki, pograżę się w sprzętowym nałogu.

— Panie fotografik, panie fotografik! — doleciało mnie z chowającego się w cieniu, dziwnego namiotu.

— Pan wejdzie, ładny aparat mam, nie dla każdego. Pan wejdzie. — Zaleciało klimatem starej książki o wilkach, którą czytałem w młodości. Opierałem się przez chwilę, ale damska, pomazana tatuażami z henny ręka, wciągnęła mnie do środka. Rozejrzałem się po wnętrzu. Letnie słońce, które budziło mnie rano, przenikało przez muślinowe i jedwabne, kolorowe zasłony, tworząc niesamowity orientalny klimat; zapach kadzidełek sprawiał, że czułem się jakbym odbył długą podróż do

egzotycznej krainy. Naprzeciw mnie stała niemłoda, ale wciąż emanująca erotycznym blaskiem kobieta, w typie Moniki Bellucci.

— Patrz jaki piękny — delikatnymi ruchami sięgnęła do błyszczącego się złotymi okuciami kuferka i wyciągnęła z niego japońskie cudeńko.

— O Olympus PEN D — próbowałem zrobić na niej wrażenie człowieka, który zna się na rzeczy.

— Taki ładny, kup panie, niedrogo. — Jej zmysłowe dłonie muskały małą aparat w taki sposób, że przez chwilę chciałem zamienić się z nim miejscami.

— Nie, nie potrzebuję nowego sprzętu — wiedziałem, że nie mogę ulec pokusie — Mam już czym robić zdjęcia.

Przez twarz kobiety przebiegł dziwny gest przerażenia a jednocześnie zadowolenia.

— Nigdy! — krzyknęła — Nigdy nie możesz robić nim zdjęć!

— No to po co mi on? — chciałem spytać przytomnie, ale naszą transakcję biznesową przerwało nagłe wtargnięcie wzburzonego mężczyzny.

— Co jest do kurwy nędzy, scheisse!? — typ o bliskowschodniej urodzie złapał mnie za koszulę i przyciągnął moją twarz do swojej.

— Nic. Pani próbowała...

— Co próbowała, scheisssssse? — zasyczał groźnie — Co próbowałaś z tym dupkiem Aisza?

— Pan przyszedł, chciał sprzedać aparat — odpowiedziała złęczona kobieta.

— Aparat, kurwa? Jaki aparat?! — mężczyzna nakręcał się z sekundy na sekundę, jednak kiedy Aisza Bellucci położyła rękę na jego ramieniu spotulniał i spojrzał na nią wzrokiem pełnym miłości.

— To ja już sobie pójdę — próbowałem wycofać się z niezręcznej sytuacji.

— Idź kurwa, idź — powiedział facet całkowicie spokojnym głosem — Tylko zabierz ze sobą to gówno — wcisnął mi do ręki małego Olympusa.

Nie chciałem protestować i tłumaczyć, wsunąłem więc aparat do kieszeni i ulotniłem się czym prędzej. Nie miałem już ochoty na zdjęcia. Poszedłem do hotelu i nazajutrz wróciłem do Warszawy. Wywołałem filmy z Berlina, zeskanowałem i wrzuciłem na fejsbukowego fanpejdza czekając na lajki. Pochłonięty czytaniem komentarzy, zupełnie zapomniałem o moim nowym aparacie i dziwnym zdarzeniu w dziwnym namiocie.

Minęło lato, jesień powoli zaczynała wdzierać się w ulice Warszawy; jak w tym ówczesnym powiedzeniu: Drzewa pozbywają się swych liści, już niedługo w plener wyjdą nowodokumentaliści.

Zupełnie zapomniałem o moim nowym gadżecie, który od wakacji leżał w stercie podróżnych toreb. Wygrzebałem go z trudem i postawiłem przed sobą na biurku. Nie wyglądał jakoś szczególnie. Owszem, ładny, mały - nie większy od kostki mydła; ciężki i zwarty, przypominał o czasach kiedy sprzęt foto nie rozsypywał się zaraz po gwarancji. Jasny standardowy obiektyw pełen szklanych soczewek dawał nadzieję na dobrą jakość zdjęć; selenowy - o dziwo, wciąż działający światłomierz - mierzył światło z dokładnością do najmniejszych, ledwie podzielnych części nanosekund. I co najważniejsze - połówkowy format, dający 72 zdjęcia na filmie, pozwalał poszaleć bezkarnie na ulicy.

Załadowałem do niego czarno-białą czterysatkę i poszedłem pobuszować po stolicy. Fotografowało mi się tak dobrze, że mimo podwójnej ilości klatek, skończyłem negatyw w niecałą godzinę. Wróciłem do domu, wywołałem go, pociąłem, wsadziłem w koszulkę i położyłem na kupce czekającej w kolejce do skanowania. Nazajutrz zająłem się codziennymi obowiązkami.

Przyszła zima. Ochota na ganieć po ulicach minęła mi zupełnie, więc zająłem się sesjami kolegów i koleżanek w prowizorycznym studio, zrobionym w śródmiejskiej mansardzie z pięknym, niczym nie zakłóconym widokiem na PKiN. Chociaż... Może "sesje" to zbyt poważne słowo na cyknięcie kilku klatek, kończących się szybko rozmowami, jedzeniem i piciem do samego rana. Zaczynałem powoli rozumieć, że w byciu artystą nie ważne są zdjęcia a grono serdecznych ludzi wokoło.

Któregoś wieczora, po osuszeniu ostatniej butelki wina, kumpel zaczął odruchowo przeglądać leżące na podświetlarce negatywy.

— O! Zacząłeś fotografować pustkę? — rzucił nie odrywając lupki sprzed twarzy.

— Pustkę? W jakim sensie? — podszedłem zaciekawiony. Pochylił się nad półklatkowym negatywem z mojego jesiennego streetowania.

— Tutaj — pokazał palcem — Puste ulice, zero ducha na zdjęciach. Kiedy to robiłeś? O świcie czy jak?

— Nie przypominam sobie — przejąłem od niego lupę i zacząłem przeglądać klatka za klatką. Rzeczywiście. Na żadnym zdjęciu nie było śladu człowieka. Przecież to nie możliwe. Pamiętam, że łapałem konkretne sceny; przechodnie mijali mnie w tłumie jak w normalnym dniu, w godzinach szczytu — Nie rozumiem stary, robiłem typowego streeta. Wiesz - akcja, trochę subtelnej anegdoty, czasem jakieś plecy...

— No to raczej cienko ci to wyszło — westchnął i padł nieprzytomny na sofę.

Zaciekawienie i zaintrygowanie wywiały ze mnie resztki alkoholu. Przysiadłem do skanera i zacząłem skanować feralny negatyw. Klatka za klatką - faktycznie, ulice pełne ludzi wyglądały teraz jak z jakiegoś fantastyczno-naukowego filmu o ostatnim człowieku na ziemi. Nie było nikogo. Żadnej żywej duszy. Nikogo na ulicach i co dziwne, nikogo w przejeżdżających samochodach.

— Może jeszcze jednak nie wytrzeźwiałem i to zwyczajny pijacki zwid? — pomyślałem i zrobiłem sobie test jaskółki — Co jest grane? O co chodzi? Przecież aparat nie mógł popsuć się w ten sposób?

Przypomniałem sobie, że mam w nim jeszcze niedokończony negatyw z sesji z Andżeliką, którą robiłem jakiś czas temu. Sięgnąłem do szuflady, wyciągnąłem kamerkę i wyjąłem z niej film. Poszedłem do ciemni. Włożyłem do koreksu i zacząłem bełtać. Zupełnie zapomniałem o tych połówkowych kadrach. Normalne średnioformatowe zdjęcia, wywołane i zeskanowane, wrzuciłem już dawno na fejsa.

Andżela pojawiła się w naszym towarzystwie całkiem niedawno. Piękna dziewczyna, zakręcona na maksa na lata 70. Mimo, że ledwo

przestała być nastolatką, nie znajdowała przyjemności w obcowaniu ze swoimi rówieśnikami. Wzdychała do starych filmów, starych książek i kapel rockowych z drugiej połowy XX wieku. Szczególną estymą darzyła Micka Jaggera. Wytatuowała sobie na ramieniu charakterystyczny wywalony, czerwony jęzor, otoczony infantylnym tekstem “Only You, Mick!”. Przyznaję, że robiliśmy sobie z niej bekę na imprezach, bo kiedy tylko puszczaliśmy jakiś kawałek Stonesów, wchodziła w błogie uniesienie, kołysząc się z boku na bok jak w transie. Przy całej śmieszności sytuacji, była przy tym tak urocza, że całe towarzystwo milkło i z konieczności wsłuchiwało się w zawodzenie zmanierowanego wokalisty.

Minutnik przerwał wspominki. Wyciągnąłem negatyw z koreksu, utrwaliłem, przepłukałem na szybko i powiesiłem do wyschnięcia. Rzuciłem na niego okiem i zobaczyłem, że Andżelika wdzięczy się rozkosznie przed obiektywem, z dumą prezentując swój ukochany tatuaż.

Po godzinie zdjąłem wysuszony negatyw, pociąłem go na kawałki i położyłem się zmęczony na łóżko.

Obudziliśmy się rano z tradycyjnym kacem we łbie. Poszedłem do kuchni i zacząłem robić kawę. Jej zapach wyrwał kumpla ze snu.

— Ale mnie łeb napierdala — skrzywił się patrząc na zaśnierzony pałac za oknem. — Masz coś na ból głowy?

— Bo pić to trzeba umieć — podałem mu tabletkę z krzyżykiem.

— Umiem, umiem, tylko jakoś wczoraj mnie zmorzyło — usprawiedliwiał się nieporadnie.

— Ale pamiętasz ten negatyw z pustymi ulicami? — spytałem.

— No... — kiwnął głową jakby wiedział o co chodzi ale jego spojrzenie mówiło, że nie otworzył sobie jeszcze wszystkich kłapek w mózgu.

— Ten z małymi klatkami - street bez ludzi, którzy powinni na nim być.

— No — klapki powoli zaczęły się otwierać — I co z nim?

— Przypomniałem sobie, że miałem jeszcze niedokończony film w aparacie z sesją Andželiki.

— No i, no i? — wiatr zaciekawienia targał mu już okiennicami na całego — Widać coś? Znaczy ją?

— Tak. Pręży się uroczo jak to ona — powiedziałem i biorąc kubek z kawą poszedłem do biurka — Zobacz.

Wziąłem negatyw do ręki i poczułem jak zimny dreszcz przechodzi mi przez ciało. Klatki były puste. Adżela zniknęła, zostawiając po sobie pusty fotel, sofę i krzesło. Wrzuciłem film do skanera, myśląc, że może wyciągnie ją z powrotem, ale kadry wciąż wyglądały jak z nudnej homestagowej sesji.

Spojrzeliliśmy po sobie niepewnie. Chwyciłem telefon i wybrałem numer dziewczyny.

— Abonent jest chwilowo niedostępny, albo nie ma takiego numeru — usłyszałem komunikat. Wykręciłem jeszcze raz, i jeszcze raz.

— Może ja spróbuję? — zaproponował kolega wyciągając swojego smartfona. Niestety jego próby okazały się tak samo bezowocne.

— Kurwa! Dziwne to — wyrwało mi się z niepokojem.

— Nie panikuj. Zjem coś pod drodze i zaraz do niej poskoczę. Może nie zapłaciła rachunku albo co?

— OK — odpowiedziałem ciesząc się, że nie siedzę w tej dziwnej sytuacji sam.

Zaraz po wyjściu przyjaciela, wziąłem aparat do ręki i zacząłem przyglądać mu się dokładnie. Wyglądał całkiem zwyczajnie. Nie wzbudzał niepokoju, nie wydawał z siebie dziwnych dźwięków - zwyczajny, stary Olympus. Sięgnąłem po zestaw śrubokrętów i zacząłem demontaż mając dziwną nadzieję, że odkryję coś w środku. Rozebrałem go na tyle na ile dałem radę, ale nadal nie zauważyłem w nim niczego niezwykłego. Zacząłem składać wszystko na swoje miejsce i przykręcać małe śrubki. Wciąż wyglądał zwyczajnie.

Usiadłem przed kompa i odpaliłem fejsa. Wpisałem imię i nazwisko Andželiki, ale nie znalazłem nic. Jakby nigdy nie miała konta. Sprawdziłem instagrama - przecież pamiętam, że wrzucała tam zdjęcia,

które jej dałem, ale nie miałem jej już w obserwowanych. Zdesperowany, zacząłem googlać po staroświecku. Nic. Jakby w ogóle nigdy nie istniała.

Trzy godziny później wrócił kumpel.

— No i co byłeś u niej?

— Byłem — odpowiedział, ale minę miał niewyraźną.

— I co? Mów? Spotkałeś się z nią?

— Stary, dziwna sprawa. Otworzyła mi jakaś babcia z wnuczkiem na rękę. Kiedy zacząłem się dopytywać, powiedziała, że żadna taka dziewczyna tu nie mieszka; że to jej mieszkanie od 60 lat, nigdy nikomu go nie wyjmowała, wychowała tu syna, a nie córkę i poza letnimi czy zimowymi wypadami na wczasy, nigdy nie wyjeżdżała stamtąd na dłużej.

— Sprawdziłem net — podzieliłem się rezultatem swoich poszukiwań.

— Poczekaj, spróbujemy jeszcze czegoś innego — popatrzył na mnie i chwycił za telefon.

— Weronika? No cześć. Sorry, że dzwonię tak znienacka, ale nie mogę załapać Andżeli. Nie wiesz co u niej?

— ...

— No Andżela, ta od Stonesów.

— ...

— Jak to nie znasz? Swojej najlepszej kumpeli nie znasz?

— ...

— Dlaczego wydurniam? Pytam, bo mam do niej konkretną sprawę i...

— ...

— Nie, nie robię sobie z ciebie idiotki. Sorry, muszę kończyć - popatrzył na mnie przerażonym wzrokiem

— I co teraz teraz? — spytałem?

— Nie wiem mordo, nie wiem. Dziwna sytuacja — kumpel zadzwonił jeszcze do trzech innych znajomych, ale rezultat był podobny jak za pierwszym razem.

— Może jeszcze śpimy zwaleni po wczorajszym i to jakiś pojebany sen? — klapnęliśmy na podłogę próbując zrozumieć coś z tego wszystkiego. Czary czy kosmici? Rzucaliśmy jakimiś nierzeczywistymi

pomysłami, mając nadzieję, że zagłuszemy w sobie męczące poczucie niepokoju. Zgłosić to komuś, zawiadomić policję?

— Zadzwoń i co powiesz? Zgłosisz zaginięcie osoby, która nigdy nie istniała?

— No dobra, ale skoro nigdy nie istniała i nikt ze znajomych jej nie pamięta, to dlaczego my ją pamiętamy? — zastanawiałem się na głos.

— Nie wiem — wzruszył ramionami.

— Albo obaj dostaliśmy jakiejś psychozy, albo musi to być związane z tym aparatem — jedynie my dotykaliśmy negatywów.

— Wiesz co? — przyjaciel wyglądał jakby wpadł na pomysł stulecia — Może zadzwoń do profesora Dragana? Fizyk kwantowy, sam fotografuje. Może to jakoś ogarnie?

— Może, zawsze jest jakieś może — poczułem się totalnie zmęczony. Kolega poczuł chyba to samo, bo zaczął rozglądać się milcząco po mansardzie.

— Zmywam się stary. Odczekajmy. Zobaczymy jak się to ułoży — poradził zakładając płaszcz — Pogadamy za parę dni.

Minęło trochę czasu. Zima zaczęła odpuszczać. W Parku Świętokrzyskim pojawiły się pierwsze przebiśniegi. Pamięć o nieistniejącej Andżeli powoli zaczynała zanikać. Tak łatwo zapomnieć o kimś kto nigdy nie istniał. O kimś, o kim nikt nie wspomina w towarzystwie; o kimś kogo posty nie pojawiają się na społecznościówkach. To tak łatwo przychodzi.

Zacząła się wiosna. Zaraz zacznie się sezon na streetowanie. Zawładną mną subtelne anegdoty... Swoją drogą — czemu każdy jara się subtelnymi anegdotami a ma wywalone na subtelne dramaty? Przetarłem wszystkie aparaty z kurzu, kompulsywnie omijając małego Olympusa. Streetowałem. Kompulsywnie. Jak narkoman w ciągu.

Kumpel, którego imienia już nie pamiętam, zadzwonił do mnie pewnego upalnego, letniego dnia.

— Cześć mordo! — zarechotał do słuchawki — Masz chwilę? Jestem u ciebie pod chatą, mam nieziemskie nowiny.

— Mam. Wpadaj — wcisnąłem przycisk domofonu, kiedy zadzwieczał po kilku sekundach.

— Stary, ale jazda — przyjaciel wpadł podjarany jakby trafił szóstkę w totka.

— No? Co się stało? — czekałem aż emocje opadną i uspokoi się na tyle, żeby przejść do konkretów.

— Pamiętasz Andżelę? — spytał patrząc na mnie niepewnie.

— Tak, pamiętam — odpowiedziałem, nie dodając, że już prawie całkowicie znikła z mojej głowy. Że próbuję nie zapomnieć, ale z dnia na dzień jest to coraz cięższe; jakbym walczył z jakimś szalonym twórcą, który wielgachną gumką od ołówka próbuje przeczyścić mi mózg.

— To patrz mordo. Wpadła mi ostatnio biografia Stonesów, widzisz — zobaczyłem jak wyciąga z plecaka obcisłe tomisko.

— No i? — czekałem na dalszy ciąg.

— Pamiętasz jej zajawkę na ten stary szajs z lat 70.?

— Trudno nie pamiętać. Miała pierdolca na tym punkcie, jak mało kto na cokolwiek.

— No to zobacz na to, mordo! — zaczął kartkować książkę otwierając ją na stronie z wielką fotografią — Widzisz?

— Co mam widzieć? Jagger z jakąś panną.

— Weź, popatrz dokładnie! — zachnął się wskazując palcem na ramię tulącej się do Micka dziewczyny.

Zobaczyłem tatuaż, z trudnym do zapomnienia napisem “Only You, Mick!”. Przyjrzałem się uważniej. Funfel wychwycił moje spojrzenie, bo zatriumfował wzrokiem.

— Ta sama, nie? Tylko dziesięć lat starsza! Rozumiesz stary? Ta piosenka - “Angie”...?

— Ale jak? — poczułem, że trauma sprzed pół roku wraca — Jakim cudem?

— Nie wiem jak. Mogłeś zadzwonić do profesora Dragana, może by ci to konkretnie wyjaśnił. Ja czytałem, w jakimś poradniku, że są rzeczy na świecie, o którym się filozofom nie śniło, fizyków to chyba nie dotyczy?

— A Mariane Faithfull? Bianca, Jerry Hall i następne?

— Nie ma. Zero. Jedna laska od początku lat 70. Widzisz - na złe jej to nie wyszło! Poczytaj se sam — rzucił książkę na stół i nim zdążyłem powiedzieć cokolwiek zniknął za drzwiami.

Zacząłem czytać. Faktycznie. Zgadzało się wszystko poza kobietami. Widać było, że gdzieś w alternatywnej rzeczywistości Angie postawiła na swoim. Może nie zrobiłem nic złego? Może to ten aparat co wciąż zła pragnąć, wciąż... Bredzę. Błąkam się po labiryncie niespełnionych życzeń wpadając w poetycką ekstazę romantycznych poetów.

Nagle z radia doleciały mnie słowa znanej piosenki.

*Pleased to meet you
Hope you guess my name
But what's puzzling you
Is the nature of my game*

Jak zahipnotyzowany sięgnąłem pod małego Olympusa. Somnabulicznymi ruchami ustawiłem go na statywie. Nastawiłem ostrość na fotel na przeciwko, usiadłem na nim i wziąłem do ręki długi wężyk, a potem delikatnym ruchem wcisnąłem go jak mogłem najmocniej.

OLYMPUS PEN FT

2008

No i kupa. Nie przeżyłem żadnej podróży w czasie. Aparat nie przeniósł mnie do momentów największej świetności fotografii, muzyki i kina. Może to dlatego, że popsulem go podczas rozbierania, a może ta cała historia z poprzedniego rozdziału była tylko pijackim zwidem albo bajaniem zmęczonego umysłu. Kto wie?

Jeśli nawet istnieją jakieś alternatywne rzeczywistości, to z pewnością do przenikania pomiędzy nimi nie wystarczy małe, japońskie gówny wyprodukowane ponad 60 lat temu... Chyba...

Mały format średnio nadawał się do poważnej fotografii. Jednak nim odpuściłem, któregoś wieczora przyszło mi do głowy, że można połączyć kilka małych klatek i zrobić prawie średnioformatową panoramkę. Co prawda w kadrze zostawały specyficzne pionowe pasy, ale nadawało to zdjęciu iście artystycznego sznytu. Wszedłem w temat głębiej. Po kilkudniowym przeklikiwaniu ebaya, kupiłem małego zgrabnego Olympusa PEN FT. Zrobiłem na szybko testową rolkę w warszawskich Łazienkach, i faktycznie - okazało się, że był to strzał w dziesiątkę. Razem z perforacją i cyferkami na krawędzi filmu, fotografia wyglądała jak przemyślany do głębi artystyczny projekt. Pozostało tylko dopasować treść do formy. Najlepiej na jakimś przyjemnym w dotyku plenerze.

Okazja nadarzyła się szybko.

— Cześć! — charakterystycznego, zmęczonego głosu Bożenki nie dało pomylić się z niczym innym. No może poza wiertarką udarową, puszczoną na wolnych obrotach i od tyłu.

— Cześć Bożena — odezwałem się z lekkim niepokojem, bo telefony od niej kończyły się zawsze bólem głowy. — Co u ciebie? Co słychać?

— Gówniaka byś wziął do siebie na weekend — rzuciła prosto z mostu.

Zdziwiłem się, bo owoc naszej namiętności sprzed nastu lat, pozostawał dla mnie zawsze owocem zakazanym. “Sama sobie wychowam, z jednym dałam radę to i drugi mnie nie odstraszy, a następnego tatusia mi w domu nie potrzeba.” Bożenka miała ciężkie życie i zawsze pod górkę, była też zadeklarowaną, silną feministką, więc jakakolwiek dyskusja, stawianie oporu czy posiadanie własnego zdania wpadało do szufladki z napisem “męski szowinizm”. Jako, że sam byłem ledwo wyrośniętym nastolatkiem, darowałem sobie ojcostwo i moje kontakty z synem mogłem policzyć na palcach jednej ręki - obowiązkowe chrzciny, komunია i dwa przyjęcia urodzinowe, na których sam nie wiem jakim cudem się znalazłem.

— Ale przecież zawsze mówiłaś, że mam się nie wpierdalać w twoje metody wychowawcze — mimo, że rozmawialiśmy przez telefon, poczułem na sobie zimne spojrzenie Bożenki.

— Bierzesz bombelka czy nie? Jadę z narzeczoną do Włoch, więc masz okazję wykazać się jako tata.

— Z narzeczoną? Fajnie. Znalazłaś w końcu miłość swojego życia?

— Bierzesz czy nie? — słuchawka zamarzła mi w ręku.

— Oczywiście, z przyjemnością.

— Dobra, to w najbliższą sobotę o 6:00 rano. Zaraz wyślę ci adres — rozłączyła się uznając rozmowę za skończoną.

W sobotni poranek podjechałem pod wskazane miejsce. GPS pokierował mnie w jedną ze spokojnych uliczek Konstancina. Brama do posesji była już otwarta. Wjechałem na podjazd podziwiając kunszt architekta i nieograniczone zasoby finansowe właściciela. Ostatnim miejscem zamieszkania Bożenki jakie znałem to kawalerka na warszawskiej Ochocie, zrozumiałem więc od razu jak ciężko było oprzeć się nowej miłości. Przed wejściem, wystawiony jak niepotrzebny już nikomu mebel, stał nastolatek wpatrzony w ekran smartfona.

— Cześć Franciszek — wysiadłem z auta i uśmiechnąłem się do syna.

— Franz, nie Franciszek — oderwał wzrok od małego pudełka i spojrzał na mnie beznamiętnie.

— Mama nie wyjdzie? — spytałem zerkając po oknach.

— Nie. Pakuje się i powiedziała, że nie ma czasu na jakieś bzdety.

— OK. No to jedźmy — powiedziałem i wrzuciłem jego plecak do bagażnika. Wsiadł do środka, nie wypuszczając telefonu z ręki. Ruszyliśmy.

Samochód połykał asfalt, powietrze furkotało w lekko uchylonych szybach; Franciszek wpatrywał się w mały monitor i od czasu do czasu przebiegał po nim szybko palcami.

— Co tam? Grasz w kulki? — próbowałem zagaic rozmowę.

— Jesteś zenujący — wciąż nie odrywał wzroku od ekranu.

— Nie jesteś ciekaw gdzie jedziemy? — spytałem.

— Bez znaczenia — wzruszył ramionami.

— Tak ci to obojętne?

— Bez znaczenia — powtórzył beznamiętnym głosem.

— Pamiętasz mnie w ogóle?

— Bez znaczenia father. Jesteś gdzieś, a tak w ogóle mogłoby cię nie być.

— A narzeczony matki? On ma znaczenie?

— Tomasz? To frajer.

— Dlaczego frajer?

— Stary dziadek, który zafiksował się na seksie.

— Stary? Jak stary? Starszy ode mnie?

— Z pewnością. Przecież to emeryt. Ty chyba nie jesteś jeszcze emerytem? — popatrzył na mnie wnikliwie.

— No nie, zdecydowanie nie — pokręciłem głową. — Jestem do tego w połowie drogi.

— Ale od matki jesteś sporo młodszy, nie? — zaciekawił się z lekka.

— Twój przyrodni brat ma mniej więcej tyle lat co ja.

— O kurwa, ale to pojebane — zerknął na mnie sprawdzając czy nie skarcę go za przekleństwo. Nie powiedziałem nic. Skupiłem się na prowadzeniu auta.

— Frajer jest. Nadskakuje starszej i spełnia jej wszystkie zachcianki.

— Ten telefon to od niego? — skinąłem głowę na smartfona.

— Taa... Najnowszy model. Wczoraj była premiera. Nawet nie musiałem prosić. Sam zaproponowałem.

— No to masz teraz jak pączek w maśle.

— Co?

— Nic — tym razem ja wzruszyłem ramionami.

Rozmowa się nie kleiła. Nie miałem żadnego doświadczenia w obcowaniu z dziećmi, o wychowywaniu nie wspominając. Lecieliśmy do przodu kierując się nad morze. Chciałem jeszcze przed wieczorem dotrzeć na dziką plażę, jakich już podobno nie ma.

— Zjadłbym coś — syn odezwał się niespodziewanie, podnosząc głowę znad iPhone’a.

— W Ostródzie jest McDonald, może być?

— Dla plebsu, ale ujdzie — zrozumiałem, że nie spodziewał się po mnie żadnych michelinowych restauracji.

Zatrzymaliśmy się przed fastfoodem i weszliśmy do środka. Wewnątrz było trochę miejscowej młodzieży, stłoczonej przy jednym stoliku, ale poza tym lokal był praktycznie pusty. Zamówiliśmy zarcie i jedliśmy w milczeniu. “Gdyby faktycznie milczenie było złotem, natrząskalbym dzisiaj niezły majątek”, pomyślałem.

— A co tam u ciebie? Dziewczynę jakąś masz?

— Taa... Spytaj się jeszcze co w szkole.

— Nie ułatwiasz mi...

— Niby co mam ci ułatwiać? Ciebie nie ma father. Nie chcieli mnie zostawić samego na chacie, więc stanąłeś w kolejce na opiekunkę. Nie było nikogo innego, więc padło na ciebie. Odbębniemy to jakoś i wszystko wróci do normy.

Zjedliśmy i ruszyliśmy dalej. Tuż przed zachodem słońca dotarliśmy na tajną dziką plażę. Jak zawsze, nie było na niej nikogo. Zaparkowaliśmy i rozstawiliśmy dwa namioty. Poszliśmy spać. Przynajmniej ja. Gówniak został jeszcze na konarze drzewa gapiąc się wciąż w smartfona. Miałem w dupie, czy pójdzie spać, czy zwieje gdzieś stopem. Dla bezpieczeństwa, wsadziłem tylko kluczyki od auta pod materac.

Obudziłem się o świcie. Ostatnimi czasy nie udawało mi się pospać dłużej. Wyszedłem z namiotu i popatrzyłem na wschodzące słońce. Syn spał jeszcze; jego chrapanie rozchodziło się na kilka metrów od naszego obozowiska.

— Jadę po zapasy, chcesz coś konkretnego do jedzenia? — krzyknąłem.

— Whatever — zasapał półprzytomnie.

Wsiadłem do auta i pojechałem do sklepu. Kiedy wróciłem, Franek siedział na piasku i rozmawiał z kimś przez telefon.

— Tak, przekażę mu, na razie — usłyszałem jak kończy rozmowę.

— Coś się stało?

— Starsza mówi, że zostają na wycieczce do końca przyszłego tygodnia, i mam być albo u ciebie, albo masz mnie podrzucić do ciotki Alicji.

— A ty gdzie wolisz?

— Bez znaczenia — wzruszył ramionami.

— Nie wkurwia cię to? Że matka traktuje cię jak jakiegoś niepotrzebnego grata? — próbowałem wzbudzić w nim jakieś emocje.

— Bez znaczenia. Frajer powiedział, że jak wrócą to kupi mi najnowszego MacBooka więc się opłaca.

Darowałem sobie dalszą konwersację. Wyciągnąłem przenośną kuchenkę i zrobiłem coś do jedzenia. Rozmowa nie kleiła się od początku i zapewne nie będzie kleiła się do końca. Przetrwam jeszcze jedną noc a jutro podrzucę go do siostry Bożenki. Nie nadawałem się na ojca. Zresztą, kto sprostaby byciu ojcem w wieku 20 lat z niezależną kobietą starszą od niego prawie dwie dekady?

Zjedliśmy. Zostawiłem wpatrzonego wciąż w telefon Franciszka przy namiotach i poszedłem rozejrzeć się za jakimś interesującym kadrem. Bądź, co bądź miałem nowy aparat do zabawy.

Rozstawiłem się przy wielkim konarze do połowy zanurzonym w wodzie. Przymocowałem aparat do statywu i zacząłem kadrować, sprawdzając jak temat zmieści się w ponad 200. stopniowej panoramie. Podobało mi się, że nie jestem w stanie zobaczyć ujęcia do czasu kiedy nie wywołam filmu.

— Co tak dziwnie kręcisz? — dobiegło mnie zza pleców.

— Robię panoramę. Obracam aparat co kilka stopni, a potem wyjdzie z tego jedno, szerokie ujęcie — ucieszyłem się nawet, że gówniak wykazał jakieś zainteresowanie.

— Strasznie to męczące i upiardiwe — parsknął pod nosem. Wyciągnął swojego iPhone'a, pogrzebał coś w środku, zrobił kółko wokół siebie i pokazał mi zdjęcie — Tak nie lepiej?

— Na pewno szybciej i prościej — powiedziałem zerkając na ekran.

— To po co się męczysz?

— Czytałem gdzieś, że niekiedy nie liczy się cel a droga do niego — próbowałem przejść w tryb edukacyjny.

— Bzdura. Ktoś wam za młodu nakładł takie głupoty do głowy i powtarzacie je wciąż wokół.

— Wam, czyli komu?

— Waszemu pokoleniu. Chociaż zdarzają się wyjątki. Frajer matki, ma wywalone na takie filozofie. Wie, że liczy się to co masz i co pozwala na życie pełną parą.

— Co ty w ogóle chcesz robić w życiu Franek? Zastanawiałeś się już kiedyś nad tym?

Popatrzył na mnie w milczeniu, wzruszył ramionami i bez słowa poszedł do swojego namiotu. Widziałem jak kładzie się na materacu, wciąż trzymając telefon w ręku. "Koszmar", pomyślałem "Czy oni będą kiedyś w stanie żyć, patrząc na świat bez technologicznych wspomagaczy?". Zaraz jednak skarciłem się w myślach, przypominając sobie mojego starego, przypieprzającego się do "pykania w komputer". Ojciec nie mógł sobie wyobrazić, że małe czarne pudełko z gumowymi klawiszami, przerodzi się kiedyś w coś więcej niż maszynkę do gier i zabawy. Może więc ja też nie dostrzegam przeszłości? Taplam się z przyjemnością w tym co było, zapominając, że świat idzie do przodu a już starożytni Rzymianie mawiali, że dzisiejsza młodzież...

Złożyłem statyw, schowałem sprzęt do plecaka i wrzuciłem go do bagażnika. Rozłożyłem koc. Wsłuchując się w szum morza i pogrzykujące nade mną mewy, czekałem na romantyczny zachód słońca.

— Masz ładowarkę? — zobaczyłem nade mną zaniepokojoną twarz syna.

— Co? — spytałem ledwo przytomnie, bo wyrwał mnie z lekkiej drzemki.

— Do telefonu. Ładowarkę.

— Nie mam, używam starej Nokii, bateria starcza mi na tydzień.

— To daj mi kluczyki do samochodu, podładowuję stamtąd — pomachał mi przed oczami białym kabelkiem.

— Nie podładowujesz. To stare auto z zapalniczką zamiast gniazda USB.

— Jizas, co za średniowiecze — usiadł zrezygnowany koło mnie.

Myślałem, że się rozplącze albo dostanie spazmów, ale trzymał się twardo. Patrzyliśmy na chowające się za horyzontem słońce.

— Piwo mam, chcesz? — spytałem — Możemy rozpalić ognisko i się napić.

— W sensie, z alkoholem? — zerknął na mnie zdziwiony.

— No. Skujemy się jak dwa szpadle — jak wspominałem wcześniej, chujowym byłem ojcem. Miałem gówniaka w dupie, nie lubiłem go, nie interesowało mnie czy zostanie alkoholikiem i stoczy się w otchłań. Miałem już dosyć tej wycieczki i chciałem się uwalić.

— Jasne. Super — poderwał się z koca pełen energii.

Przeszliśmy do obozowiska i położyliśmy się koło ogniska. Podałem mu butelkę, do której przyssał się jak głodny niemowlak do mleka. Robiło się coraz ciemniej, w końcu na niebie zaczęły pojawiać się gwiazdy. Butelka za butelką, jedna za drugą, łądowały rzucone na pochybel ekologom, w pobliskich krzakach. Poczułem przyjemne ciepło, które nie dochodziło wcale z ogniska. Gówniak ostrymi ruchami wyrывał rosnące obok niego kępki trawy. “Coś jest z nim nie tak”, pomyślałem, ale miałem na to totalnie wyjebane. Powoli, jak zawsze po alkoholu, włączał mi się tryb metafizyczno-filozoficzny.

— A jeśli życie to nie ciągły film tylko pojedyncze klatki? Nieskończony pierdylion alternatywnych rzeczywistości, pomiędzy którymi przeskakujemy? Może nie ma czasu? Wszystko wokoło stoi w

miejscu, a nasza świadomość przenosząc się między nieruchomymi kadrami, wpada ułudę zmieniającego się świata? — powiedziałem na głos.

— Co ty pierdolisz stary? — popatrzył na mnie ze złością. Miałem wrażenie, że odcięcie od iPhone'a wpływa na niego niekorzystnie.

— Szkoda tylko, że nie można przeskakiwać do tyłu — kontynuowałem próbując nie zwracać na niego uwagi.

— Zaaammknij się — wysyczał przeciągle.

— A może można, tylko człowiek ma wyparcie i zapomina; nadpisuje to co nagrał wcześniej?

— Gównu se wyprzyj — próbowałem nie zwracać na niego uwagi.

— Wszystkie paranoje, epizody schizofreniczne i inne potknięcia umysłu... Może to jakieś błędy, albo obrona mózgu przed czymś czego zwyczajnie nie jest w stanie ogarnąć?

— Twój mózg to niczego nie jest w stanie ogarnąć — miałem wrażenie, że próbuje mnie do czegoś sprowokować, tylko do czego?

— A duchy to postacie z innych rzeczywistości przebijające się do naszej.

— Zamknij ryj stary. TLDR - kogo to obchodzi, kto cię o to pytał? — zaczął rzucać we mnie małymi kamykami.

— Szkoda, że śmierć jest taka permanentna i nieodwracalna; że nie da się umrzeć, przeczekać i obudzić się za jakiś czas...

— Pierdolony chuj z ciebie, wiesz? — butelka po piwie przeleciała mi koło twarzy. Próbowałem zrozumieć jego agresję. Pretensje o bycie ojcem, a w zasadzie o jego nie bycie. Tyle, że miałem na to wyjebane. Totalnie wyjebane. To jakiś obcy gnój, który ma wąty, zabiera czas i mąci...

“Zgodnie z drugim prawem infodynamiki, informacja nie podlega entropii”, przyszło mi do głowy tuż przed tym jak zobaczyłem nad nami błysk światła. Coś jak klasyczna błyskawica, która tuż nad ogniskiem zmienia się w wielką białą kulę, by po chwili zapaść się w sobie z delikatnym pyknięciem. Bez grzmotu, cicho - tylko lekkie pyknięcie jakby ktoś westchnął otwierając gwałtownie usta. A potem cisza. Totalna cisza. Bez szumu morza i bez trzaskającego ogniska. Po sekundzie dźwięki wróciły. Zobaczyłem siebie siedzącego na przeciwko, lekko zamrozonego

alkoholem. Ja to on, on to ja. Miałem ochotę przyjechać mu za wszystko co nie wyszło mi w życiu. Zerknąłem w jego oczy. Ciało było moje, ale oczy wyglądały obco. Nie tak, jak zawsze kiedy patrzyłem w lustro. Chyba domyślałem się co się stało, chociaż nie rozumiałem jak i dlaczego, a w szczególności po co. “Prawie dwadzieścia lat”, pomyślałem. “Dwadzieścia lat do tyłu, chyba warto?”. Wymacałem dosyć duży kamień leżący przy ognisku i z całej siły zacząłem walić w głowę wyglądającego jak ja kolesia, który był mi tak naprawdę zupełnie obcy.

— Byłem kim byłem, jestem kim jestem, i nic tego nie zmieni — powiedziałem na głos. Wstałem i popatrzyłem na leżące przede mną ciało. Sięgnąłem do kieszeni po najnowszy iPhone’a i rzuciłem go w dopalające się ognisko.

CANON EOS 1D MARK II N

2009

“Panie Robercie - są dwie opcje: albo pana wypierdolimy na zbity pysk, albo dołączy pan do naszej ekskluzywnej grupy fotoreporterów prasowych” — oczywiście dyrektor nie ujął tego w ten sposób ale usłyszałem to co usłyszałem; tak mi się przynajmniej wydawało. Delikatnie i szeptem; słowa brzmiały jak muśnięcie letniego wiatru po deszczu. Jednak kultura postaci jaką emanował, z pewnością nie pozwoliłaby mu użyć podobnych wyrazów. Rozejrzałem się wokoło czy koledzy nie robią dowcipu z ukrytą kamerą.

— Rozumie pan co do niego mówię? — musiałem mieć z lekka zagubioną minę, bo wzrok wpatrzony we mnie był pełen troski. *“To chyba naprawdę mało kumający idiota”* — znów zaleciało letnią bryzą.

— Przepraszam, zamyśliłem się — grymas zniechęcenia przemknął mu po twarzy — Dlaczego?

— No cóż, widzi pan, że mamy ogólnoświatowy kryzys. Musimy ciąć koszty. *“Już nikt nie chce zapierdalać za miskę ryżu”* — westchnął — Więc? Jaka decyzja?

— Muszę się skonsultować z żoną — próbowałem ugrać sobie chwilę na przemyślenie jakże zaskakującej propozycji.

— Nie, panie Robercie, prosiłbym żeby odpowiedział mi pan teraz — z nieruchomymi oczami wpatrzonymi we mnie, i splecionymi dłońmi zawieszonymi pod podbródkiem, dyrektor wyglądał jak z dobrze zrealizowanej reklamówki inwestycyjnej dla początkujących akcjonariuszy.

— Przepraszam panie dyrektorze, ale muszę natychmiast skorzystać z toalety.

— Dobrze, proszę skorzystać i zapraszam pana ponownie za chwilę. *“Debil, zwyczajny debil. Dlaczego zatrudniłem debila?”* — westchnął zrezygnowany.

Wyszedłem z gabinetu i poszedłem ochłonać na ulicę. Zobaczyłem archiwistę Maciusia popalającego za winklem. Spojrzał na mnie z niechęcią.

— Papieroska? — podsunął mi wymiętą paczkę Marlboro.

— Nie dzięki, nie palę przecież — pokiwałem głową.

— I dobrze, zdrowo. *“Przynajmniej następny nie sępi”* — zaciągnął się głęboko — Co tam? Na dywaniku byłeś?

— Tak wyszło. Albo wyjebka albo fotografem mam być. Kryzys.

— No fakt, ciężko ostatnio. *“Gównu nie kryzys, nikt cię chłopcze nie nauczył kiedy, komu i co lizać”*.

— Nie boisz się, że ciebie też wyjebią?

— Za co niby? — wglądał na zaskoczonego.

— No za to ciągle jaramie i wiesz... Wciąż cię nie ma w robocie — Maciuś słynny był ze swojego słabego zdrowia. Praktycznie przynajmniej kilka dni każdego miesiąca spędzał na L4.

— Co robić? Zdrowie już nie to samo co kiedyś. *“A chuj ci do tego koleś. Z takimi haczykami jakie mam na prezesa, to mnie najwyżej na wcześniejszą emeryturę mogą przenieść”* — złapał ostatniego macha i wdeptał peta w chodnik. Skinął głową i wrócił do agencji.

Postałem chwilę łapiąc biernie ulatującego dymka i zameldowałem się z powrotem w gabinecie dyrektora.

— Szkoda mi się rozstawać z tak wspaniałym miejscem panie dyrektorze, więc chętnie przystałbym na drugą opcję. Niestety nie mam sprzętu do fotografowania.

— No jak to panie Robercie, przecież zawsze pan mówił, że fotografuje na codzien?

— Owszem, ale to analogowo, na średnim formacie. Raczej nie nada się to do naszego archiwum.

— No cóż, no cóż. *“Następny pierdolony artysta”* — podrapał się po głowie sprawiając wrażenie, że myśli. Zdjął okulary i potarł nasadę nosa

— Myślę, że sobie z tym poradzimy. Zgłosi się pan do Kasi - chyba mamy jeszcze na stanie jakiś zapasowy aparat. Rozumiem, że potrafi pan obsłużyć cyfrową lustrzaną?

— Oczywiście panie dyrektorze. Przecież fotografować można wszystkim — próbowałem trzymać fason, chociaż widziałem, że nie był do końca zadowolony z mojej i swojej decyzji.

— Faktycznie, przecież wciąż ta sama przysłona, czas... *“To chujem sobie zrób zdjęcia cwaniaku”* — skończył niespodziewanie i skupił się na przeglądaniu dokumentów leżących na biurku. Stałem w ciszy, nie wiedząc czy chce coś jeszcze dodać czy to koniec rozmowy.

— Tak? — podniósł na mnie wzrok.

— To wszystko? Skończyliśmy? — spytałem.

— Tak dziękuję. *“Wypierdalaj!”* — machnął ręką w stronę drzwi.

Wyszedłem z gabinetu i poszedłem do działu polskiego, w którym królowała lubiana przez wszystkich i pełna życia Kasia.

— No i co tam, mój drogi? *“Czego tam?”* — rzuciła mi na powitanie z uśmiechem na ustach.

— Pan dyrektor kazał mi przyjść po sprzęt jakiś. Od dzisiaj mam być fotoreporterem.

— Fotoreporterem mówisz...? Skąd ja Ci aparat wezmę? *“Obiecałam chrześniakowi Stefcowi, że mu dam na komunię”* — wyglądała na szczerze zatroskaną.

— Szef powiedział, że jakiś zapas jest.

Kasia westchnęła i zniknęła w czeluściach swojej pakamerki. Wyszła po chwili z przykurzoną torbą w której leżała profesjonalna jedynka Canona z jasnymi 24-70 i 80-200.

— Proszę - niech ci służy. *“Co ja teraz kupię Stefcowi?”*

— Dzięki — zarzuciłem torbę na ramię i wróciłem do domu.

Zrobiłem sobie wieczorną kawę, rozłożyłem sprzęt na stole i zacząłem przeglądać. Oczywiście szturchnąłem go kilka razy sprawdzając czy on też nie zacznie gadać z offu, ale milczał jak zakłęty.

Wielki, profesjonalny; czuło się, że gdyby się na kogoś zamachnąć mógłby służyć do obrony. Obiektywy też wyglądały mega zawodowo. Długi, duży - widać było, że fotograf jest poważnym człowiekiem, podchodzącym do swojej pracy z odpowiednią atencją. Przedmuchałem

wszystko gruszką, przeczyściłem pędzelkiem i naładowałem baterię. Byłem gotowy na nową, fotograficzną przygodę.

Aha - jeszcze przed wyjściem z agencji dostałem od informatyka program do opisywania zdjęć. Próbowałem zainstalować go na swoim Macu, ale okazało się, że to wersja tylko na Windows. Sprawdziłem dostępność na moją platformę. Owszem - był, ale w takiej cenie, że bardziej opłacało się kupić taniego laptopa z windą. Ot, magia nowoczesnych czasów.

Znów, po prawie 10 latach będę zawodowym fotoreporterem. Fatum, wiszące nade mną z dzieciństwa, z czasów XVI księgi Tytusa, Romka i Atomka, wraca. Ciekawe czy koledzy z tematów będą mnie jeszcze pamiętać?

Nazajutrz wyspałem się do 9:00. Nie musiałem zrywać się jak zawsze o 5:00 rano i przeglądać co zrobili amerykańscy koledzy kilka godzin wcześniej. Pokręciłem się trochę po mieszkaniu, wypilem kawę, i wysikałem ją kilka razy; popatrzyłem przez okno na walkę sąsiadki z gołębiami, które notorycznie obsrywały jej parapet; co kilka minut sprawdzałem czy nie przegapiłem dzwonka telefonu. W końcu koło 12:00 zadzwoniłem do Kasi.

— Cześć. To ja. Masz coś dla mnie?

— Kto ja? — spytała zdeorientowana.

— No ja, Robert. Masz jakiś temat dla mnie? Co mam robić?

— Kto? Jaki temat??? — brzmiała mało przytomnie — Aaaa... No tak, przecież ty teraz masz zdjęcia robić... Nie! Nie mam nic. Już porozdawałam wszystko, ale jak chcesz to pokręć się trochę po mieście. Możesz sobie do sejmu iść, albo do prezydenta.

“Czemu nie?”, pomyślałem. “Nie było mnie tam kilka lat, zobaczę co się zmieniło”. Chwyciłem torbę i pojechałem na Krakowskie Przedmieście. Dobrze trafiłem, bo przed wejściem spotkałem Marka.

— Cześć Mareczek. Co tam słyhać? — rzuciłem do dawno niewidzianego, a będącego mi kiedyś przyjacielem kolegi.

— No cześć, co tam, kopę lat — na twarzy Mareczka wykwił szeroki uśmiech. “*Kim ty kurwa jesteś?*”

— Nie poznajesz mnie? — zdezorientowany dysharmonią między normalnym głosem a letnią bryzą, nie widziałem jak zareagować. — Wróciłem do zawodu!

— Oczywiście, że poznaję! *“Ki chuj?”* — oczy kolegi drgały nerwowo przelatując mi po twarzy.

— Milenkę pamiętasz? Kochałeś się w mojej psiapsiule — próbowałem przeczyścić mu synapsy w mózgu.

— Pamiętam, pamiętam. Wspaniała dziewczyna była. *“Jebana pizda, suka.”*

— A... Panowie spóźnialscy? — na moje szczęście strażnik przerwał te dziwne powroty do przeszłości. Zerkając na legitymację, przesuwając palcem po liście akredytowanych. W końcu wskazał na mnie — Pana nie ma.

— Muszę być — zerknąłem mu na kartkę papieru.

— No nic. Dopiszemy później. *“Coraz więcej amatorów tu ostatnio.”* — westchnął i podał mi przepustkę — Proszę za mną.

Szybkim krokiem zaprowadził nas na taras, gdzie za barierkami tłoczyła się armia fotoreporterów i kamerzystów. Marek zniknął mi z oczu. Miałem wrażenie, że nie czuje się przy mnie komfortowo.

— No i co? — zagadał Piotrek — popiło się i ciężko było wstać? *“Ale mnie suszy, muszę przystopować.”*

— Długo czekacie? — cieszyłem się, że ktoś mnie jednak pamięta.

— Z godzinę? *“Ciekawe czy koleś chciałby się napić? Chyba z nim kiedyś imprezowałem? Nie przychodził do Amatorskiej? Może dałby się naciągnąć na małe piwo po temacie? Kto to w ogóle jest? Gęba niby znajoma... Walę to. Ale mnie suszy...”*

— No to chyba zaraz... — nie udało mi się dokończyć, bo z otwartych drzwi wyszli panowie prezydenci. Podali sobie ręce i spojrzeli w stronę obiektywów. *“Co za hieny”, “Mangia merda”*. Dźwięk wyzwalałych seryjnie migawek zlał się w głośny szum. Politycy postali chwilę i wrócili do środka.

— No i po robocie. *“Dzięki bogu... Ale suszy. Trzeba się napić”* — powiedział Piotr zerkając na wyświetlacz aparatu — Pierwsza fota 11:07:21, ostatnia 11:07:32. Jedenaście sekund. *“Coś się wybierze, chyba*

ręce się za bardzo nie trzęsły.” A mistrz Jasio zdążył jeszcze przez ten czas zmienić obiektyw! Kto chętny na małe zimne?

Ruszyliśmy do wyjścia. Nie miałem ochoty pić alkoholu przed południem, więc zgubiłem się wtapiając w wycieczkę chińskich turystów podziwiających pomnik Poniatowskiego. Wróciłem do domu. Zrzuciłem zdjęcia na kompa i wysłałem do agencji. Kręcąc się po chałupie czekałem na następne tematy. Po trzech godzinach gapienia się w komórkę wyszedłem na dwór. Może trzeba jednak było pójść z Piotrem na to piwo? Zostawiłem torbę ze sprzętem w domu. Robiłem sobie tak od czasu do czasu. Przecież nic się nie stanie kiedy nie zrobię żadnego zdjęcia. Świat się nie zawali.

Szlifując płytki chodnikowe, zastanawiałem się nad dziwnymi głosami, które słyszę podczas rozmowy z ludźmi. Zdziwiłem się, że nie martwi mnie to, a raczej ciekawi - czy normalny człowiek nie powinien biec do specjalisty?

Ludzkie myśli wprowadzały urozmaicenie do rutyny codziennego dnia. Tylko dlaczego nie było w nich żadnej radości? Miałem wrażenie, że wszyscy wokoło mają traumy wielkości Pałacu Kultury, z których wylewały się hektolitry agresji. Przez chwilę przeleciało mi przez myśl, że problem nie leży jednak w ludziach a we mnie. No bo co jest bardziej prawdopodobne - uszkodzenie mózgu czy telepatia? Na szczęście durne i niepotrzebne nikomu rozmyślanie przerwał dzwonek telefonu.

— Weźmiesz kotleta wieczorem? — zniechęcony głos Kasi dawał do zrozumienia, że nie było chętnych na temat. Domyślałem się tego, bo nie słyszałem dalszej części w letniej bryzie. Może to kurestwo nie działa przez fale radiowe?

— Jasne. Gdzie i o której?

— Wyślę ci namiary mailem.

Wróciłem do domu. Do wieczora zostało jeszcze trochę czasu.

— Doda, Doda! Tutaj! *“Daj ryja do mnie!”* — dwudziestu fotografów zarzygiwało piosenkarkę falą światła z lamp błyskowych.

— Teraz do mnie, proszę! *“Patrz się cipo!”* — krzyknął stojący z lewej.

— Doda! Doda! Do mnie! *“Cyca pokaż!”* — przekrzyknął go ten z prawej.

— Do mnie na dół, Doda! *“No spójrz się kurwa!”* — kucający niżej próbował sięgnąć na siebie spojrzenie piosenkarki.

— Proszę tutaj, proszę pani Dodo, w górę! *“Lachociągu ty!”* — wysoki próbował być jeszcze wyższy i wyciągał ręce z aparatem nad tłumem.

— Doda, Doda zrób mi loda. *“Doda, Doda zrób mi loda.”* — zanucił cicho inny, przeglądając co udało mu się sfotografować.

— Do mnie, proszę! — nie mogłem być gorszy i zaczął drzeć głębie jak pozostali.

— Doodaa! Tutaj! *“Wary wydmij królowo!”* — kolega obok miał zdecydowanie donioślejszy głos.

Ktoś trącił mnie łokciem o mało nie wytrącając mi aparatu z ręki. Odsunąłem się odruchowo. Gruby, mały paparazzo przebijał się przez tłum.

— Gdzie się pchasz Bubek!? *“Pizdo ty!”* — ktoś próbował odepchnąć go za filar.

— Oż ty popierdolcu! *“Chuju!”* — Bubek był niski ale ręce miał długie. Zamachnął się uderzając pięścią we flesz blokującego mu drogę kolegi. Ten nie pozostał mu dłużny i zaczął dusić go paskiem od Canona. Przewrócili się, waląc w siebie aparatami. Ktoś próbował rozdzielić walczących, jednak kawałek osłony przeciwsłonecznej strącił mu okulary, które roztrzaskały się o podłogę. Dwóch, wyglądających na starych wyjadaczy, rozstawionych po obu stronach, fotografowało całą scenę strzelając seriami fleszy. Pozostali stali sparaliżowani, nie rozumiejąc do końca co się dzieje. Nikt nie zwracał już uwagi na ściankę z gwiazdami.

— Wystarczy! *“Co za zjeby!”* — ochroniarze postawili walczących na nogi i kilkoma sprawnymi ruchami przesunęli wszystkich w stronę wyjścia — Dziękujemy już panom! *“I wypierdalać!”*

— No i po pracy — pomyślałem.

Wszyscy zmyli się niezadowoleni, tylko dwóch pochyliło się nad wyświetlaczami swoich aparatów.

— Masz majtki? *“Cipkę”* — spytał jeden z nich.

— Shit! *“Kurwa!”* — odpowiedział drugi — Dupek ochroniarz zasłonił ręką. *“Następnym razem mu złamię tą rękę.”*

— Bingo! Ja mam! *“I kto jest kurwa mistrzem fotografii?”* — zatriumfował przebierając szybko palcami po menu — Widzisz? Nawet roweczka widać! *“Słodkiego roweczka!”* — podsunął kumpłowi aparat pod nos.

— Dobrze, dobre. Puścimy to za tysiąka jak nic! *“Będzie na koks.”*

— Jaki tysiak, ścipiałeś? Dwójka będzie jak nic! *“Może sobie kupię nowe 80-200?”* — schowali aparaty do torby i zapakowali się do stojącej nieopodal, czarnej BMK-ki.

Popatrzyłem jak odjeżdżają z piskiem opon. “Czemu nie zostałem fotografem krajobrazu?”, mała myśl przemknęła mi w głowie.

Myślałem, że nie będę mógł opędzić się od tematów, telefon jednak nie dzwonił zbyt często. Zostawało dużo czasu, którego nie dało zająć się niczym pożytecznym. Znajomi siedzieli w robocie; po południu w dni powszednie latali z dziećmi na zajęcia pozalekcyjne - z braku laku szlifowałem samotnie warszawski bruk. Kiedy nie wchodziłem w bezpośrednie reakcje z ludźmi, głosy w mojej głowie uspokajały się na tyle, że stawały się szumem tła, do którego dało się przyzwyczaić.

Marcin stał w przejściu między domami Centrum. Oparty nonszalancko o ścianę delektował się kolorowym lodem na patyku. Kumpłowaliśmy się na początku lat 90. Bywał u mnie w domu rodzinnym, gościł na pierwszych imprezach w małej kawalerce, w której mieszkaliśmy z moją ówczesną dziewczyną, no i bujał się z moją przyjaciółką Mileną. Szwendaliśmy się po mieście snując wspaniałe plany i marzenia o przyszłości. Któregoś razu udało mi się nawet wrzucić go na okładkę chrześcijańskiego magazynu dla młodzieży.

Nie mogę sobie przypomnieć dlaczego zniknął z mojego życia. Coś majaczy mi w głowie, że wyjechał do Ameryki? - nie pamiętam.

Jakiś czas temu, po prawie 20 latach spotkałem go przypadkiem na ulicy. Nie byłem pewny czy to on. Zaczepiłem ostrożnie. Tak, to był ten

sam gościu. Trochę bardziej pomarszczony, z przemalowanymi włosami, ale to on. Pogadaliśmy chwilę wspominając stare czasy. Pochwalił się, że śpiewa w jakimś bandzie. Podał nazwę. Po powrocie do domu znalazłem ich na YouTube. Ostre granie w klasyczno-pankowo-rokowym stylu a la przydymiona papierosowym dymem knajpa. Ostro i surowo. Ucieszyłem się, że kolega spełniał się w życiu i sztuce. Popisaliśmy chwilę przez fejsa, raz czy dwa zapraszał mnie na koncerty, ale przyznaję, że przechodziłem wtedy przez fazę zamknięcia - kontakt znowu się urwał.

Dwa lata później dostrzegłem go przed wejściem do metra. Fejs od czasu do czasu podrzucał mi nowości z jego życia, wiedziałem więc, że porzucił stary zespół i założył nową grupę. Zrezygnował z surowego, krzykliwego punk-rocka i skierował się w stronę spokojnego, mrocznego mruzcanda. Utknęły mi w głowie perypetie związane ze znalezieniem nazwy. Na początku chcieli nazwać się Playboy, ale było to zbyt jednoznaczne; Penthouse był już zajęty przez inny band, w końcu postanowili zaryzykować i stanęło na Hustlerze. Mruczando przyjęło się chyba lepiej niż pseudo-pankowe darcie gęby, bo widziałem, że przygotowują się do nagrania płyty i zaczęli pojawiać się w Trzecim Programie Polskiego Radia. Byłem naprawdę dumny z ziomala i cieszyłem się, bo pokazywał mi, że można osiągnąć marzeń w wieku kiedy pryszczki z twarzy znikają już dawno.

Stał przed wejściem na stację Nowy Świat i rozmawiał przez telefon więc mnie nie zauważył. Nie wiem co we mnie wstąpiło? Może miałem wtedy fazę maniacką? Dla żartu zaszedłem go od tyłu i szarpnąłem za torbę, udając rabusia. Odwrócił się wzburzony. Nie poznał mnie. Myślałem, że żartuje i grałem dalej rolę psychicznego - że niby chcę go okraść i spuścić mu wpierdol. Dziwne było tylko, że wydawał się naprawdę przestraszony. Nigdy w życiu nie przypuszczałbym, że mogę kogoś przestraszyć, więc traktowałem to jak dobrą zabawę. Kiedy przerażenie wciąż nie schodziło mu z twarzy, opamiętałem się; przestałem wykrzywiać gębę i na spokojnie spytałem czy mnie nie pamięta. Nie, zupełnie nie. Przypomniałem mu imprezy, Milenę - w końcu chyba szok minął, bo ze znakiem zapytania wypowiedział moje nazwisko. Nie był już jednak skory do pogaduszek. Machnąłem zrezygnowany ręką i poszedłem

dalej. Kątem oka dostrzegłem jeszcze z boku kolesia czającego się z telefonem komórkowym skierowanym w naszą stronę. Zapewne nie robiłbym sobie takich jaj, gdyby nie to przypadkowe zetknięcie dwa lata temu. No i chuj - próbowałem tego nie rozkminiać; może woda sodowa uderzyła mu do głowy, może za bardzo się przestraszył, a może po prostu zwyczajnie zacząłem być wymazywany z konstrukcji matriksa?

No i znowu architekt rzeczywistości rzucił go mi go teraz przed twarz. Stałem przed nim i zacząłem przyglądać się w milczeniu. Przerwał lizanie i mimo, że nie podniósł lotniczych raybanów sprzed oczu wiedziałem, że patrzy na mnie ze zgrozą. Sytuacja gęstniała z sekundy na sekundę.

— No co ty Marcin, nadal mnie nie poznajesz? — postanowiłem przerwać horror i uśmiechnąłem się.

— Nie! *“Na chuj mi cię poznawać?”* — zdecydowanie nie szedł w stronę przyjacielskiej pogadanki.

— Imprezy na Ochocie, Milena... No nie wygłupiaj się.

— Koleś to było 20 lat temu. Nie muszę każdego pamiętać maaan...

“Szczególnie poznawać nikogo, kogo nie warto znać”.

— Mogę ci zrobić zdjęcie? — odezwał się narkomański głód.

— No. *“Shit man!”*

— “No” po angielsku czy po polsku?

— Rób! *“Jebani paparazzi!”* — wycodził przez zęby obracając w ustach patyk od lodu.

— A autograf mi jeszcze dasz? — zażartowałem.

— Nie mam długopisu. *“Weź spierdalaj”.*

— Ja mam — wyciągnąłem pisak i podstawilem mu dłoń — Tu mi podpisz.

“Thousands of faces, hundreds of mirages...” — maznął mi po ręku.

— ... to człowiek tworzy metamorfozy — dokończyłem za niego na głos, patrząc na koślawe “St. Martin”, które nabazgrał mi pomiędzy linią serca a linią życia. Zrozumiałem, że może nie każdy chce wracać do przyjaźni sprzed lat. Nie każdemu to potrzebne, dla niektórych wręcz niewygodne.

— Smutne to wszystko Marcin, trzymaj się — pomachałem mu i wpisałem następnego ducha do galerii wspomnień.

Ruszyłem przed siebie mechanicznym, sztywnym krokiem, na przemian zataczając się i prostując. Głowa zaczęła napierdalać mnie tak bardzo, że zacząłem przytrzymywać ją jak piłkę do kosza, modląc się żeby nie wybuchła. Nie patrzyłem gdzie idę, czułem jak ludzie ocierają się o mnie pełni wzburzenia. *“Jak idziesz ćwoku? Ze wsi przyjechałeś?”*, *“Co za dziwny koleś, jebnięty chyba?”*, *“Tak się upierdolić w południe, wstyd”*, *“Bo każdy pijak to złodziej”*, *“Dobija mnie to miasto, nie da się przejść nie potykając o menela”*, *“Aleś się upierdolił kolego”*, *“Mamusiu, mamusiu, jaki dziwny pan”*, *“Zaraz będzie rzygał, chuj”*. Obijałem się między nimi; nie byłem już człowiekiem, byłem pyłkiem pod mikroskopem doktora Browna. Wszyscy krzyczeli, klęli jakby cały świat dostał jednocześnie zespołu Touretta. Krzyk był wszędzie naokoło, coraz głośniejszy, oszałamiający. Padłem na ziemię uderzając aparatem o chodnik. Jakiś pies podniósł na mnie nogę. *“Sikać, sikać - dobry ty do sikania, ty wiesz dlaczego, wiesz”*, poczułem strużkę ciepłego moczu na twarzy. *“Nie sikaj na pana Azor bo się spocisz”*. Wszystko zaczęło przyspieszać jak na przewijanym filmie. Krzyk przerodził się w pisk. Podniosłem się i potrącając ludzi, z rękoma przy uszach, jak szalony pobiegłem do domu. Z trudem wbiłem kod do domofonu. Kiedy wszedłem na klatkę głosy odrobinę ucichły. Ledwo trafiłem kluczami w zamek. Zamknąłem za sobą drzwi i usiadłem na podłodze. Puste, ciche mieszkanie, dawało chwilę wytchnienia. Jedynie zza okna dolatywały ledwo dosłyszalne słowa: *“Kurwa”*, *“Ocipieniec”*, *“Chuj”*, *“Huj”*, *“A weź spierdalaj!”*, *“Jeb się, bo nikt inny tego za ciebie nie robi”*. Czułem jak świadomość zaczyna wylogowywać się z mojego mózgu. Zemdlałem. Albo zasnąłem.

Nie wiem ile czasu przeleżałem na podłodze. Patrząc na przysychającą kałużę moczu, obszczone spodnie i świt za oknem, musiałem mieć conajmniej kilkugodzinną przerwę. Próbowałem się podnieść. Powoli. W głowie ćmiło jak na ostrym kacu. Zdjąłem brudne ciuchy i nastawiłem pranie. Wszedłem pod prysznic i usiadłem w brodziku

mając nadzieję, że woda zmyje ze mnie ten cały syf. Poszedłem do kuchni i zjadłem śniadanie. “Co robić?”, powoli docierało do mnie, że głosy mogą nasilać się z dnia na dzień. Przecież nie da się funkcjonować w ten sposób. Z początku wydaje się to zabawne - człowiek czuje się jakby miał supermoc, jak bohater z filmów Marvela czy innego podobnego czegoś, ale w końcu orientuje się, że to co wydawało mu się ekstra bonusem od życia, jest klasycznym przekleństwem rodem z bajek o paktach z podstępny diablem. Ale... Może jest jakiś sposób żeby nad tym zapanować? Przecież kontrolować można wszystko. “Ludzie potrafią pić z umiarem, nawet narkotyki nie oznaczają całkowitej utraty nad własnym życiem”, nie docierało do mnie, że klasycznie, ładuję się w jakieś gówno, w ścieżkę, z której nie będzie już powrotu.

Przesiedziałem cały dzień w domu. Przepierdziałem czas, próbując zająć się jakimiś duperelami typu czytanie książki, oglądanie filmu czy granie na playstation. W końcu, pod wieczór, odpadłem z padem w rękę.

Ocknąłem się następnego dnia rześki jak nigdy. Ból głowy przeszedł zupełnie. Uchyliłem lekko balkon i wyjrzałem na ulicę próbując wychwycić myśli przechodzących pod oknem przechodniów. Słyszałem je nadal, ale nie były tak wrzaskliwe i przytłaczające jak po spotkaniu z Marcinem. “Bingo!”, ucieszyłem się. “Dam radę, zapanuję nad tym!”. To był tylko zwyczajny bad trip. Nie trzeba się bać. Trzeba iść w jego stronę bez lęku. Uda się!

Sięgnąłem po smartfona. Nie zauważyłem, że rozładował się od wczoraj. Ledwo podpiąłem go do ładowarki, gdy zabrzączał mi w rękę.

— Ty chcesz pracować czy na wczasy sobie pojechałeś? — głos Kasi był zdecydowanie bardziej zniechęcony niż zazwyczaj.

— Przepraszam, nie zauważyłem, że skończyła mi się bateria.

— Trochę to nieprofesjonalne, nie uważasz?

— Tak, przepraszam — nie chciałem drażnić koleżanki.

— No dobrze — westchnęła — Podjedź dzisiaj po południu do Konstancina. Masz do sfotografowania 100. jubilata. Jakiś aktor teatralny, nazwisko wyleciało mi z głowy. Urodziny ma. Może będą jakieś sławne goście, to porobisz też im główki. Zaraz wyślę ci namiary mailem. Możesz tego na razie nie zrzucać, i tak idzie tylko do archiwum.

— Ok. Będę zwarty i gotowy — próbowałem rozładować krępujące napięcie.

— No ja myślę — jak zawsze, nie dała się rozśmieszyć.

Zerknąłem na maila. Do popołudnia, a w zasadzie wieczora zostało sporo czasu. Pomyślałem, że wyjdę na dwór i będę kontynuował dalsze eksperymenty parapsychologiczne.

— Dzień dobry — wszedłem do pobliskiej sieciówki — Espresso poproszę.

— Oczywiście. *“Już się robi królu złoty!”* — młoda dziewczyna uśmiechnęła się do mnie szeroko.

— I tą babeczkę jeszcze — wskazałem na kawałek ciastka.

— Tak jest, już podaję. *“Dobra babeczka z rana jak śmietana!”*

Wziąłem prowiant do ręki i poszedłem do Parku Świętokrzyskiego. Menele na hamakach budzili się z południowej, albo może porannej drzemki. Nie wiem, czy ktoś zna cykl dobowy warszawskiego menela?

— Kierowniku, kierowniku! Kierownik poratuje grosikiem na śniadanie. *“Pić albo jeść, oto jest pytanie”* — z lekka przybrudzony koleś przeciągnął się i rozdziawił usta w szerokim ziewie.

— Na śniadanie czy na klina? — spytałem podstępnie? Zerknął na mnie badawczo.

— No, na paliwo. Co za różnica dla kierownika. Trzeba się zasilić do działania. *“Miły człowiek, dobrze mu się z oczu patrzy. Trzeba pić żeby żyć, a jeść żeby być. Byt określa świadomość, kierowniku”*.

— A beczka z której wyszedłeś gdzie? — udawałem, że rozglądam się uważnie wokoło.

— Ooo!!! Widzę, że kierownik to nadzwyczaj wykształcona osoba. *“Światła tylko mało, kierowniku, ciężko znaleźć po ciemku”*.

— To może dorzucić jeszcze kilka groszy na świeczkę? Łatwiej będzie szukać, proszę — dałem mu 10 złotych. Chwycił banknot i bez słowa pomknął w stronę najbliższego spożywczaka.

Krążyłem wokoło Pałacu Kultury i próbowałem wychwycić ludzkie myśli. *“Jaki wielki ten Pałac, ciekawe kto mieszka w środku”, “Wezmę pożyczkę na pewno uda się coś rozkręcić”, “Magda zostawiła wczoraj*

przypadkiem swoją szczoteczkę do zębów. Ciekawe. Znaczy, że zostanie na dłużej?”, “Rałafek dostał wczoraj szóstkę z plastyki, może zostanie słynnym artystą?”, “Korczak, kto to był ten Korczak?”, “Wytaplalbym się z nią w tej fontannie. Zrobiłbym miss mokrego podkoszulka”, “Tyle ludzi, gdzie oni tak pędzą”, “Ile można mu przynosić ten patyk? Czy on nie może się zdecydować? Skoro każe go przynosić, to po co wciąż go wyrzuca?”. Czułem się jak Bruno Ganz w Niebie nad Berlinem Wima Wendersa. Niesamowite uczucie.

— Przepraszam jak dojść na Chmielną? *“Strasznie wielkie to miasto.”* — mężczyzna o twarzy i posturze Tadeusza Fijewskiego wpatrywał się we mnie pytająco. Skojarzenie było tak duże, że chciałem spytać o Paryżewo. Opanowałem się. Może nie miał podobnych wspomnień i nie zrozumiałby dowcipu.

— Tutaj, niech pan idzie za mną — kiwnąłem na niego palcem, wydawał się naprawdę zagubiony. Poszliśmy w stronę Marszałkowskiej — A jakiego numeru konkretnie pan szuka?

— 104. *“Do córuchny jadę. Przeprowadzili się niedawno z mężem do stolicy. Podobno szczęśliwa, ale do zaproszenia ojca się nie kwapi, więc niespodziankę jej chciałem zrobić”* — najwyraźniej chciał z kimś porozmawiać, ale nie miał odwagi otworzyć się przed obcym.

— Chwileczkę — zorientowałem się i zerknąłem na google maps — Tak. 104, to będzie po drugiej stronie. Żle idziemy.

— Żle? *“Nie ucieszy się? Przecież nie widziała ojca już sześć lat. Córka to córka, ojca ma się jednego. A może mąż niezadowolony będzie? Mało o nim mówi”.*

— Nie w tą stronę. Chmielna jest w dwóch kawałkach. Musi pan iść za Centralny, przejść przez jezdnię pod estakadą, potem w prawo i będzie pan na miejscu. Trafi pan? — sprawiał wrażenie niezdecydowanego.

— Tak. Za Centralnym w prawo. *“Może jednak nie iść? Ślubu nie chciała, powiedziała, że w stolicy ślub do życia nikomu nie potrzebny. Co robić panie, co robić? Przecież to córka. Nie godzi się dziecka unikać...”* — ewidentnie potrzebował rozmowy z drugim człowiekiem. Wahałem się przez chwilę, czy nie się nie odsłonić, nie przyznać, że słyszę jego rozterki. Czułem jednak, że mógłby się przestraszyć, albo okazałoby się,

że nie chce dzielić się z nikim swoimi wątpliwościami. Niby wszyscy chcemy szczerości, gardzimy hipokryzją, ale boimy się zdjąć z twarzy przyspawane maski.

— Będzie dobrze! — delikatnie położyłem mu rękę na ramieniu. Nie wiem czy dostrzegł ten gest, pokiwał tylko głową.

— Trafię. Dalej już trafię sam, dziękuję. *“Będzie dobrze, przecież to córka.”* — oddalił się z roztargnionym wzrokiem, jak Fijewski w swoich komediach.

Dochodziła popołudniowo-wieczorna godzina, więc przetransportowałem się do Konstancina. Sprawdziłem adres w smartfonie i po kilku minutach zmaterializowałem się przed lekko zaniedbanym domkiem, spowitym przez przychude choinki. Zadzwoiłem do furtki.

— Dobry wieczór, jestem z agencji Wschodnie Nowinki, przyjechałem sfotografować szacownego jubilata. Mam nadzieję, że koleżanka uprzedziła o mojej wizycie — wyrecytowałem na widok starowinki, szarpiącej się z zamkiem.

— Tak, witam. Pan wejdzie. Mąż jest na ganku. *“Może stary pierdziel nie zanudzi pana na śmierć”* — wskazała mi kierunek ręką przystrojoną kilogramami biżuterii jablonexu. — Napije się pan czegoś?

— Nie, nie. Dziękuję. Nie chcę robić problemu. Pewnie i tak ma pani dosyć pracy przy przyjęciu.

— Przy czym? *“Co on bredzi?”*

Skonfudowałem się. Faktycznie, dom nie wyglądał jakby miał za chwilę rozbrzmiewać muzyką, śpiewem i tańcem.

— Przepraszam. Przejęzyczyłem się — nie czekając na odpowiedź ruszyłem w stronę niedużego tarasu, na którym siedział przykryty kocem, otulony pod brodę staruszek.

— Dobry wieczór — przywitałem się. Nie wiem czy mnie usłyszał, bo wciąż tkwił w bezruchu. Jednak nim zdążyłem odezwać się ponownie, odwrócił głowę moją stronę.

— Dobry wieczór panu, w czym mogę pomóc? *“W czym pomóc?”* — spytał cichym, ale dosyć wyraźnym i pewnym głosem. Przyznam, że spodziewałem się jakiejś demencji albo konieczności przekrzykiwania, na

szczęście wszystko wskazywało na to, że będzie się dało normalnie porozmawiać.

— Jestem ze Wschodnich Nowinek, chciałem panu zrobić kilka zdjęć.

— Zdjęć? A z jakiego powodu? *“Dlaczego?”* — wydawał się być szczerze zdziwiony.

— Kończy pan dzisiaj 100 lat — czyżbym pospieszył się z tym brakiem demencji?

— Nie, młody człowieku. Nie mam demencji. *“Po prostu w pewnym wieku nie liczy się już lat; nie traktuje urodzin jako wybitnego dnia, bo nie jest to nic, co można by świętować. Wręcz przeciwnie. Chciałoby się, żeby te dni nie nadchodziły”*.

— Przepraszam. Koleżanka z agencji powiedziała mi, że będzie przyjęcie.

— Przyjmuję więc pana. To i tak już dla mnie tłók. Rzadko kiedy mnie ktoś odwiedza. *“Spieprzyłem coś po drodze. Być może miałem za duże wymagania w stosunku do ludzi albo ludzie chcieli ode mnie zbyt wiele i nie potrafiłem temu sprostać”*.

— Miło mi. Mogę więc zrobić zdjęcia? — podniosłem aparat do oka zastanawiając się z jakiego kąta ująć człowieka, żeby wyglądał korzystnie.

— Naprawdę. W moim wieku nie wygląda się korzystnie z żadnej strony. Najlepiej byłoby gdyby zrobiłby pan nieostre zdjęcie - będzie mniej bolało oglądających. *“Najgorzej, że w środku jestem taki sam jak kiedyś. Czuję jak kiedyś, myślę jak kiedyś. Mógłbym nawet powiedzieć, że zdziecinniałem. Ale czy ktoś młody może to zrozumieć?”*

— Podobno wiek to tylko liczba — próbowałem wybrnąć z niekomfortowej sytuacji i nie obrazić mojego gospodarza.

— Szanowny panie, nie musi być pan tak poprawnie pozytywny. Kiedy ma się tyle lat co ja, trudno obrazić się za prawdę. *“Nawet wtedy, gdy rani z każdym wypowiedzianym słowem”*.

— Nie mogę przypomnieć sobie żadnego filmu z pańskim udziałem — zaryzykowałem szczerłość.

— Rzadko grywałem w filmach. Jakieś nic nieznaczące role w kinie moralnego niepokoju, o którym nikt już dzisiaj nie pamięta. Później

występowałem tylko w teatrze. *“Dlaczego nigdy nie zagrałem w żadnej komedii? Może powinienem? Może chociaż w tragikomedii?”*

— Coś mi się kojarzy. Holland, Zanussi, Kutz — próbowałem przypomnieć sobie jakiś konkretny tytuł.

— Ale nie Bareja, prawda? Zamiast w prezesa Ochódzkiego, wcielałem się w wielkie szekspirowskie postaci. Z początku w Hamleta, potem przyszedł czas Makbeta i Ryszarda III. Kiedy potrafiłem jeszcze zapamiętać tekst, chwytalem się Króla Leara. Ale to był już koniec. *“Na boga! Chyba więcej dałoby mi zagranie słomianego miśka!”*

— Znam te sztuki, pamiętam je! — próbowałem stawić tamę wylewającej się z niego powodzi smutku.

— Sztuki... Ale czy pamięta pan mnie?

— Nie, niestety nie.

— Wie pan - krzyczałem! Głośno i wrzaskliwie. Miotalem się godzinę po scenie, by milknąć zaraz po spektaklu. Jak idiota, pełen nieznaczącego nic krzyku i furii. Wydawało mi się jednak, że nikt nie słyszy. Z czasem przestałem. Pogodziłem się z tym, albo fałszywie wmówiłem sobie, że ludzie są głusi. A może zamiast krzyczeć powinienem mówić szeptem? *“Niech pan już idzie. Proszę. Jestem zmęczony”*.

— Dziękuję. Chyba nie będę już pana męczył. Dziękuję za zdjęcia — schowałem aparat do torby. Mężczyzna patrzył przez okno, jakby świat wokół niego nie istniał.

Pożegnałem się z małżonką i wyszedłem. Droga do domu zajęła mi koło godziny. Nim zdążyłem zdjąć z siebie ubranie zadzwonił telefon.

— Zrobiłeś dziadka? — usłyszałem zaspany albo może lekko pijany głos Kasi - trudno było wyczuć.

— Tak, właśnie wróciłem. Obrobię i wrzucę jutro.

— Nie. Teraz daj.

— Przecież mówiłaś, że to do archiwum?

— Sytuacja się zmieniła. Dziadek właśnie zmarł więc może coś zarobisz. Przynajmniej będziesz coś miał z tej wycieczki.

NIKON D700

2009

— No co tam? Co się urodziło? — rzuciłem swobodnie do słuchawki czekając na namiary na nowy temat.

— Nic. Dyrektor chciałby z tobą porozmawiać. Wpadnij dzisiaj o 12:00 — Kasia jak zawsze kończyła rozmowę nie czekając na odpowiedź. Wypiłem kawę, wziąłem sprzęt i pojechałem do agencji.

— Panie Robercie — zaczął przyjaźnie i z uśmiechem dyrektor — Grzegorzowi posypał się sprzęt a jedzie jutro na kongres. Proszę mu oddać firmowy aparat.

— Ale jak to, przecież to mój...

— Nie pana, panie Robercie tylko firmowy — dyrektor pozostawał nieugięty jak zawsze.

— To może ja pojadę na ten kongres zamiast Grzeška? — próbowałem zagrać ostatnią szansą.

— Proszę się nie wygłupiać panie Robercie. To poważny temat, nie możemy sobie pozwolić na nieostre zdjęcia.

— Ale to nie moja wina, w tym Canonie jest skopany autofokus, poza tym, to było tylko jedno zdjęcie.

— Jedno, czy nie jedno. Zobacz pan, że prawdziwy zawodowiec umie poradzić sobie nawet z — tu pokazał palcami w powietrzu znak cudzysłowu — zepsutym aparatem.

— No to czym ja teraz będę fotografował?

— Panie Robercie, jest pan dorosłym facetem. Proszę iść na zakupy i przestać się mazać — nikt jak dyrektor, nie potrafił dawać konkretnych, ojcowskich rad.

Zostawiłem torbę ze sprzętem u Kasi.

— Idę na krótki urlop.

— OK, OK. Zadzwoń jak będę coś miała — rzuciła znad komputera.

Potupałem do domu piechotą. Zastanawiałem się czy nie odpuścić. Miałem wrażenie, że wszyscy ewidentnie dają mi znaki, że w Warszawie

jest za dużo zawodowych fotografów. Pomyślałem jednak, że nie poddam się łatwo i pokażę... - sam nie wiem co chciałem im pokazać.

Miałem odłożoną gotówkę na czarną godzinę. Poszedłem do zaprzyjaźnionego sklepu foto.

— Czołem. Muszę kupić jakiś zestaw do prasówki.

— Aleś sobie czas na zakupy wybrał — popatrzył na mnie smutno Łukasz.

Fakt. Kryzys 2008 roku dobijał do Polski. Ceny sprzętu szły w górę jak kiedyś tulipany w Holandii. Koledzy w necie chwalili się, że sprzedawali używki drożej niż kupowali je rok wcześniej w sklepie. Ale co robić. Nie chciałem ryzykować używanego sprzętu. “Odkuję się”, pomyślałem. “Kilka tematów i mi się zwróci.” Koniec z końców skończyło się na Nikonie D700 z dwoma klasycznymi, zawodowymi zoomami - 24-70 i 70-200. Oczywiście obydwie f2.8. Profesjonaliście nie wypadało mieć niczego ciemniejszego. Cieszyłem się, że w końcu będę miał działający autofokus, bo to co wyprawiał Canon wołało o pomstę do nieba.

Na drugi dzień wróciłem do agencji i zameldowałem Kasi, że jestem gotowy do pracy. Jak zawsze wzruszyła tylko ramionami. Dzień później zadzwoniła jednak z nowym zleceniem: Wielka fotograficzna wystawa w Szałasie Sztuki. Co prawda wernisaż był kilka dni wcześniej, ale nie było kogo wysłać. Czyli typowy zapchaj temat - zero “gęb” do sfocenia na których można coś zarobić, tylko nikomu niepotrzebne foty typu “było kiedyś ale się skończyło”. Ale co miałem robić, znowu marudzić, że gówno nie impreza? Poszedłem.

Nieopodal na parkingu spotkałem kolegę z dawnych lat.

— Hej, hej! Kopę lat! — Wojtek wyglądał na zadowolonego z przypadkowego spotkania.

— Cześć — odpowiedziałem. Nieoczekiwany kontakt z kumplem ze szkolnej ławki mógł być miłą niespodzianką lub koszmarną stratą czasu. Co jednak szkodziło zaryzykować - wystawa mi nie ucieknie.

— No co tam? — zerknął na aparat wiszący mi na ramieniu — Też fotografem jesteś?

— “Też?” — zdziwiłem się. Z tego co pamiętałem, to ja byłem tym wydurniającym się typem, który ganiał z aparatem na wszystkich imprezach, podtykał go pijanym ludziom pod nos, a potem zarywał nocki w łazience wpatrując się przy czerwonym świetle w kawałek papieru. Wojtką w tamtym czasie bardziej interesowała płeć piękna, której jak sam się kiedyś wyraził - był smakoszem.

— A tak. Wyobraź sobie, że troszeczkę fotografuję.

— Nie widziałem. Zawsze miałeś inne hobby.

— No wiesz stary — uśmiechnął się zalotnie a zarazem trochę sprośnie — połączyłem jedno z drugim. Rok temu kupiłem cyfróweczkę i powiem ci, że to był strzał w dziesiątkę. Dziewczyny lgną jedna po drugiej.

— Modę robisz?

— Dokładnie — przytaknął — Wynająłem kawałek piwnicy na Starówce, zrobiłem rajd po lumpeksach i mam raj. Nie muszę wydawać nic na knajpy. Jest stoliczek i antyczne łóżeczko. Musisz wpaść stary. Koniecznie. Pełna profeska.

— Może kiedyś — nie chciało mi się słuchać o jego miłosnych podbojach.

— Co tam dokładnie masz — zerknął mi przez ramię — Nikon?

— Tak, kupiłem niedawno.

— Ja mam 1-kę Canona. Muszę mieć profesjonalny. Dziewczyn nie oszukasz. Zawsze wiedzą czy nie podchodzisz ze szmelcem, czy masz coś do powiedzenia w temacie.

— Święta racja. Najlepszy sprzęt to podstawa. I długi obiektyw. Trzeba mieć zajebiste foty.

— Dokładnie — pokiwał głową nie łapiąc ironii — A co ty tutaj w ogóle robisz?

— Idę sfotografować wystawę w Szałasie Sztuki.

— Aaa... “Oczy szeroko przysłonięte”? Zajebicie. To idziemy. Zobaczysz mój najnowszy projekt.

— Wisisz tam?

— No jasne. Przecież to przekrojowa wystawa naszego pokolenia. Zadzwoił do mnie Michaś, to nie mogłem odmówić. Idziemy! Może się uda jeszcze jakiegoś piwka napić.

Wojtek gadał całą drogę. Ze szczegółami opisywał każdą sesję z modelką. Większość opowieści opierała się na szczegółach niekoniecznie związanych z fotografowaniem.

— ... no a Sylwia. Stary! Mówię ci. Laska kapitalna ale za bardzo zawodowa.

— W jakim sensie zawodowa? — nie rozumiałem.

— No wiesz. Zamiast słuchać się co i jak; czać o co chodzi - to ta, że jej się poza nie podoba, że tak nienaturalnie, że w ten sposób to kobiety stóp nie stawiają. Ocipieć można. Rozebrać się nie chciała, a jak jej powiedziałem o projekcie, to się wzięła i wyniosła. Pierdolnięta jakaś. A mówili, że na pozowaniu się zna i podchodzi do tego na poważnie.

— O jakim projekcie? — zaciekałem się.

— A no tak... Ty przecież się sztuką nie interesujesz, reporter... — pokiwał ze zrozumieniem głową.

Weszliśmy do ogrodu, w którym znajdował się Szałas. Kiedyś ruiny starego pałacu, dziś odnowione i przerobione w eklektycznym stylu. Stare, zabytkowe mury mieszały się z nowoczesną architekturą stali i szkła. Całość dopełniały nitowane rury wystające z każdego, najmniej oczekiwanego zakamarka. Dużo rur. Miały być kojarzone z gałęziami jak w prawdziwym szałasie, jednak z daleka budynek wyglądał jak wielki kłębek zwiniętego niedbale drutu. Burza, która wybuchła przy okazji jego „restauracji“ dawno już przycichła. Pałac nie okazał się dosyć zabytkowy, by opłacało się utrzymać jego stary wygląd. Jedynie od strony skarpy zostawiono kawałek starej części, dzięki czemu z daleka, dla idących dołem wyglądał jak prawdziwy zabytek.

— Cześć Marysiu — Wojtek uśmiechnął się do młodej dziewczyny sprawdzającej bilety — Przyszedłem pokazać koledze ogródek — mrugnął do niej porozumiewawczo. Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

— Marysia też jest kwiatkiem — szepnął do mnie cicho.

Wystawa zajmowała trzy kondygnacje. Cały budynek zajęty przez sztukę fotograficzną. Na ścianach wisiały fotografie kolorowe, czarno-

białe, małe i duże. Slajdy wyświetlane z rzutników przenikały się z audiowizualnymi prezentacjami.

— To jest moje — powiedział Wojtek wskazując na przeogromną fotografię 2 na 3 metry — To jest mój „Ogród rozkoszy ziemskich“.

Patrzyłem na zdjęcie. Pod błękitnym niebem z białymi chmurkami rozpościerało się pole kwiatów. Wyglądały na orchidee, choć ich kolory wydawały się bardziej dziełem komputera a nie natury.

— No i?

— Piękne — przytaknałem.

— Stary. Ile się narobiłem w szopie. Myślałem, że nie wyrobię. Najgorzej było namówić tyle dziewczyn.

— Dziewczyn?

— Ha! — odezwał się tajemniczo — Podejdź bliżej.

Podszedłem. Coś, co z daleka wydawało mi się dziwnymi kwiatami, było naprawdę zdjęciami kobiecych genitaliów porozciąganych w photoshopie.

— Zatkalo cię, co? — Wojtek promieniał — Nie ma powtórek. Każdy kwiatek to jedna dziewczyna. Trzysta sześćdziesiąt sześć kwiatów. Tyle ile dni w roku. Przestępnym. Niezłe, co?

— Robi wrażenie — przyznałem.

— Pewnie, że robi. To sztuka bracie. Kunszt, wysiłek pracy, pomysł — dźwięk telefonu przerwał mu zachwyty.

— Tak?

— ...

— Tak kochanie.

— ...

— Trochę nie mogę, spotkałem...

— ...

— Tak?

— ...

— Dobrze. Zaraz będę - schował telefon do kieszeni.

— Przepraszam cię, ale muszę spadać. Wiesz takie-nagle-tam.

— Stało się coś? Coś poważnego?

— Nie, nie. Ważne spotkanie. Biznesowe. Wiesz, ty sobie tutaj pooglądaj, popatrz, a dzwonicmy się później, OK? No to nara. Cześć.

Wyszedł nim zdążyłem dać mu numer telefonu.

Rozejrzałem się po sali. Zacząłem z zazdrością oglądać zdjęcia. Ale jak wspomniał Wojtek - reporterka to nie sztuka. Trudno zresztą nazwać to co robiłem reporterką. Zdjęcia gwiazd podpisujących swoje nowe płyty i kłaniających się na premierach filmowych, prezydenta ściskającego rękę premierowi, czy nowych automatów biletowych na dworcu to nie coś co kojarzyłem z rozkładówkami Life'a. Szybkie cyknięcie, szybkie spojrzenie i do kosza. Nic też, co można pokazać na „Oczach szeroko przysłoniętych“ lub wysłać na World Press Photo. Mistrz fotografii niepotrzebnej. Lata codziennego rannego wstawania, przeliczone na potrzeby powszedniego życia. Marudziłem w myślach jakbym naprawdę robił to przez dziesięciolecia a nie przez kilka krótkich w zasadzie epizodów.

Zaglądałem w każdy zakamarek galerii. Najbardziej rzucały się w oczy - co logiczne - duże fotografie takie jak „Ogród rozkoszy ziemskich“.

Kiedy jednak przelotnie zapoznałem się ze sztuką największą, pomyślałem, że poszukam nowych smaków w dziełach mniejszych. Dla tych najmniejszych przeznaczona była specjalna sala. Na poddaszu wisiały obok siebie dziesiątki stykówek. Obok każdej płachty wisiało małe szkło powiększające, tak by oglądający mieli większy komfort obcowania. Problemem dla niektórych mogło być, że aby dostać się do lupek należało ostro przykucnąć. Kiedy podszedłem bliżej zauważyłem, że kucnięcie nie rozwiązywało problemu. Jasnym było, że artysta wymagał by do jego twórczości podchodzić w pozycji leżąco-czołgającej. Zerknąłem na tumany kurzu i śmieci zalegające przed zdjęciami i zobaczyłem, że poza jednym miejscem, gdzie drogę do stykówki znaczył ślad wypolerowanej klepki, ów artystyczny performans okazał się całkiem nietrafiony.

Nad najbardziej wydeptaną stykówką widniał napis - „Tysiąc dziewic”. Zastanowiło mnie jak na 36 klatkach można zmieścić tysiąc dziewic? Wychodziło 27,77 dziewicy na klatkę. Jak zobaczyć tyle dziewic na tak małym zdjęciu? Nawet przy pomocy lupy? Niewiele brakowało, bym przemógł w sobie obrzydzenie do wycierania podłogi i nie padł przed sztuką.

Zszedłem na dół. W pomieszczeniu, które kiedyś było narożną wieżą wisiało tylko pięć zdjęć. Usiadłem z wrażenia. Wodziłem wzrokiem z jednego na drugie, z drugiego na trzecie i dalej, by ponownie wrócić do początku. Serce łomotało gdy zastanawiałem się nad tym prostym i nieskomplikowanym przekazem jaki niosły fotografie. Czarno-białe kwadraty szerokości około metra. Czerń i biel. Czystość dzieła powalała. Czarne ramki z nadrukowanymi danymi kodakowskiego negatywu i totalna biel w środku. Czyste, prześwietlone klatki. Czarne ramki a w środku nicość. Nic. Zero. Puste, czekające by je wypełnić. Tabula Rasa. Czysta, niezapisana kartka. Tak. Dokładnie. Zrozumiałem. Potrzebowałem wyzerowania. Zapomnienia. Ruszenia przed siebie bez oglądania się w przeszłość. Nie ważne co było, ważne co będzie. Jakże klarowny przekaz i jakże nieskomplikowane dzieło.

“Pierdolę to”, pomyślałem. “Po co się kopać z koniem?” Zadzwoiłem do agencji i powiedziałem, że rzucam robotę.

— Whatever — odpowiedziała jak zawsze niewzruszonym głosem Kasia.

Byłem wolny. Trochę przerażony co na moją wolność powie małżonka, ale widziałem, że kiedy wytłumaczę jej tą niesamowitą iluminację jakiej doznałem; tego uderzenia sztuki, które powaliło mnie na kolana... Widziałem, że zrozumie. Że musi zrozumieć. Czułem, że skończył się czas mojej zabawy w zawodowego fotografa. Obiecałem sobie, że już nigdy w życiu nie zrobię żadnego zdjęcia na zamówienie.

Wróciłem do Mamiyi. Zamykałem świat w kwadratowe klatki, nie zastanawiając się czy zdjęcie ma jakikolwiek finansowy potencjał. Przyznam się, że w pewnych momentach nachodziły mnie głupie myśli, czy nie zahaczam odrobinę o sztukę. Na szczęście moje wewnętrzne, kpiące, pełne cynizmu i ironii zwierzę rodem z powieści Hermana Hesse wykpiwało te dziwne pomysły na tyle, że potrafiłem zawsze wrócić do realnego świata fotograficznego dokumentu.

Któregoś razu zauważyłem, że mam fana; prawdziwego jak się wydawało, fana mojej twórczości. Zaczepił mnie przez maila, pisał po każdym opublikowaniu zdjęć na stronie internetowej; rozkładał każde zdjęcie na czynniki pierwsze i dostrzegał w nich rzeczy, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Z początku dziękowałem, próbując zachować zdrowy dystans, jednak po jakimś czasie dawałem wciągnąć się w głębsze dyskusje - kto nigdy nie dał ponieść się własnej próżności niech pierwszy rzuci kamień.

Dziwiło mnie, że trafiłem na jednostkę całkowicie pochłoniętą czyjąś twórczością. Standardowo, ludzie zainteresowani zdjęciami innych, sami są fotografami i wszelkie spotkania i pogawędki ze swoimi idolami, próbują wykorzystać do poprawienia swoich zdjęć. W skrócie mówiąc: "Jak on to robi?". Rzecz mało spotykana w muzyce czy filmie.

Po kilku miesiącach niemego walenia w klawiaturę, mój fan wyraził chęć poznania swojego mistrza na żywo. Jako, że wycieczkowałem wtedy do Krakowa, zmówiliśmy się, że zahaczę po drodze o małą miejscowość, w której mieszkał. Spotkaliśmy się w kawiarnianym ogródku na rynku. Miałem przygotowane odpowiedzi na setki pytań, które może zadać, równocześnie jednak zastanawiałem się czy jest coś, o co może mnie jeszcze zapytać - wydawało mi się, że wie o mnie wszystko. "Pewnie skończy się na przyjacielskim picu piwa", to była jedyna myśl jaka przychodziła mi do głowy. Tylko gdzieś w kącie łba pojawiała się niepokojące śwędzenie: "Dlaczego nigdy nie pisał nic o sobie?". "Bo jest skromny, a ty w swojej bucowatości i nadmuchanym ego, nigdy się go o nic nie pytałeś", odpowiadało zwierzę z powieści Hesse.

— O! Dobrze, że jesteś! — odezwał się miękki głos. Zobaczyłem młodego człowieka dźwigającego pod pachą wielką teczkę, taką rozmiaru metr na pół, jaką noszą przeważnie studenci szkół artystycznych albo kandydaci na architektów.

— Czołem, fajnie... — nie zdążyłem dokończyć, bo kolega sprawnymi ruchami zdjął wszystko ze stolika i położył na nim swój bagaż. Otworzył goi zaczął przebierać w dziesiątkach fotografii - małych, dużych i średniej wielkości.

— Tak się cieszę, że przyjechałeś. Naprawdę. Zobacz, to jest zachód słońca jaki udało mi się sfotografować w zeszłym tygodniu. Myślisz, że jest w tym jakaś nostalgia? A tutaj mam streeta — zerknąłem na zdjęcie kobiety odwróconej do mnie plecami, przechodzącej przez rynek, na którym się spotkaliśmy — Zrobiłem studium istnienia — fotografia kobiety zmieniła się w serię nie różniących się od siebie zdjęć wykonanych w odstępie kilkunastu sekund — Widzisz to, widzisz?

— No... — z lekka zszokowany próbowałem wydusić z siebie jakieś słowo.

— A tutaj mam serię portretów. To studium przyjaźni międzygatunkowej — zobaczyłem zdjęcia kota, psa, chomika i makrozbliżenia złotych rybek — Jak myślisz czy prawdziwa przyjaźń może trwać tylko między ludźmi?

— No... — chciałem odpowiedzieć coś konstruktywnego, ale kolega zupełnie nie zainteresowany moją opinią, kontynuował swój pokaz.

— Wiesz. Seria międzygatunkowa wiele mi dała. Odważyłem się zagadać do Lucynki, do której - przyznam się nieśmiało - miałem zawsze słabość — wyciągnął na wierzch wielkie czarno-białe akty dziewczyny, wyginającej się w dziwnych pozach w łąkach wielkiej niekoszonej dawno trawy.

Nie wiem jaką pojemność miała jego teczka. Co chwila wyciągał następne fotografie z każdej dziedziny jaką wymyśliła historia. Makro, architektura, zwierzęta, akty, portrety - część z nich spadała na ziemię, na co nie zwracał żadnej uwagi. Zdjęcia proste do bólu, bez żadnego pomysłu, z zerową techniką; żadnego światła, żadnej chwili - nic. Nic z czego można by wyciągnąć chociaż jedno pozytywne słowo.

Domyślałem się; wiedziałem co będzie dalej. Próbowałem znaleźć słowa, coś pozytywnego czego mógłby się uczepić i poprowadzić jakąś narrację.

— Przepraszam cię. Przerwijmy na chwilę. Muszę na moment do toalety, to tam? — wskazałem drzwi kawiarni. Kolega kiwnął jedynie głową, nie przerywając tej surrealistycznej prezentacji. Wszedłem do środka i wywołując nieme wzburzenie u obsługi wymknąłem się tylnym wyjściem. Na szczęście zaparkowałem blisko. Wcisnąłem gaz i czym

prędzej zmyłem się do Krakowa. Moje wewnętrzne zwierzę wyło ze śmiechu targając kierownicą auta.

Przemek był fotoreporterem z Przemyśla. Nie śledziłem nigdy tamtejszej prasy, ale jak sam wspominał, po kilku latach rzucił w diabły ostrą orkę w redakcjach i ruszył w świat szukając samodoskonalenia. Pracował potem trochę komercyjnie, by znowu zrezygnować z kieratu i oddać się wolności w podróżach z aparatem w rękę. Przyznam, że czułem do niego sympatię. Postać nie dbającego o rzeczy doczesne flanera, imponowała mi jak diabli. Ucieszyłem się więc, kiedy zagadał któregoś razu:

— Wiesz, będę we wrześniu prowadził warsztaty foto w Wenecji. Gdybyś był przypadkiem to zadzwoń, spotkamy się na jakąś lampkę wina.

— Że niby przypadkiem... powiadasz? — nie byłem pewien czy żartuje czy mówi serio.

— No, nigdy nie wiadomo, gdzie zawieje człowieka wiatr przeznaczenia — zakończył z emfazą i podał konkretne daty wyjazdu.

Nie wiem czy mówił poważnie czy drażnił się ze mną, dziwnym trafem złożyło się jednak, że na wrzesień planowałem z żoną objazdowa wycieczkę po Toskanii.

— Słuchaj... — zagadałem do niej niedługo przed wyjazdem — Jak będziemy wracać zahaczmy o Wenecję.

— Po co? Przecież byliśmy tak już milion razy — zdziwiła się małżonka — Nie lubię Wenecji. Jest ciasno i śmierdzi. Poza tym mieliśmy zobaczyć Cinque Terre.

— Zobaczymy przy następnej okazji. Nie ma co zaliczać wszystkiego z taką prędkością. Poza tym, chciałbym dorobić jeszcze kilka zdjęć do serii. Mam niedosyt. No i nie ściemniaj, że ci się nie podoba, bo za każdym razem chodzisz zauroczona chłonąc dzieła renesansowych mistrzów — rzeźbiłem jak najlepiej umiałem. Przecież nie mogłem się przyznać, że chcę zrobić kumplowi niespodziankę i jak w pokerze, rzucić “sprawdzam”. Bałem się, że nie zrozumie takich samczych ambicji.

Planując podróż, zarezerwowałem ostatnią, włoską noc w weneckim hotelu. Wycieczka udała się znakomicie. Przemykaliśmy autem po

toskańskich drózkach, odwiedziliśmy Florencję, Pizę, San Gimignano; powylegaliliśmy się chwilę na plaży w Viareggio i zrobiliśmy rajd kamieniołomami Carrary. Cinque Terre było niedaleko. Kusiło. Ale samczy pęd zrobił swoje i następnego ranka, zamiast jechać na zachód skręciłem w stronę Wenecji. Dotarliśmy na miejsce wczesnym popołudniem. Pokręciliśmy się chwilę między kanałami - musiałem zmęczyć żonę, żeby mieć dla siebie noc na pogaduchy o fotografii, których nie znosiła. Wieczorem, pod pozorem nocnych zdjęć wymknąłem się z hotelu.

— Cześć Przemo! — zacząłem radośnie do słuchawki — Jestem na miejscu! Gdzie się widzimy?

— Keek? Znaczy gdzie jesteś? — kolega wydawał się na zaskoczonego.

— No w Wenecji. A gdzie niby? Przecież zapraszałeś. To gdzie się widzimy?

— Nie, no wiesz. Sorry, nie mogę teraz. Omawiamy z grupą zdjęcia z dzisiejszego dnia.

— Jutro z rana wracam do domu — próbowałem trzymać gardę i nie pokazywać swojego rozczarowania.

— Jutro też nie mogę. Będziemy robić studium targu rybnego. Ale spotkamy się na pogaduchy w Warszawie, OK?

— OK — przyznaję, że witki opadły mi zupełnie. Oczywiście próbowałem zrozumieć, że jest w pracy i musi wywiązać się z podjętej roboty, nie ogarniałem tylko po co te zagrywki z zaprosinami? Pocieszające było jedynie, że zamiast siedzieć w knajpie przy winie i pierdolić o tym jak robić zdjęcia, udało mi się tego wieczora zrobić kilka niezłych fotografii.

Błądziłem wciąż po mieście, łapałem kadry i ładowałem obrazki do neta. Napisałbym, że wrzucałem na insta, ale chyba jeszcze nie było insta na świecie. Ładowało to wszystko na WWW, flickrze czy na fejsbuku, co było zupełnie bez znaczenia, bo równie dobrze mogło lądować na śmietniku pod domem.

Któregoś razu fejs podrzucił mi w propozycji znajomych, dawno niewidzianą koleżankę Krysę. Pamiętam jak pojawiała się w Super Expressie, robiąc od czasu do czasu jakieś tematy dla redakcji. Zdarzało się, że podpytywała mnie o technikalnia, z którymi nie potrafiła dać sobie rady. Żyłła fotografią, sprzęt był dla niej rzeczą drugorzędną.

Ucieszyłem się, że mnie pamięta. Poplotkowaliśmy chwilę przez messengera. W końcu napisałem:

— A może spotkamy się na żywo? Pogadamy o fotografii, napijemy się piwa albo kawy?

— Oczywiście jak najbardziej. Tylko wiesz, ja teraz biorę 100 złotych za godzinę konsultacji. Albo ewentualnie mogę zaprosić cię na warsztaty, które będę prowadzić w przyszłym tygodniu. Co prawda nie ma już miejsc, ale chyba uda mi się cię wcisnąć po starej znajomości. Podziękowałem. Nie stać mnie na wywalanie tyle kasy na fotografię.

Przemysław, Krystyna, głodny uwagi kolega z podkrakowskiego miasteczka, którego imienia nie mogę sobie przypomnieć - zacząłem zastanawiać się czy nie otwiera się przede mną nowa ścieżka w życiu. Może skoro wydawało mi się, że wiem o fotografii już wszystko, nadszedł czas żeby podzielić się tą wiedzą z innymi? Głowiłem się przez chwilę nad cennikiem, ale uznałem, że skoro trafiłem w życiu na ludzi, którzy dawali mi swoją wiedzę za darmo, nieuczciwym byłoby, gdyby brał teraz za to pieniądze. Dałem ogłoszenie na kilku grupach foto. Napisałem, że nieodpłatnie i wkopiowałem linka do swojej WWW.

Nie, nie zapchało mi skrzynki pocztowej. Do dzisiaj nie wiem czy zawinił poziom moich prac, czy mało rozpoznawalne nazwisko i oszczędna notka w bio. Owszem, zgłosiło się kilka osób, ale koniec z końcem okazało się, że jedyną rzeczą na jakiej zależało moim kursantom, to by ktoś pochylił się nad ich pracami i powiedział kilka ciepłych słów uznania. Nie potrafiłem dać komuś czegoś, czego sam nie nauczyłem się doświadczać. Zrozumiałem, że jako nauczyciel nie mogę odnieść sukcesu w dzisiejszym świecie. Nie byłem tylko pewien, kto zmienił się bardziej - ja czy świat. Czy to ja spóźniłem się na pociąg, czy może odjechał mi sprzed oczu cały peron.

Dostrzegłem za to jedno - skoro nie wychodzi mi w fotografii, spróbuję od czasu do czasu przelać kilka historii na papier. Założyłem bloga i postanowiłem zostać okołofotograficznym pisarzem.

LEICA M9

2012

Stare polskie porzekadło mówi, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, i nie inaczej jest tym razem. Po 21 latach od chwili kiedy nieświadomie wziąłem ją do ręki po raz pierwszy, mam swoją własną, dalmierzową Lajkę. Nową, czystą, niemacaną przez nikogo; pachnącą, prosto z pudełka.

Tylko czy to ta sama Lajka, którą zobaczyłem pierwszy raz 21 lat temu? Zamiast filmu siedzi w środku dziwna szklana płytka; nie ma naciągu i całościowo aparat sprawia wrażenie lekko spuchniętego. Poza tym wszystko wygląda tak samo. Ale po kolei...

Fotografuję średnioformatową, dalmierzową Mamiyą. Jest mi z nią dobrze. Czasem, podczas zmiany, krótkiego 12-klatkowego filmu, ucieka mi temat, ale poza tym nie brakuje mi niczego. Przestaję interesować się sprzętem; wszelkie nowości sprzętowe traktuję jak czytanie powieści o dalekich krajach, do których nie mam zamiaru pojechać. Któregoś dnia dzwoni do mnie Ropuch z zespołu Hello.

— Cześć Keek. Mam nową Lajkę M9. Tą cyfrową. Nie chciałbyś sobie przetestować? W przyszłym tygodniu jedziemy w trasę, wezmę cię jako dokumentalistę. Pisziesz się na to?

— Jasne — zgadzam się natychmiast. Perspektywa podglądania jednego z największych polskich rockowych bandów od zaplecza, napawa mnie niesamowitą do okiełzania radością. Przypominam sobie genialne zdjęcia Annie Leibovitz z trasy Rolling Stonesów. Zdaję sobie sprawę, że może to nie ta skala - do Leibovitz mi daleko, a Ropuch jest zdecydowanie mniej pomarszczony od Keitha Richardsa, jednak promienieję jak za czasów kiedy debiutancka kaseta Hello "Hot", kręciła się w moim walkmanie.

Tydzień później spotykamy się na przedtrasowej odprawce.

— Masz — mówi Ropuch podając mi niedużą torbę — Naładuj baterie, przeczyść soczewki. Ruszamy w poniedziałek.

I jedziemy. Miesiąc mija szybko. Aparat jest genialny. Mały, szybki - nie muszę zmieniać filmu, a baterie, których mam kilka, spokojnie starczą na ponad 200-300 strzałów. Żyję w fotograficzno-rockandrolowym raju. Co jakiś czas zerkam na wyświetlacz i podziwiam uchwycone momenty. Muzyka, alkohol, narkotyki - zespół się rozgrzewa i rozkręca z dnia na dzień. Wszystko działa jak dobrze naoliwiona, niemiecka maszyna. W ręce wchodzi mi pamięć mięśniowa, a w głowę prochy i woda. Mój mózg nie rejestruje już niczego co dzieje się wokół, zrzucam tą robotę na aparat. Kiedy ekstaza się skończy zobaczę czego nie widziałem na kompie w domu.

Trasa powoli dobiega końca. Zespół zwalnia i trzeźwieje, wychodzi na prostą i wraca do normalnego życia. Nie pamiętam nic - jakieś flashbacki przelatujące mi w głowie, mówią że było wspaniale. Wracam do domu i rozgorączkowanymi rękoma wyciągam kartę SD. Wkładam do czytnika i eksportuję zdjęcia, na których nie ma nic. Jedynie jakieś pojedyncze kadry z powrotu; wymeldowanie z hotelu, kiedy wszyscy ładowali się do busa. Sprawdzam kartę. Okazuje się, że SanDisk dał dupy. Zamiast pokazać wypełnienie pamięci, zaczął nadpisywać następne pliki na pozostałe. Nie przejmuję się tym. Mam wspomnienia, a raczej ich nostalgiczny brak i poczucie, że coś czego nie pamiętam, zdarzyło się i było zajebiste. Jak po przebudzeniu, kiedy sen uleciał już z głowy, ale wciąż zostaje pewność, że był wspaniały.

Następnego dnia po powrocie, oddaję aparat Ropuchowi. Jak w męskim porozumieniu bez słów, nikt z nas nie gada o zdjęciach. Być może - nie pamiętamy nic, ale cała nasza trójka - ja, Ropuch i Lajka, wiemy, że było warto.

Z Majkim znamy się od lat. Kumpel prowadzi studio fotograficzne i mimo, że przelewamy co tydzień hektolitry piwa, nie przyznaje się, że coś go uwiera. Był już na kilku fotograficznych wyprawach, z których przywozi zajebiste, egzotyczne kadry. Między jednym a drugim piwem i uśmiechem, widzę krótkie smutne skurcze mięśni ust, kiedy gada o następnej packshotowej sesji.

Przy którejś następnej piątkowej popijawie, podwija mankiet.

— Pacz, co sobie wrzuciłem — widzę wielką dziarę na przedramieniu. Lajka M9 w skali 1:1.

— Zaszalałeś — nie oceniam funfla, wspieram go od lat.

— No żesz kurwa, to gównu zmieniło moje życie.

— Tatuaż? — pytam się niepewnie.

— Jaki tam tatuaż, to — wzburza się i wyciąga z torby nową, pachnącą M9-kę. Nie dziwię się. Pamiętam a raczej nie pamiętam wciąż trasy z Hello. Wiem, że ten sprzęt potrafi zakręcić w głowie. Przedefiniować spojrzenie na rzeczywistość jak dobry, świeży kwas wrzucony na łonie natury.

W przeciągu miesiąca Majki rzuca studio i razem z jedną z najbardziej znanych polskich podróżniczek, zaczyna jeździć po świecie. Zajebiste foty jakie widzę na jego social-mediowych profilach, niewspomnienia których doświadczyłem z Ropuchem; czuję, że czas najwyższy zmienić sprzęt.

— Byś kupił sobie jakiś porządny aparat — Andrzej patrzy z politowaniem na moją kobylistą Mamię. Ma największe i najlepiej wyposażone studio fotograficzne w mieście. Od kilku miesięcy namawia mnie na zmianę sprzętu. Zaprasza na testy. Ma wszystko - każdy nowy aparat, każdy nowy obiektyw. Jest lepiej wyposażony niż wszystkie warszawskie sklepy foto razem wzięte.

Przyjeżdżam do niego którejś soboty i testuję. Tak, Lajka kusi. Woła, domaga się głośno wspólnego życia, ale kosztuje kupę kasy. Sprawdzam alternatywy. Sięgam na półkę andrzejowego magazynku i biorę do ręki najnowsze Fuji X-Pro1. Jest dziwnie lekki, przy M9 jakbym trzymał zabawkę dla dzieci. Przypinam szeroki kąt. Robię kilka zdjęć i oglądamy je na monitorze.

— Ty, co to kurde jest? — pytam się rozczarowany Andrzeja.

— No przecież mówiłem ci, że masz kupić porządny aparat — kumpel z ojcowską kpina rechoce mi w twarz.

Zaczynam liczyć w głowie. Mamiyi nie sprzedam. Może i magia Lajki jaka otacza mnie z każdej strony jest kusząca, ale nie na tyle, żeby nie zostawić sobie drogi powrotnej, na wypadek gdyby cyfrowa przyszłość

okazała się ślepą ścieżką. Co prawda Hasselblad i Nikon od lat kurzą się nieużywane w szafie więc co za problem sprzedać, ale przez moment przychodzi mi myśl czy nie zrobić w necie jakiejś zrzutki. Nie mam niestety ani żadnych dramatycznych przeżyć typu: spaliło mi się mieszkanie, utopiłem sprzęt w wannie podczas czyszczenia; ani na tyle dużej popularności żeby wydać album, czy może druknąć limitowaną edycję odbitek, którą mógłbym wcisnąć fanom. Pozostaje zwykła wyprzedaż nieużywanych gratów.

— Kupiłbym Andrzej, kupił. Ale chyba nie wydolę z kasą — kiwam smutno głową.

— Nie martw się. Coś się załatwi — macha lekceważąco ręką.

W najbliższy poniedziałek dzwoni do mnie i mówi, że jest wyprzedaż. Nie jest wylewny, wręcz tajemniczy. Zamiast do warszawskiego LeicaStore jedziemy na blokowisko w części miasta, w której nigdy nie byłem. Wsiadamy z samochodu. Zaczynam rozglądać się po budynkach i zastanawiać co też wymyślił. Boję się, że wejdziemy w jakieś dziwne klimaty i cały biznes skończy się nalotem policji w zatęchłym pokoju zmęczonego mieszkania.

Ale nie - kiedy wychodzimy z za rogu, dostrzegam szyld małego, osiedlowego sklepu foto. Wchodzimy do środka. Andrzej przedstawia mi właściciela. Adam faktycznie daje dobrą cenę, więc nie mam wyjścia - fotograficzny plebs kupuje luksusowy sprzęt dla szwajcarskich dentystów. Wracam do domu, ściskając pod pachą pudełko z nową zabawką jak dzieciak z PRLu, zestaw klocków Lego.

Niestety Adam w swoim magicznym, osiedlowym sklepiku nie ma na stanie żadnej 28-ki. Następnego dnia jadę do LeicaStore, w którym chcę znaleźć małego Elmarita. Z powodu tymczasowego braku w zaopatrzeniu, kupuję 35-kę Voigtlandera.

W Warszawie zaczynają się mistrzostwa Euro. Pomykam po ulicach, fotografując rozbawionych i rozemocjonowanych kibiców. Jest dobrze. Aparat nie przeszkadza. Może jedynie wielki obiektyw za bardzo ciąży.

Mimo, że fotografuje się świetnie, fotografowanie Lajką ma też swoje wady. Fani marki, potrafią zaskoczyć. Wskoczyć niespodziewanie,

zza każdego rogu ulicy. Podchodzą, uśmiechają się, cmokają, próbują pogłaskać.

— Przepraszam, czy mogę zrobić panu zdjęcie z aparatem? — podnoszę wzrok znad wyświetlacza i widzę stojącego przede mną młodego hipstera, wpatzonego w Lajkę jak w święty obrazek. Modne okulary, wąs, tunele w uszach i założona zawadiacko na głowie czapeczka.

“Zaraz będzie głaskanie i cmokanie”, myślę. Hipster chyba zauważa moją niechęć i odchodzi. Przywołują go z powrotem.

— Niech pan robi. Ale po co to w ogóle? — zaciekawiam się.

— Bo ja prowadzę bloga ze zdjęciami ludzi z różnymi aparatami — tłumaczy się. Robi zdjęcia, których nigdy nie dane mi było zobaczyć i znika.

Brakuje mi 28-ki. Voigtlander jest ciężki i mimo swoich dosyć dużych rozmiarów jedyne do czego się naprawdę nadaje to do sondowanie końcówki jelita grubego. U polskiego dystrybutora Lajki wciąż braki w zaopatrzeniu. Ludzie biją się o sprzęt, powstają listy kolejkowe. Ilekroć przychodzi nowy towar, znika w przeciągu godziny. Magia czerwonej kropki działa na każdego.

Sprawdzam dostępność w Berlinie. Jest. Leży i czeka. Na szybcika organizuję szybki wypad. Namawiam blogerowego kumpla Romualda i o 6:00 rano wsiadamy do pociągu. Po drodze, gdzieś w niedużym miasteczku nieopodal granicy, dołącza do nas kolega Romek. Dojeżdżamy do stolicy Niemiec koło południa. Od razu pędzimy w stronę Ku’dammu.

— Guten Tag — rzucam po wejściu do sklepu.

— Dzień dobry — krzyczy po polsku swoim doniosłym głosem Romek. Romuald jak zawsze powściągliwie, wita się lekkim skinieniem głowy.

Kalekim niemieckim pytam o obiektyw, bojąc się, że może w czasie naszej podróży znalazł już nowego właściciela. Niemiecki sprzedawca z uśmiechem sięga do szafy za sobą. Widzę równo poukładane, dziesiątki pudełek ze sprzętem. Moich Elmaritów jest conajmniej dziesięć. Podaje mi jedno z nich. Zachęca do rozpakowania i podpięcia do aparatu. Otwiera drzwi do sklepu i szerokim gestem zaprasza do zrobienia kilku zdjęć na

ulicy. Wracamy z powrotem do środka. Ekspedient odpala wielkiego iMaka i pokazuje na czytnik kart. Zrzucam zdjęcia. Oglądam. Wyjmuję kasę i kupuję.

Jest wczesne popołudnie. Pociąg do Warszawy mamy o 7:00. W zakupowej gorączce zapomniałem zabukować hotel. W przypływie euforii proponuję, że przeturlamy się jakoś po mieście do rana. Robimy najdłuższy w mojej historii fotograficzny spacer. Obchodzimy każdy zakątek Berlina. Jestem tak zmęczony, że nie zauważam, że dołącza do nas jeszcze jeden kolega. Chodzimy, fotografujemy - stacje metra, Centrum, Potsdamer Platz, w końcu kończymy w jakiejś knajpie na Kreuzbergu.

Butelki coli, na przemian z kawą powstrzymują nas przed snem. W końcu jesteśmy na nogach już prawie 24 godziny. Wreszcie docieramy na dworzec. Wsiadamy do pociągu. Serce kołaczy mi od nadmiaru kofeiny. Jednocześnie śpię, zasypiam, budzę się i jestem na jawie. Nie rejestruję jak Romek wysiada po drodze. Wydaje mi się, że Romuald toczy ze współpasażerami jakieś naukowe rozmowy o technice. Docieram do domu, padam na łóżko.

Moja nowa M-ka z małym Elmaritem to zestaw cudowny. Wpadam w amok. Fotografuję prawie codziennie. Zauważam, że zrobiłem nią więcej zdjęć niż wszystkimi aparatami dotychczas. Olewam towarzyskie zobowiązania. Pierdolę blogowanie, nauczanie i inne niepotrzebne tak naprawdę nikomu rzeczy. Każdą wolną chwilę, chcę wykorzystać na rejestrację rzeczywistości jakbym bał się, że zniknie zaraz niespodziewanie.

Majki miał rację - ten aparat zapładnia twórczo. Czuję przy sobie duchy Henriego Cartier-Bressona, Garry Winogranda i - choć to dziwne, bo wciąż żyje - Elliota Erwitta. Stoją koło mnie, pokazują palcami, w którą stronę skierować obiektyw i w którym momencie nacisnąć spust. Osiągam fotograficzną nirwanę.

CANON LEGRIA MINI

2015

— Ty! — zagaił kumpel z miną Pomysłowego Dobromira w momencie kiedy piłeczka rozbija mu się na głowie — Może by tak przyczepić kamerkę do aparatu i filmować fotografowanie w akcji?

— Po co? — wzruszyłem ramionami — Niby kogo miałyby to interesować? Chyba w tym całym fotografowaniu o zdjęcia raczej biega, nie?

— No stary, teraz toś odleciał. A kogo niby interesują zdjęcia? — patrzył na mnie ze zdumieniem, jak na chłopca, który nie widzi potencjalnych korzyści z elektryfikacji swojej wsi. — Nie o fotografii tu chodzi a o fun! Rozumiesz?! Czystą zabawę. Byłeś kiedyś na jakiejś zabawie? Napierdalałeś się przed remizą, sztachetami wyrwanymi w emocjach ze świeżo postawionego płotu?

— Nie. Raczej nie.

— To co ty wiesz o życiu, człowieku! Przyczepisz sobie kamerkę na aparat i będziesz kręcił boki. Przecież to dokument w dokumencie — kolega coraz bardziej zaczął zapalać się do nowego projektu.

— Sam nie możesz sobie przyczepić? — zapytałem chytrze.

— Niby jak? Nie robię takich zajebistych zdjęć jak ty — wyszczerzył się szeroko wyrzucając na twarz maksymalną ilość ironii i cynizmu.

— To oczywiste — przytaknąłem mu próbując zachować obojętną minę.

— Albo jeszcze to - można by chodzić po ulicach z fotografem i kręcić go jak robi zdjęcia.

— Chyba zrobiłeś już taki materiał, nie? — przypominałem sobie jak pięć lat wcześniej przetuptyliśmy razem 1000 kilometrów po różnych zadupiach i centrach Warszawy.

— Zrobiłem, ale to było na nieruchomych obrazkach. Wyobraź sobie, że robisz to kamerą. Gadasz; możesz wyżyć się edukacyjnie; możesz trafić na ulicy na jakiś gorący moment gdy twórca szarpie się z

tworzywem; a jak się uda, to wprowadzić jakiś element fantazji - napisać zgrabny scenariusz i skrócić w stronę fabuły — czułem jak jego entuzjazm przechodzi powoli do mojej głowy.

Tydzień później zrobiłem rozeznanie w internecie. Będą sprzętowym estetą nie dopuszczałem do siebie zatknięcia na aparat jakiegoś wielkiego kłoca w rodzaju GoPro. Skończyło się na płaskiej kamerce Canona, która dosyć zgrabnie wpasowała się w subtelny dizajn Lajki M9. Co prawda żadne systemowe mocowanie, nie dawało możliwości umocowania jej w stopce aparatu, ale dwie wizyty w popularnym markecie budowlano-remontowym załatwiły sprawę. Całość, razem z aparatem wciąż mieściła się w sakwie przy pasku.

Wyszedłem na testy, zrobiłem kilka próbnych filmików i... kupa. Nie przewidziałem, że brak jakiegokolwiek sensownej stabilizacji, przy nerwowym streetowaniu na mieście, będzie dawało klimat zestresowanego fotografa na przeterminowanym prozaku. Zrobiłem jeszcze kilka kadrów a'la rybie oko i w końcu kamera skończyła w szufladzie.

Szkoda. Po dziesięciu latach widzę, że był to dobry pomysł. Zdjęcia przestają być nadrzędną rzeczą w fotografowaniu. Coraz bardziej liczy się zabawa i przynależność do grupy dobrze dogadujących się, miłych ludzi. I pozostając wciąż cynikiem, ciężko nie przyznać, że w dobie zabijającej jakąkolwiek ludzką twórczość AI, pozostaje to jedyną sensowną drogą. Jeśli już stajemy się Eloiami, bądźmy przynajmniej uśmiechniętymi Eloiami.

LEICA M10

2017

Zardzewiał mi kiedyś łańcuch w dziecięcym rowerku; rdzewiał też stary mercedes dziadka porzucony w szopie; w późniejszym wieku miałem rdzewiejące myśli; nigdy bym jednak nie pomyślał, że rdzewieć może też szkło. Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, na zdjęciach zaczęły pojawiać się dziwne, łatwe do zauważenia i wkurzające jak pryszcze na twarzy nastolatka kropki. Co niektórzy fotografowie, szczególnie ci z artystycznym zacięciem, obwieszczali światu, że to rzecz zupełnie bez znaczenia, a wręcz dodaje do obrazka analogowego sznytu. Na szczęście byli w mniejszości i Lajka po latach od zakończenia produkcji M9, zdecydowała się na akcję serwisową.

Jako, że miałem w sobie trochę artystycznej duszy, lubiłem ten aparat i nie uśmiechała mi się perspektywa wysyłania go na kilka miesięcy do serwisu, odwlekałem naprawę jak dało się najdłużej. W końcu firma powiedziała, że bezpłatne wymiany matrycy niedługo się skończą, więc w ostatni dzień lipca zrobiłem kilka zdjęć na warszawskich bulwarach i zaniósłem moją ukochaną Lajkę do sklepu, z którego pojechała na kurację do sanatorium w Niemczech.

Byłem wtedy dosyć twórczo-płodny, dlatego już po miesiącu niefotografowania zaczęło mnie coś swędzić w mózgu i poszedłem na Mysią po pachnącą jeszcze nowością M10.

— Zoba! Mam nowy aparat — pochwaliłem się kumplowi Canoniarzowi.

— Jak nowy, przecież masz tą Lajkę od 5 lat — zerknął mi na ramię.

— Ależ to nowy model! — zachnąłem się teatralnie.

— Nie widać — kolega zaczął przyglądać się bardziej wnikliwie —
Różni się czymś od poprzedniego?

— Wieloma rzeczami — wziąłem kamerkę do ręki i zaśpiewem z najlepszych youtuberskich recenzentów zacząłem wymieniać ficzery nowego sprzętu — Jest o 3,6 mm cieńsza od poprzedniej!

— Nie widać. Coś jeszcze?

— Ma lepszy celownik. Powiększenie obrazu zwiększyło się z 0.68 do 0.72 raza.

— Powaga? No nieźle! — nie byłem pewny czy ironizuje czy przepływa przez niego prawdziwy zachwyt.

— Zwiększyła się też ilość zdjęć seryjnych z dwóch do pięciu klatek na sekundę.

— Planujesz fotografować wyścigi ślimaków? — nie, chyba jednak ironizował.

— Rozdzielczość jest większa, dali 24 mpx zamiast 18 - zerknąłem na kolegę czy nadal słucha, bo wzrok zawiesił mu się na przechodzącej kobiecie ubranej w krótką sukienkę.

— Słuchasz mnie czy nie? — trąciłem go łokciem.

— No, tak - pikseli dali więcej.

— I teraz patrz, najważniejsze: na tylnej ścianie zamiast sześciu są teraz tylko trzy przyciski!

— No kurwa! — zerknął z przerażeniem na tył swojego Canona 1DX — Kosmiczna technologia, nie wyobrażam sobie jak to możliwe.

Resztę spaceru spędziliśmy w milczeniu. Perły przed wieprze. Zacząłem zastanawiać się jaki cudem mogę przyjaźnić się z kimś kto nie dostrzega klasyki i kunsztu niemieckich inżynierów.

Kilka miesięcy później, kiedy fotografowałem psa sikającego pod PKiN usłyszałem za sobą pełen fascynacji głos.

— O rany, pan ma Lajkę! Lajkę! — odwróciłem się i zobaczyłem młodą dziewczynę biegnącą w moją stronę. Nie wiedziałem co robić, więc stanąłem w miejscu — Mogę zobaczyć, mogę? Przepraszam ja mam tylko Sony.

— Też ładnie — próbowałem zachować zimną krew.

— Pan pokaże, pan pokaże! — jej ręce zaczęły zbliżać się gwałtownie do aparatu. Miałem wrażenie, że zaraz zerwie mi go z szyi, więc zrobiłem taktowny unik. Zachwiała się z lekka, ale nie straciła równowagi.

— No niech pan nie będzie taki, pan pokaże! Dam panu potrzymać moje Sony! — prawie widziałem płacz w jej oczach. Jako, że nie potrafię patrzeć na płaczące kobiety, delikatnymi, acz szybkimi krokami oddaliłem się pospiesznie. Widziałem, że chciała biec za mną, ale niespodziewanie znalazł się koło niej młody mężczyzna i przytrzymał ją za rękę. Wtulił jej szlochającą twarz w swoją flanelową koszulę i wydawało się, że krępująca sytuacja została opanowana.

“No nieźle”, pomyślałem. Hype na Lajki nakręca się z roku na rok. Przypomniałem sobie, kulturalnego hipstera, który zaczepił mnie pięć lat temu. Owszem. Widać było w jego oczach fascynację, ale to był hipster, więc w jakiś sposób było to naturalne. Ale, że zwyczajna, młoda dziewczyna...???

Wróciłem do domu i odpaliłem YouTube. Po kwadransie zrozumiałem, że moja fascynacja Lajkami rozlała się na cały fotograficzny świat. Oczywiście znalazło się kilku frustratów jak mój kolega, którzy nie doceniali magii fotografowania legendą fotografii, ale były to pojedyncze jednostki, których zwyczajnie nie było stać na dobry sprzęt. Pocieszałem się trochę, że większość czaru skupiała się na analogowych M6-kach i tajemnej mocy przeterminowanych materiałów foto, ale mimo to poczułem się dziwnie, bo przez głowę przeleciał mi niepokojący szept, że odpowiednie hasztagi na insta mogą być warte więcej niż zamieszczona fotografia per se. Czym prędzej jednak zrugłem się w myślach za taką głupotę.

Na szczęście - albo nieszczęście - nazajutrz, po pięciu miesiącach, M9 wróciła z odrdzewiania. Postanowiłem nie zwracać uwagi na szalejącą popularność sprzętu i trwać nadal w klasyce. Będąc wierny zasadzie: jedno body - jedno szkło, dokupiłem do kompletu szerokokątny zoom i próbując nie zaglądać na YouTube skupiłem się na fotografowaniu.

I wszystko szło gładko, do momentu, kiedy w październiku 2019 roku pojawił się dawno niewidziany a przyczajony wciąż za rogiem, czarny, kudłaty, znienawidzony przyjaciel...

INTERMISSIO

2019

— Ludzie się ciebie boją — dziwne słowa wiszą mi między uszami.

— Co ty pierdolisz stary? Kto? Jacy ludzie? Dlaczego? — niespodziewane wyznanie kolegi rozgrzewa mi zwoje. Tuptamy zaułkami Muranowa. Gadamy o fotografii, sensie, towarzystwie wzajemnej adoracji, i o zgrozo zahaczamy o sprzęt. Patrząc na niego i zastanawiam się co ma myśli. Nie dostaję odpowiedzi. W zasięgu naszych oczu pojawia się coś do sfotografowania. Pędzimy. Obraz jest ważniejszy niż słowa.

Wieczorem, kiedy leżę już w łóżku, nachodzi mnie refleksja, “Można się też bać zarazy, cholery, nowego wirusa albo zwykłego psiego gówna rozsmarowanego na chodniku”. Może moje zmęczenie, zniechęcenie i poczucie bezsensu, tak bardzo maluje się na gębie, w mimice i gestach ciała, że ludzie uciekają jak od trędowatego w średniowieczu? W cywilizowanych krajach nie ma już trądu. Dziś i tutaj, ucieka się przed smutkiem. Czy smutek to trąd XXI wieku?

“Widziałem rzeczy, którym wy, ludzie, nie dalibyście wiary. Statki szturmowe w ogniu, sunące nieopodal Pasu Oriona. Oglądałem promienie skrzące w ciemności blisko wrót Tannhausera...”. Boimy się, że nadejdzie czas gdy jedyne co zostanie nam z życia, to niepotrzebne nikomu wspomnienia. Śmiejemy się z emerytów mamrocących pod nosem niezrozumiałe nam opowieści o starych czasach, a najpewniej skończymy podobnie. Media społecznościowe rozwalają społeczeństwo. Nie żyjemy i nie przeżywamy, jedynie pokazujemy; większość naszego życia to show dla niezainteresowanych nim ludzi. Z kubkiem kawy na wynos, wrzucamy w bieg posty o Slow Life, nie zauważając co dzieje się wokół nas. Rozwijamy swoje kariery, w których najbardziej pożądaną zapłatą nie jest już pieniądź, a mały, szybki ruch palca nieznanego człowieka, celującego w serduszko, czy skierowany w górę kciuk. Z zamkniętymi oczami i zasłoniętymi uszami, obściskujemy się przyjacielsko. Podaż i szybkość informacji zabija kreatywność. Tworzymy coraz więcej coraz

mniej znaczących rzeczy - krzyczymy coraz głośniejszym głosem; chcemy żeby ktoś nas usłyszał, ale nasz głos ginie w zagłuszającym wszystkim szumie. Jediną odpowiedzią jest licznik niemych lajków na ekranie smartfona. W końcu zaczynamy płacić za chwilę uwagi - pieniędzmi, skurwieniem czy fałszywymi uśmiechami. Trwamy w tym chwiejnie - jedni krócej, inni dłużej - jednak prędzej czy później, kiedy maska ułudy opadnie, orientujemy się, że "... wszystkie te chwile znikną w czasie jak łzy w deszczu...". I zaczynamy się bać, podać w nerwicę, ból i samotność. Szarpiemy się jeszcze przez chwilę i wreszcie, kiedy jak w każdym dobrym czy kiepskim filmie, pojawiają się napisy końcowe, wypuszczamy gołębia z ręki...

— Ale pierdolisz, wiesz? — zerkam na zegarek - 3:33 w nocy. Widzę jak kudłaty gramoli mi się na łóżko. Siada mi w nogach i gapi się wyczekująco. Czuję jak jego czerwone, świecące ślepia, wkręcają mi się w mózg. Wiem, że tak naprawdę go nie ma. Nie tutaj. Istnieje w innym miejscu, gdzie żyją podobne mu stwory. Jednak zaczepne pytanie wciąż brzmi. Znak zapytania jarzy się na końcu zdania.

— Wiem — odpowiadam — Znaczący nie wiem, być może...

Kudłaty wciąż patrzy wyczekująco. Nie jest zadowolony z odpowiedzi.

— Chciałbym rozpierdolić wszystko wokół — zdobywam się na szczerość. Przecież wiem, że gadam sam ze sobą i nikt inny tego nie usłyszy ani nie przeczyta — Rozjebać wszystko co żyje, wszystko co istnieje.

Psina zaczyna drgać w spazmatycznym śmiechu.

— Rozbrajasz mnie tą dramą. Chcesz rozpierdolić wszystko, ale doskonale wiesz, że niczego nie zrobisz. Nie skrzywdzisz nawet muchy; na samą myśl, że możesz rozdeptać pierwotniaka pantofelka, robi ci się smutno; tracisz dech i wpadasz w panikę. Tak naprawdę jedyne co możesz skrzywdzić to siebie samego, a przypuszczam, że nawet na to nie znalazłbyś odwagi.

— Przedsiębiorczości hoża cera blednie. Pod wpływem wahań, zamiary pełne jędrności, zbite z wytkniętej kolei, tracą nazwę czynu...

— Przestań błaznować! Nie popisuj się — karci mnie jak stary belfer.

— Chciałbym, żeby świat się skończył, żebym był ostatnią żywą istotą patrzącą jak wszystko się zwija i znika w małej, czarnej kulce. Żeby coś pierdolnęło. Meteor, najazd kosmitów, zaraza, głód; chciałbym cwałować na czarnym koniu i kosić wszystko jak leci. Przestałem czuć cokolwiek, może wtedy poczułbym jakieś emocje.

Czarny patrzy na mnie milcząco.

— No to chodź kurwa! Zrobimy sobie małą opowieść wigilijną — chwyta mnie za nogi i ciągnie ku dziwnemu do zdefiniowania miejscu.

Wiem, że wciąż leżę na łóżku, jednak moja jaźń czuje kilka nadchodzących miesięcy. Nie widzę ich jak Scrooge, ale czytam jak opowieść białego królika. “Widzę” kolejki karetek pod szpitalami, ludzi z zakrytymi twarzami, przemykających pustymi ulicami; zamknięte parki i lasy, stadiony, teatry i kina; wiatr szalejący między nagrobkami na cmentarzach; ogłupiałe media podsycające panikę i skaczących sobie do oczu polityków. Rzenie konia białego i tego barwy ognia, czarnego i podobnego koloru do trupa sinego, rozlega się w oddali, przemyka po sklepieniu nieba. Krach na giełdzie, krew na ulicach; cichy płacz i głośny krzyk rozpacz. Połacie ziemi przykryte morzem ognia z ciałami wijącymi się z bólu jak na kiczowatych obrazach zapomnianych mistrzów.

— Ładnie? — pyta kudłacz — Takie chcesz.

— Ładnie — odpowiadam — Dobry początek. To przyszłość?

— Jebnięty jesteś — wracamy z powrotem do łóżka. Obraz znika mi z wyobraźni — Nie ma czegoś takiego jak przyszłość czy przeszłość. Wszystko istnieje równocześnie obok. Jak się postarasz możesz sobie popatrzeć od czasu do czasu.

— A przenieść się? Być gdzieś indziej? Tam gdzie mnie nie ma i jest inaczej?

— Nie da się. To potrafią tylko muchy — słyszę w jego głosie irytację i zazdrość — Te małe gówna, które przeskakują tam, kiedy próbujesz kłapać je paszczą.

Patrzę na zegarek, który pokazuje wciąż 3:33.

— Może zamiast żegnać się ze światem, pożegnasz się z fotografią?
— zamyśla się kudłaty przybierając pozę i ton zawodowego psychoterapeuty.

— A to nie to samo?

— Spróbuj — znowu szarpie zębami za nogawkę pizamy. Znowu robimy szaloną jazdę po świecie, który wygląda już całkiem normalnie. Biblijne karty, są nadal bajkami dla dorosłych. Świat wciąż jest przerażająco stabilnie normalny, przynajmniej sprawia takie wrażenie.

Czas, którego podobno nie ma, nieubłagane skraca dystans do końca. Listopad, grudzień, styczeń, luty, marzec, kwiecień, maj... - aparaty kurzą się na półce; tylko chodzę, tylko patrzę; czekam na odrobinę zainteresowania, “dlaczego? co się dzieje? gdzie jesteś?” - czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik, drugi listopad, drugi grudzień, drugi styczeń, drugi luty, drugi marzec, drugi kwiecień. Odpowiedzią jest pustka. Wokoło pełno ludzi a jakby nie było nikogo. Rzucam kudłaczowi nieme, pytające spojrzenie, które mija go i niknie w oddali. Gdzieś daleko. Na końcu czegoś co podobno końca nie ma. Wracamy do wyra.

3:33 - milczę i wsłuchuję się w krople deszczu rozbryzgujące się na blaszanym dachu; kudłaty też milczy. Chciałbym przesunąć ten zegarek do przodu. Wpatruję się w czerwone cyfry, liczę w myślach, 60..., 70... 80... 90... ale trzy trójki nie znikają.

— To co mam robić? — pytam w końcu.

— Wyobraź sobie jakiś dzień. Będzie ciepło i słonecznie. Miło. Nie będzie cię nic bolało; nie będziesz miał myśli, których nie cierpisz. Ludzie wokoło będą mieć prawdziwy uśmiech na swoich twarzach - nie ten na maskach co zwykle. Wyobraź sobie, że to będzie ostatni dzień kiedy byłeś, a reszta zostanie powidokiem.

— I to coś zmieni?

— Nie wiem, ale co szkodzi spróbować, skoro nikogo już nie ma? Nie trzeba koniecznie pisać książki, można ją czytać. Jest jeszcze dużo książek do przeczytania. Nawet takich radosnych, w których spełniają się wszystkie marzenia.

— Ale... — waham się — Będę jeszcze miał kiedyś nowy aparat?

— Nie błaznuj, zaśpiewaj sobie jakąś piosenkę. Może być ta, którą zobaczysz niedługo w kinie.

There's always a joker in the pack / There's always a cardboard clown /
The poor painted fool falls on his back / And everyone laughs when he's
down / There's always a funny man in the game / But he's only funny by
mistake / But everyone laughs at him just the same / They don't see his
painted heart break / They don't care as long as there is a jester / Just a
fool, as foolish as he can be / There's always a joker, that's a rule / But fate
deals the hand and I see / The joker is me / There's always a funny man in
the game / But he's only funny by mistake / But everyone laughs at him
just the same / They don't see his painted heart break / They don't care as
long as there is a jester / Just a fool, as foolish as he can be / There's
always a joker, that's a rule / But fate deals the hand and I see / The joker is
me...